

PIERWSZE WYDANIE KOMPLETNE

Conan

Pinak



Robert E. Howard
L. Sprague de Camp

Spis treści

Karta tytułowa

Conan

Notki biograficzne

WSTĘP

JASTRZĘBIE NAD SHEMEM

CZARNY KOŁOS

1

2

3

4

CIENIE W BŁASKU KSIĘŻYCA

1

2

3

4

DROGA ORŁÓW

NARODZI SIĘ CZAROWNICA

1 KRWAWOCZERWONY PÓŁKSIĘŻYC

2 DRZEWO ŚMIERCI

3 LIST DO NEMEDII

4 WILKI PUSTYNI

5 GŁOS Z KRYSZTAŁU

6 SKRZYDŁA SĘPA

**ROBERT E. HOWARD
L. SPRAGUE DE CAMP**

**CONAN
PIRAT**

Tłumaczył: Zbigniew A. Królicki

PIK: 1991





Notki biograficzne

Notki biograficzne przed opowiadaniem zostały napisane na podstawie artykułu P. Schuylera Millera i dr. Johna D. Clarka Prawdopodobny przebieg kariery Conana (A Probable Outline of Conan's Career) opublikowanym w The Hyborian Age (Los Angeles, 1938) oraz na podstawie: rozszerzonej wersji tego eseju p.t. Nieoficjalna biografia Conana Cymeryjczyka (An Inofficial Biography of Conan the Cimmerian), którego autorami są P. Schuyler Miller, John Clark i L. Sprague de Camp, a który został opublikowany w czasopiśmie poświęconym twórczości Howarda Amra (tom 2, nr 8).

Hawks over Shem to dokonana przez L Sprague de Campa przeróbka opowiadania Howarda Hawks over Egypt, pierwodruk Hawks over Shem w październiku 1955 roku w Fantastic Universe Fiction.

Blad Colossus pierwodruk w czerwcowym numerze Weird Tales, 1934. Shadows in the Eagles pierwodruk w kwietniowym numerze Weird Tales, 1934.

The Road of the Eagles to przerobione przez L. Sprague'a de Campa opowiadania Howarda o tym samym tytule, ale dziejąca się w XVI wieku w Imperium Tureckim. Pierwodruk w Universe Science Fiction, w 1955 roku pod tytułem Conan, Man of Destiny A Witch Shall be Born pierwodruk u grudniowym numerze Weird Tales w 1934 roku.

WSTĘP

Robert E. Howard (1906–36), twórca Conana, urodził się w Peaster w Teksasie i większość życia spędził w Cross Plains w sercu tego stanu. W czasie swego krótkiego życia (zakończonego samobójczą śmiercią w wieku trzydziestu lat) Howard napisał wiele utworów zaliczanych do literatury popularnej: opowiadania sportowe, kryminalne, historyczne, przygodowe, fantastyczno–naukowe, o duchach czy opowieści z Dzikiego Zachodu. Z kilku serii heroic fantasy największą popularnością cieszą się opowiadania o Conanie. Osiemnaście tych utworów ukazało się za życia autora; osiem innych, od szkiców i oderwanych fragmentów po kompletne rękopisy, znaleziono w jego papierach po roku 1950. Opowiadania te zostały dokończone przez mojego kolegę Lina Cartera i przeze mnie.

Ponadto na początku lat pięćdziesiątych przerobiłem cztery nie publikowane rękopisy opowiadań przygodowych Howarda na opowieści o Conanie, zmieniając imiona bohaterów, usuwając anachronizmy i wprowadzając nadludzkie moce. Nie było to trudne, ponieważ bohaterowie Howarda są dość podobni do siebie, tak więc w wyniku tej pośmiertnej współpracy powstały dzieła w trzech czwartych lub czterech piątych howardowskie. Dwa z tych utworów pojawiają się w niniejszym zbiorze: „Jastrzębie nad Shemem” (w oryginale „Jastrzębie nad Egiptem”), opowiadanie, którego akcja toczy się w jedenastowiecznym Egipcie za panowania szalonego kalifa Hakima oraz „Droga Orłów”, pierwotnie umiejscowiona w szesnastowiecznym

imperium tureckim.

Co więcej, razem z Linem Carterem i Björnem Nybergiem stworzyliśmy kilka pastiszów na temat Conana, opartych na wskazówkach znalezionych w notatkach i listach Howarda.

Wszystkie te opowiadania — oryginalne, przerobione pośmiertnie i pastisze — były lub będą wydane w tej serii opowieści o Conanie. Obecny zbiór jest trzecim, następującym po uprzednio wydanych tomach pt. „Conan” oraz „Conan z Cymerii”.

Akcja opowiadań o Conanie toczy się w wymyślonej przez Howarda Erze Hyboryjskiej — około dwanaście tysięcy lat temu, po zatonięciu Atlantydy, a przed narodzinami naszej cywilizacji. Conan, olbrzymi barbarzyńca–awanturnik z zapadłej, leżącej daleko na północy Cymerii, przybywa jako młodzieniec do królestwa Zamory (patrz mapa) i przez kilka lat pędzi tam oraz w okolicznych ziemiach niebezpieczny żywot złodzieja. Później zostaje najemnym żołnierzem, najpierw w orientalnym królestwie Turanu, a potem w państwach hyboryjskich.

Zmuszony do ucieczki z Argos Conan przystępuje do piratów i na czele czarnoskórej załogi grasuje przy wybrzeżu Kush razem ze swą shemicką partnerką — Belit. Po śmierci Belit i kilku niezwykle niebezpiecznych przygodach wśród czarnych plemion Cymeryjczyk wraca do Shemu i znów zostaje najemnikiem. W tym momencie rozpoczyna się niniejszy tom.

Prawie dwadzieścia lat temu mój stary przyjaciel John D. Clark, farmaceuta i wielki miłośnik Conana na długo przed tym, zanim ja nim zostałem, wydał znane wówczas utwory o Cymeryjczyku w wydawnictwie Gnome Press. Napisał długi wstęp do pierwszej części tamtego cyklu, którą był „Conan Zdobywca”. Ten esej stanowi znakomite podsumowanie

twórczości Howarda, a szczególnie opowiadań o Conanie. Dr Clark pozwolił mi zacytować go w niniejszej przedmowie.

„Mija już siedemnaście lat od chwili, w której zetknąłem się z Erą Hyboryjską. Owo znamienne odkrycie nastąpiło, gdy — zauroczone krzykliwą okładką „Weird Tales” z września 1933 roku — przeczytałem „Pełzający cień” i po raz pierwszy spotkałem Conana.

Spotkanie utkwilo mi w pamięci i od tej pory śledziłem przygody tego nieco niekonwencjonalnego bohatera z większym niż zwykle zainteresowaniem. Trochę później (chyba w 1935 roku) Schuyler Miller i ja postanowiliśmy podjąć próbę naszkicowania świata Conana. Okazało się to śmiesznie łatwe. Kraje powstawały na papierze, przez chwilę kręciły się niespokojnie, a potem zachodziły na swoje miejsce, tworząc przekonującą, niezwykle autentyczną mapę. Wtedy napisaliśmy do Howarda i okazało się, iż jego własna mapa była niemal identyczna; również jego biografia Conana okazała się zbieżna we wszystkich istotnych punktach z tą, którą stworzyliśmy z Millerem w oparciu o informacje zaczerpnięte z opowiadań. O ile pamiętam, największą niezgodność stanowiła dwuletnia różnica wieku barbarzyńcy w jednym z utworów.

Wtedy pojęliśmy, że mamy do czynienia z pisarzem, który zna swój fach. A kiedy przeczytaliśmy rękopis „Ery Hyboryjskiej”, zanim jeszcze została po raz pierwszy wydana, byliśmy tego pewni.

W ciągu kilku następnych lat udało mi się poznać resztę bohaterów Howarda, w tym Kulla Atlantydy i innych. Nie ulegało wątpliwości, że chociaż niektóre z tych utworów powstały, zanim w umyśle autora zrodził się ten wspaniały pomysł, przy odrobinie wysiłku można je podciągnąć pod ten sam wzór...

Oprócz opowieści o Conanie Czytelnik znajdzie tu również fragmenty życiorysu tej niezapomnianej postaci, tak jak odtworzyliśmy go z Millerem, wiążące w spójną całość podróże i przygody barbarzyńcy. Jednak nie znajdziecie tu wyjaśnienia, w jaki sposób Conanowi udaje się pozbyć kobiety, którą zazwyczaj zdobywa na końcu opowiadania, aby na początku następnego znów być w wolnym stanie. Nawiasem mówiąc polecam to zagadnienie jako wdzięczny temat badań literackich dla niektórych doktorantów anglistyki. Wyniki byłyby co najmniej tak samo użyteczne jak publikacje zmierzające do ustalenia, czy prace przypisywane W. Szekspirowi zostały w rzeczywistości napisane przez Francisa Bacona czy hrabiego Oxfordu...

Nie zamierzam pisać o samym Robercie E. Howardzie. Nigdy nie poznałem go osobiście, a ci, którzy go znali, zrobią to lepiej ode mnie. Był mi znany jedynie jako autor niezwykle dobrej literatury fantasy. Dzieła pisarza są tą jego częścią, która nie umiera wraz z jego ciałem — a utwory Howarda będą wiecznie żywe wśród tych, którzy naprawdę i całym sercem lubią wielką przygodę. Ty, Czytelniku, jesteś zapewne jednym z nich, inaczej nie kupiłbyś tej książki.

Howard był pierwszorzędnym narratorem, znakomicie posługującym się swoim warsztatem pisarskim i zupełnie pozbawionym zahamowań. Swobodnie i precyzyjnie posługiwał się terminami pochodzącymi z różnych czasów i miejsc: nazwami własnymi w najróżniejszych językach i odmianach, najdziwniejszymi rodzajami broni, jakie tylko były używane pod słońcem, zwyczajami i klasami istniejącymi w starożytności i średniowieczu — tworząc z tego spójny i konsekwentny świat. Później doprawił to wszystko sporą dawką zjawisk nadprzyrodzonych i w rezultacie powstał złoty, purpurowy i

szkarłatny wszechświat, w którym może zdarzyć się wszystko — prócz nudy.

Jego bohaterowie są pozbawieni głębi psychologicznej — ale nigdy nie są nudni. Kull, Solomon Kane, Bran Mak Morn oraz sam Conan chodzą, mówią i żyją. Może nie są to osoby, które zaprosilibyśmy na przyjęcie, lecz z pewnością nie zapomnielibyśmy ich, gdyby jednak przyszli. Conan, największy z bohaterów Howarda, jest zakutym w stal niezniszczalnym i niepohamowanym zawadiaką, jakim my wszyscy kiedyś chcieliśmy być. Kobiety wyglądem, zachowaniem i strojem (lub jego brakiem) przypominają mieszkanki swego rodzaju haremu z naszych marzeń, jakim prawdziwy harem nigdy nie jest (a szkoda, czyż nie byłoby miło spotkać takie osoby?). Każdy łotr jest tak łotrowski, jak może być tylko łotr doskonały.

Czarnoksiężnicy uprawiają naprawdę CZARNĄ magię, a przyzywane przez nich lub pojawiające się z własnej woli stwory są (dzięki Bogu!) nie z tego świata.

A przede wszystkim Howard był znakomitym gawędziarzem. W jego utworach najważniejsza jest akcja. Cały czas coś się dzieje i wydarzenia od początku do końca nie zwalniają biegu, gdy jedno nieuchronnie prowadzi do drugiego, nie pozostawiając czytelnikowi czasu na nabranie tchu. Nie szukajcie w tych opowieściach filozoficznych podtekstów czy intelektualnych zagadek — nie ma ich tam. Howard był gawędziarzem.

Opowiadania te można przyrównać do opowieści typu „płaszcz i szpady”, doprowadzonych do perfekcji i z niewielkim dodatkiem seksu, wystarczającym, aby rezultaty nie spoczęły na półkach szkolnych lektur.

Tak więc mamy tę książkę. Jeżeli czytaliście już coś o Conanie, wiecie, czego się spodziewać. Jeśli nie, a lubicie fantasy, możecie

naprawić to zaniedbanie — usiąść i czytać o bogach, demonach, wojownikach i ich kobietach oraz o ich przygodach w świecie, jaki nigdy nie istniał, lecz istnieć powinien. Jeśli podawana przez autora interpretacja historii nie zgodzi się ze znanymi wam faktami historycznymi, jeśli zaskoczą was opisy etnologiczne lub geologiczne — nie martwcie się tym. Howard opisywał inną Ziemię niż nasza — malowaną jaśniejszymi barwami i znacznie wspanialszą.

Jeśli jednak zależy Ci na realizmie Twoich lektur, jeśli musisz czytać powieści o introwertykach cierpiących w brutalnym świecie albo jeśli wolisz coś „bliskiego ziemi”, dotyczącego psychopatologii lub zagrożenia świata, wtedy, mój przyjacielu, ta książka nie jest dla Ciebie. Lepiej zaszyj się gdzieś, aby czytać „Zbrodnię i karę”. Jednak wtedy nie spotkam się z Tobą — umówiłem się w Erze Hyboryjskiej i mam ten wieczór zajęty.

John D. Clark, Ph.D.
Nowy Jork
5 kwietnia 1950 r.

Dalszych informacji i opinii o Howardzie, Conanie i w ogóle o heroic fantasy szukajcie w innych tomach niniejszej serii, w dwóch periodykach — „Amra”, wydawanym przez Legion Hyboryjski (nieformalną grupę miłośników heroic fantasy, a szczególnie Conana) i publikowanym przez George’a H. Scithersa, Box 9120, Chicago, Illinois, 60690 oraz „The Howard Collector” publikowanym przez Glenna Lorda (agenta literackiego zajmującego się spuścizną literacką po Howardzie) Box 775, Pasadena, Texas, 77501, a ponadto w książce „The Conan Reader” napisanej przez niżej podpisanego, a wydanej

przez Jacka L. Chalkera, 5111 Liberty Heights Avenue, Baltimore,
Maryland, 20207.

L. Sprague de Camp

JASTRZĘBIE NAD SHEMEM

Po wydarzeniach opisanych w opowiadaniu „Pysk w ciemnościach” Conan, niezadowolony ze swoich dotychczasowych osiągnięć w Czarnych Królestwach, podąża na północ przez pustynie Stygii, ku Zielonym Łąkom Shemu. W czasie tej, wędrówki często przydaje mu się reputacja, jaką zdążył sobie zdobyć. W końcu zaciąga się w szeregi armii króla Sumuabiego, rządzącego Akcharią — jednym z wielu południowoshemickich miast — państw. W wyniku zdrady niejakiego Othbaala, kuzyna szalonego króla Akhiroma z Pelishtii, oddziały akcharyjskie wpadły w zasadzkę i zostały doszczętnie zniszczone — Jedyne Conan uszedł z życiem. Teraz podąża śladem zdrajcy do Asgalunu, stolicy Pelishtii.

Wysoka postać w białym płaszczu błyskawicznie obróciła się, klnąc cicho i kładąc dłoń na rękojeści szabli. Na mrocznych ulicach Asgalunu, stolicy Pelishtii, trzeba było uważać. W tym labiryncie ciemnych, krętych uliczek nadbrzeżnej dzielnicy wszystko mogło się zdarzyć.

— Dlaczego mnie śledzisz, psie?

Chrapliwy głos wymawiał gardłowe shemickie zgłoski z hyrkańskim akcentem.

Z cienia wyłoniła się druga postać, odziana — podobnie jak pierwsza — w płaszcz z białego jedwabiu, lecz nie nosząca na głowie spiczastego hełmu.

— Czy powiedziałaś „psie”?

Ten mężczyzna mówił z innym akcentem niż Hyrkańczyk.

— Tak, psie. Śledziłaś mnie...

Nim Hyrkańczyk zdążył powiedzieć coś więcej, tamten skoczył na niego jak wygłodniały tygrys. Hyrkańczyk próbował dobyć szabli. Nim zdążył wyrwać ostrze z pochwy, olbrzymia pięść rąbnęła go w skroń. Gdyby nie był potężnie zbudowanym mężczyzną i nie nosił misiurki, padłby trupem na miejscu. Ale i tak cios rozciągnął go na bruku, wytrącając broń z ręki. Gdy potrząsając głową doszedł do siebie, ujrzał tamtego stojącego opodal z szablą w dłoni.

Nieznajomy burknął:

— Nikogo nie śledzę i nikomu nie pozwalam nazywać się psem! Rozumiesz mnie, psie?

Hyrkańczyk rozejrzał się za swoją szablą i zobaczył, że tamten zdążył już kopnięciem odrzucić ją na bok. Chcąc zyskać na czasie, by w dogodnej chwili skoczyć i chwycić broń, powiedział:

— Wybacz, jeśli się pomyliłem, ale śledzono mnie od zapadnięcia zmroku. Wciąż słyszałem za sobą skradające się kroki. Potem ty pojawiłaś się tak niespodzianie, w miejscu świetnie nadającym się na popełnienie morderstwa.

— A niech cię Isztar porwie! Czemu miałbym cię śledzić? Zabłądziłem. Nigdy przedtem cię nie widziałem i mam nadzieję, że już nigdy...

Słyszając cichy tupot nóg nieznajomy obrócił się na pięcie, odskakując i ustawiając się tak, aby mieć przed sobą zarówno Hyrkańczyka, jak i nowo przybyłych. W mroku groźnie majaczyły cztery olbrzymie sylwetki, a słabe światło gwiazd lśniło blado na zakrzywionych ostrzach. W czarnoskórych twarzach błyszczały białe zęby i białka oczu. Przez chwilę

panowało napięte milczenie. Później ktoś mruknął z miękkim akcentem Czarnych Królestw:

— Który z nich jest nasz? Obaj są podobnie odziani, a w ciemności wyglądają jak bliźniacy.

— Załatwmy obu — odparł inny, o pól głowy przewyższający swoich rosłych kamratów.

— W ten sposób nie popełnimy pomyłki i nie zostawimy świadka.

Po tych słowach czterej czarni w głuchym milczeniu ruszyli naprzód. Nieznajomy zrobił dwa kroki i znalazł się w miejscu, gdzie leżała szabla Hyrkańczyka. Warknął: „Masz!” i kopnął broń w kierunku właściciela, który natychmiast ją złapał. Obcy klnąc wściekle, runął na zbliżających się czarnych.

Olbrzymi Kuszyta i jeden z jego kompanów starli się z nieznajomym, podczas gdy dwaj pozostali rzucili się na Hyrkańczyka. Obcy z kocią zwinnością, którą okazał już wcześniej skoczył na spotkanie wrogom. Szybka finta, brzęk stali i błyskawiczny cios zerwał głowę z ramion niższemu napastnikowi. W tej samej chwili czarny gigant też uderzył, tnąc zza głowy tak silnie, że cięcie mogłoby rozrąbać przeciwnika na pól. Jednak nieznajomy, mimo potężnej budowy, był szybszy od spadającej ze świstem klingi.

Przykucnął i cios przeszedł mu nad głową. Z przysiadu ciął, mierząc w nogi czarnego. Ostrze przecięło mięśnie i kość. Gdy czarny zatoczył się na zranionej nodze, próbując wziąć zamach do następnego ciosu, obcy doskoczył do niego i wbił mu szablę w pierś aż po rękojeść. Krew pociekła mu po przegubie. Opuszczony resztkami sił sejmitar przeciął jedwabną kefię obcego i ześlizgnął się po stalowym hełmie. Olbrzym osunął się na ziemię i skonał.

Nieznajomy wyrwał ostrze z jego ciała i błyskawicznie obrócił się. Hyrkańczyk z zimną krwią odpierał ataki pozostałych dwóch Murzynów, cofając się wolno, żeby mieć obu na oku.

Nagle ciął jednego z nich przez ramię i pierś, tak że tamten wypuścił broń z ręki i z jękiem upadł na kolana. Jednak padając złapał Hyrkańczyka za nogi i uczeplił się ich jak rzep.

Pochwycony daremnie szarpał się i kopał. Muskularne ramiona czarnego trzymały go mocno, a pozostały Murzyn zaatakował go ze zdwojoną furją.

W chwili gdy Kuszyta szykował się do zadania ciosu, którego unieruchomiony Hyrkańczyk nie byłby w stanie sparować, usłyszał za sobą tupot nóg. Zanim zdążył się odwrócić, szabla obcego przeszła go z taką siłą, że połowa jej klingi wyłoniła mu się z piersi, a garda z głuchym łoskotem uderzyła go w plecy. Wrzasnął i wyzionął ducha.

Hyrkańczyk uderzeniem rękojeści roztrzaskał czaszkę swojego przeciwnika i wyrwał się z jego uścisku. Odwrócił się do obcego, który wyciągał ostrze z ciała przebitego wroga.

— Dlaczego mi pomogłeś, skoro przed chwilą o mało nie skreciłeś mi karku? — zapytał.

Tamten wzruszył ramionami.

— Było nas dwóch, a tamtych czterech. Los uczynił nas sprzymierzeńcami. Teraz, jeśli chcesz, możemy podjąć nasz spór. Powiedziałeś, że cię szpieguję.

— Widzę, że się myliłem i błagam o wybaczenie — odparł szybko Hyrkańczyk. — Teraz już wiem, kto mnie tropił.

Wytarł swoją szablę i schował ją do pochwy, po czym kolejno pochylił się nad każdym trupem. Kiedy doszedł do ciała olbrzyma zatrzymał się i mruknął:

— Na Soho! To Keluka Miecznik! Wysokiego musi być rodu ten

łuczniczek, który wysyła strzały nabijane perłami!

To mówiąc, ściągnął czarnemu z palca gruby, grawerowany pierścień, włożył zdobycz do sakiewki i chwycił trupa za kołnierz.

— Pomóż mi pozbyć się tego ścierwa, bracie, żeby uniknąć kłopotliwych pytań.

Idąc w jego ślady, nieznajomy ujął w ręce fałdy okrwawionych kaftanów i zawlókł ciała w ciemny, śmierdzący zaułek, gdzie wznosiła się popękana cembrowina zrujnowanej i zapomnianej studni. Trupy poleciały w otchłań i po chwili daleko w dole rozległ się cichy plusk. Hyrkańczyk odwrócił się ze śmiechem.

— Bogowie uczynili nas sojusznikami — powiedział. — Jestem ci coś winien.

— Nic mi nie jesteś winien — odparł ponuro tamten.

— Słowa nie poruszają góry. Jestem Farouz, łuczniczek z hyrkańskiej jazdy Mazdaka. Chodź ze mną w jakieś przyjemniejsze miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Nie mam żalu o cios, jaki mi zadałeś, chociaż — na Tarima! — wciąż dzwoni mi od niego w głowie!

Obcy niechętnie schował szablę i poszedł za Hyrkańczykiem. Ich droga wiodła przez ponure, cuchnące alejki i wąskie, kręte uliczki. Asgalun stanowił przedziwną mieszaninę przepychu i rozpadu; był miastem, w którym wspaniałe pałace wznosiły się obok osmalonych ruin budowli z minionych wieków. Zatłoczone przedmieścia otaczały mury zakazanego, wewnętrznego miasta, w którym zamieszkiwał król Akhirom i jego notable.

Dwaj mężczyźni dotarli do lepszej i spokojniejszej dzielnicy, gdzie ażurowe okiennice wysuniętych balkonów niemal stykały się ze sobą nad wąskimi uliczkami.

— Wszystkie sklepy pozamykane — mruknął obcy. — Kilka

dni temu o tej porze w mieście było widno jak w dzień, światła paliły się przez całą noc.

— To jeden z kaprysów Akhiroma. Wymyślił sobie, że w nocy nie może się palić ani jedna latarnia. Tylko Pteor wie, co mu jutro przyjdzie do głowy.

Stanęli przed okutymi żelazem wrotami osadzonymi w masywnym, kamiennym portalu. Hyrkańczyk zapukał. Jakiś głos zapytał ich o hasło i otrzymał je. Drzwi uchyliły się i Hyrkańczyk wślizgnął się w gęsty mrok, ciągnąc za sobą towarzysza. Ktoś zamknął za nimi drzwi. Gruba, skórzana kotara uchyliła się, ukazując oświetlony korytarz i poznaczoną bliznami twarz starego Shemity.

— To były żołnierz, który teraz sprzedaje wino — rzekł Hyrkańczyk. — Zaprowadź nas do komnaty, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał, Khannonie.

— Większość komnat stoi pusta — narzekał Khannon, kuśtykając przed nimi. — Jestem zrujnowany. Ludzie boją się nawet dotknąć pucharu, od kiedy król zakazał pić wino. Niech go Pteor pokarze reumatyzmem!

Nieznajomy ciekawie zerkał na mijane komnaty, w których przy półmiskach z jadłem i dzbanach z winem siedzieli liczni goście. Klienci Khannona byli przeważnie typowymi Pelishtianami: krępi, śniadoskórzy mężczyźni z haczykowatymi nosami i kędzierzawymi, kruczoczarnymi brodami. Czasami trafiali się osobnicy drobniejszej budowy należący do któregoś z plemion żyjących na pustyniach wschodniego Shemu lub Hyrkańczycy czy też czarni Kuszyci z najemnej armii Pelishtii.

Khannon z ukłonem wprowadził przybyłych do małego pokoju, gdzie rozłożył dla nich maty. Postawił przed nimi wielki półmisek owoców i orzechów, nalał wina z pękatego bukłaka, po

czym odszedł, kuśtykając i mamrocząc coś pod nosem.

— Kiepskie to czasy dla Pelishtii, bracie — mruknął Hyrkańczyk, żłopiąc wino z Kyros. Był wysokim mężczyzną, chudym, ale dobrze zbudowanym. Miał ruchliwe, bystre czarne oczy, lekko skośnie osadzone w twarzy o żółtawej skórze. Jego długie, czarne wąsy smutnie opadły pod haczykowanym nosem. Prosty płaszcz, jaki nosił, uszyto z drogiego materiału, spiczasty hełm był inkrustowany srebrem, a rękojeść szabli wysadzana drogimi kamieniami. Spoglądał na mężczyznę równego mu wzrostem, ale pod wieloma względami będącego jego krańcowym przeciwieństwem. Nieznajomy miał szersze bary i bardziej wypukłą klatkę piersiową, typową dla ludzi gór. Gładko wygolona, szeroka, ogorzała twarz pod białą kefią była młoda, lecz już poznaczona bliznami wyniesionymi z niezliczonych potyczek i bitew.

Miał jaśniejszą od Hyrkańczyka skórę, której brązowe zabarwienie nie było cechą wrodzoną, lecz skutkiem działania słońca. Na dnie zimnych, niebieskich oczu czaił się groźny błysk. Łyknął wina i oblizwał wargi. Farouz uśmiechnął się i napełnił mu puchar.

— Dobrze walczysz, bracie. Gdyby Hyrkańczycy Mazdaka nie nienawidzili tak bardzo obcych, mógłbyś być wspaniałym żołnierzem.

Tamten tylko przytaknął mu burkliwie.

— A tak naprawdę, to kim jesteś? — nalegał Farouz. — Ja powiedziałem ci, jak się nazywam.

— Jestem Ishbak, Zuagir ze wschodnich pustyń.

Farouz odchylił głowę w tył i zaśmiał się głośno, co wywołało groźny grymas na twarzy jego towarzysza, który zapytał:

— I co w tym śmiesznego?

— Myślisz, że w to uwierzę?

— Czy zarzucasz mi kłamstwo? — warknął obcy.

Farouz uśmiechnął się.

— Żaden Zuagir nie mówi po pelishtiańsku z takim akcentem jak ty, bo język Zuagirów jest jednym z shemickich dialektów. Co więcej, w czasie walki z Kuszytami przyzywałeś dziwnych bogów, — Kroma i Manannana — których imiona słyszałem z ust barbarzyńców z dalekiej Północy. Nie obawiaj się; jestem twoim dłużnikiem i potrafię dochować tajemnicy.

Nieznajomy na pół podniósł się z maty, chwytając za rękojeść szabli. Farouz spokojnie upił łyk wina. Po pełnej napięcia chwili tamten znów usiadł. Z wyraźną niechęcią powiedział:

— No dobrze. Jestem Conan, Cymeryjczyk, niegdyś żołnierz króla Sumuabiego z Akcharii.

Farouz wyszczerzył zęby i wepchnął sobie w usta kiść winogron. Między kęsami rzekł:

— Nie nadajesz się na szpiega, przyjacielu. Jesteś zbyt porywczy i szczery. Co cię sprowadza do Asgalunu?

— Zemsta.

— Kto jest twoim wrogiem?

— Anakijczyk zwany Othbaal, niech psy ogryzą jego kości! Farouz gwizdnął.

— Na Pteora, wysoko mierzysz! Czy wiesz, że ten człowiek jest generałem wszystkich anakijskich oddziałów króla Akhiroma?

— Na Kroma! Dla mnie równie dobrze mógłby być miejskim żebrakiem.

— Co ten Othbaal ci zrobił?

Conan odparł:

— Lud Anakii zbuntował się przeciwko swojemu królowi, który jest jeszcze większym głupcem niż Akhirom. Poprosili o

pomoc Akcharyjczyków. Sumuabi miał nadzieję, że im się uda i wybiorą sobie lepszego króla, tak więc zebrał ochotników. Pięciuset nas pomaszeroowało na pomoc Anakijczykom. Jednak ten przeklęty Othbaal grał na dwie strony. Przewodził rewolcie, żeby zdemaskować wrogów króla, a potem wydał ich królewskim siepaczom, którzy wyrznęli niemal wszystkich.

Othbaal wiedział również o tym, że nadchodzimy i zastawił na nas pułapkę. Nie wiedząc, co się stało, wpadliśmy w nią. Tylko ja uszedłem z życiem i to z najwyższym trudem.

Pozostali padli na polu bitwy albo zostali zamęczeni na śmierć w najstraszniejszych torturach, jakie zdołał wymyślić sabateański królewski kat.

Posępne, niebieskie oczy zwęziły się.

— Nieraz walczyłem przeciw różnym ludziom, a później zapomniałem o nich, ale tym razem przysiągłem, że odpłacę Othbaalowi za moich zabitych przyjaciół. Kiedy wróciłem do Akcharii, dowiedziałem się, że Othbaal uciekł z Anakii, bojąc się swego ludu i przybył tutaj.

W jaki sposób tak szybko udało mu się awansować?

— Jest kuzynem króla Akhiroma — odparł Farouz. — Akhirom, chociaż Pelishtianin, jest również kuzynem króla Anakii i wychował się na jego dworze. Królowie tych małych shemickich miast — państw są zawsze jakoś ze sobą spokrewnieni, co czyni ich spory rodzinnymi kłótniami, ale nie osłabia ich zawziętości. Od jak dawna jesteś w Asgalunie?

— Zaledwie od kilku dni. Wystarczająco długo, żeby się przekonać, iż wasz król jest szalony. Zakazać wina, coś takiego! — prychnął Conan.

— To nie wszystko. Akhirom jest istotnie szalony i lud buntuje się pod jego jarzmem.

Dzierży władzę dzięki trzem oddziałom najemnych żołnierzy, przy pomocy których obalił i zabił swojego brata — poprzedniego króla. Pierwszy oddział składa się z Anakijczyków, których zwerbował, przebywając na wygnaniu w Anakii. Drugi — z czarnych Kuszytów, którzy pod wodzą swojego generała, Imbalayo, z roku na rok rosną w siłę. A trzeci to hyrkańscy jeźdźcy, tacy jak ja. Ich generałem jest Mazdak, tak zniechęcony przez Imbalayo i Othbaala, że stanowi to wystarczający powód do tuzina wojen. Możesz to ocenić po dzisiejszej potyczce.

Othbaal przybył tu w zeszłym roku jako awanturnik bez grosza przy duszy. Awansował częściowo dzięki pokrewieństwu z królem Akhiromem, a częściowo dzięki intrygom ophirańskiej niewolnicy imieniem Rufia, którą wygrał od Mazdaka i nie chciał mu oddać, kiedy tamten wytrzeźwiał. To jeszcze jeden powód, dla którego się nienawidzą. Za Akhiromem również stoi pewna kobieta, Zeriti — stygijska czarownica. Ludzie mówią, że sprowadziła na niego szaleństwo wywarami, którymi poila go, aby mieć nad nim władzę. Jeżeli to prawda, to wpadła we własne sidła, bo teraz nikt już nad nim nie panuje.

Conan odstawił puchar i spojrzał na Farouza.

— I co teraz? Zdradzisz mnie, czy też mówiłeś prawdę, kiedy rzekłeś, że tego nie uczynisz?

Farouz zastanawiał się, obracając w palcach pierścień, który zabrał Keluce.

— Dochowam tajemnicy. Po pierwsze, ja również muszę się porachować z Othbaalem.

Jeśli uda ci się dokonać twego dzieła, nim ja znajdę sposób, aby to zrobić, jakoś przeboleję tę stratę.

Conan podskoczył i żelaznymi palcami ścisnął ramię

Hyrkańczyka.

— Mówisz prawdę?

— Niech ci brzuchaci shemiccy bogowie obsypią mnie czyrakami, jeśli kłamię!

— Zatem pozwól mi pomóc w twej zemście!

— Tobie? Obcemu, który nie ma pojęcia o intrygach Asgalunu?

— Oczywiście! Tym lepiej: skoro nie jestem tu z nikim związany, można mi ufać. No, dalej, zaplanujmy to. Gdzie jest ten wieprz i jak się do niego dobierzemy?

Farouz, chociaż nie był mięczakiem, zadrżał, widząc straszliwy błysk w oczach kompana.

— Niech pomyślę — powiedział. — Jest pewien sposób, potrzeba tylko kogoś zręcznego i odważnego...

Nieco później dwie zakapturzone postacie stanęły w kępie palm rosnących w ruinach pogrążonego w mroku miasta. Przed nimi znajdował się szeroki kanał, a za nim, na przeciwnym brzegu wznosił się wielki, zębaty mur z suszonych na słońcu cegieł, otaczający wewnętrzne miasto. To miasto było w istocie gigantyczną fortecą, broniącą króla i jego wiernych notabli oraz najemnych żołnierzy, a zwykli ludzie nie mogli doń wejść bez przepustki.

— Moglibyśmy wspiąć się na mur — mruknął Conan.

— W ten sposób nie znaleźlibyśmy się bliżej naszego wroga — odparł Farouz, szukając czegoś w mroku. — Tutaj!

Conan zobaczył, że Hyrkańczyk grzebie w bezkształtnej stercie marmurowego gruzu.

— Stara, zrujnowana świątynia — mruknął Farouz. — Jednak... ach!

Podniósł szeroką płytę, odsłaniając wiodące w ciemność stopnie. Conan podejrzliwie zmarszczył brwi. Farouz wyjaśnił:

— Ten korytarz prowadzi za mur i do stojącego tuż za nim domu Othbaala.

— Pod kanałem?

— Tak. Niegdyś dom Othbaala był domem schadzek króla Uriaza, który sypiał na łożu pływającym w basenie rtęci, strzeżony przez oswojone lwy — a jednak mimo to zginął od sztyletu mściciela. Uriaz w każdym swoim domu miał sekretne przejścia umożliwiające ucieczkę. Zanim zamieszkał tam Othbaal, dom należał do jego rywala — Mazdaka.

Anakijczyk nie ma pojęcia o istnieniu tego tunelu, więc chodźmy! Z szablami w dłoniach zeszli po kamiennych stopniach i ruszyli ciemnym korytarzem. Dotykając muru, Conan odkrył, że ściany, podłoga i sufit tunelu były zrobione z wielkich, kamiennych bloków. W miarę jak posuwali się naprzód, kamienie stawały się oślizłe, a powietrze wilgotne. Krople wody spadały Conanowi na kark, sprawiając, że trząsał się i klął pod nosem. Przechodzili pod kanałem. Później zrobiło się sucho. Farouz ostrzegł go syknięciem, gdy dotarli do następnych schodów.

Na ich szczycie Hyrkańczyk przez chwilę mozolił się z rygłem. Kamienna płyta odsunęła się na bok i w szparze zabłysło przyćmione światło. Farouz przecisnął się przez otwór, a kiedy Conan poszedł w jego ślady, zamknął za nim drzwi. Blok znów stał się jedną z wielu pokrywających ściany płyt, niczym nie wyróżniającą się spośród innych. Znaleźli się w łukowato sklepionym korytarzu. Farouz owinął sobie twarz kefią i gestem pokazał Conanowi, żeby zrobił to samo. Później Hyrkańczyk bez wahania ruszył korytarzem. Cymeryjczyk poszedł za nim z bronią w ręku, rozglądając się na boki.

Odchyłili zasłonę z czarnego aksamitu i weszli do przedsionka

o ścianach wyłożonych hebanem i złotem. Muskularny, odziany jedynie w przepaskę na biodrach niewolnik obudził się ze snu, skoczył na równe nogi i zamachnął się wielkim sejmitarem. Jednak nie krzyknął; otwarte usta ukazały, że miał obcięty język.

— Cicho! — warknął Farouz uskakując przed ciosem. Gdy Murzyn stracił równowagę, Conan postawił mu nogę.

Czarny runął na ziemię i Farouz przeszył go szablą.

— Szybko i bez hałasu! — pochwalił szeptem Farouz, szczerząc zęby. — Teraz właściwy cel!

Zaczął ostrożnie otwierać drzwi. Olbrzymi Cymeryjczyk zaglądał mu przez ramię, a oczy płonęły mu jak wilcze ślepia. Drzwi ustąpiły i obaj wskoczyli do komnaty. Farouz zamknął drzwi za sobą i oparł się o nie, śmiejąc się do mężczyzny, który klnąc, zerwał się z łoża. Leżąca obok niego kobieta usiadła na posłaniu i wrzasnęła.

— Zapędziliśmy kozła do zagrody, bracie! — rzekł Farouz.

Przez moment Conan mierzył wzrokiem wroga. Othbaal był wysokim, krzepkim mężczyzną; czarne włosy miał zebrane w węzeł na karku, a kędzierzawą brodę równo przystrzyżoną. Mimo późnej pory był ubrany w jedwabną spódniczkę i aksamitny kaftan, spod którego błyszcząły ogniwa kolczugi. Skoczył i złapał miecz leżący na podłodze przy łożu.

Kobieta nie była nadzwyczaj piękna, ale mimo to urodziwa; rudowłosa, o szerokiej, piegowanej twarzy i brązowych oczach skrzących się inteligencją. Była dość mocno zbudowana, o nieco zbyt szerokich ramionach, wielkim biuście i pełnych biodrach.

Wyglądała na niezwykle energiczną.

— Na pomoc! — wrzasnął Othbaal, stawiając czoła nacierającemu Cymeryjczykowi.

— Napadnięto mnie!

Farouz, który ruszył za Conanem, skoczył z powrotem do drzwi, którymi weszli do komnaty. Barbarzyńca usłyszał nagle poruszenie na korytarzu i zaraz potem jakiś ciężki przedmiot zaczął uderzać w drzwi. W tej samej chwili skrzyżował szable z Anakijczykiem. Ostrza spotkały się z brzękiem, sypiąc skrami, błyskając i lśniąc w świetle lampy.

Obaj atakowali z furją, zadając ciosy, starając się pozbyć życia przeciwnika i nie bawiąc się w finezyjne szermiercze sztuczki. W każdy cios wkładali całą siłę i wolę uśmiercenia wroga. Walczyli w milczeniu. Gdy krążyli wokół siebie, Conan dojrzał Farouza, który podpierał ramieniem drzwi. Szturmujący je z drugiej strony uderzali coraz silniej i już udało im się wyrwać rygiel. Kobieta zniknęła.

— Dasz sobie z nim radę? — spytał Hyrkańczyk. — Jeśli puszcze drzwi, jego niewolnicy wpadną do środka.

— Na razie sobie radzę — odparł Conan, odbijając gwałtowne cięcie.

— Pospiesz się, bo nie zatrzymam ich długo.

Conan zaatakował ze zdwojoną wściekłością. Teraz Anakijczyk musiał zebrać wszystkie siły, aby odbić ciosy barbarzyńcy, które spadały na jego szablę jak młot uderzający w kowadło. Straszliwa wściekłość i siła barbarzyńcy wywarły natychmiastowy skutek. Śniada twarz Othbaala pobladła. Zaczął ciężko dyszeć i cofać się krok po kroku. Spływał krwią z ran na ramionach, udzie i szyi. Conan też krwawił, ale to w niczym nie osłabiało furii, z jaką atakował.

Przyparty do ozdobionej gobelinem ściany Othbaal nagle uskoczył. Straciwszy równowagę po chybionym pchnięciu Conan potknął się i dźgnął końcem szabli w kamienną ścianę pod gobelinem. W tej samej chwili Othbaal zebrał resztę sił i ciął,

mierząc w głowę przeciwnika.

Jednak zrobiona z najlepszej stygijskiej stali szabla Conana nie złamano się, lecz wygięła w łuk i wyprostowała. Opadająca klinga przecięła hełm barbarzyńcy i skórę na jego głowie.

Zanim Othbaal zdołał odzyskać równowagę, ostrze Cymeryjczyka przebiło stalową kolczugę oraz żebra i utkwilo w jego kręgosłupie.

Anakijczyk zatoczył się ze zduszonym krzykiem i wnętrzości wypłynęły mu z rozciętego brzucha. Przez moment jego palce spazmatycznie rwały gruby dywan, później znieruchomiał.

Conan, oślepiiony spływającą krwią i potem, z głuchą furią raz po raz dźgał szablą leżącego, zbyt wściekły, by zdać sobie sprawę z tego, że przeciwnik nie żyje, dopóki Farouz nie zawołał:

— Przestań, Conanie! Poszli po cięższy taran i teraz możemy stąd uciec!

— Jak? — spytał Conan, z trudem ocierając krew zalewającą mu oczy, wciąż oszołomiony ciosem, który rozciął mu hełm. Zerwał z głowy rozłupaną, okrwawioną skorupę i odrzucił ją, ukazując prosto przyciętą, czarną grzywę włosów. Szkarłatna struga spłynęła mu na twarz, ponownie go oślepiając. Pochylił się i oddarłszy pas materiału ze spódniczki Othbaala owiazał sobie głowę.

— Tymi drzwiami! — rzekł Farouz, wskazując palcem. — Tamtędy uciekła Rufia, ta suka! Jeśliś już gotów, zabierajmy się stąd.

Conan ujrzał niepozorne drzwiczki opodal posłania. Były ukryte za draperią, ale uciekająca Rufia odsunęła ją i zostawiła drzwi otwarte.

Hyrkańczyk wyjął z sakiewki pierścień, który ściągnął z palca czarnego zabójcy, Keluki. Przebiegł przez komnatę, upuścił

pierścień obok ciała Othbaala i pobiegł do małych drzwi.

Conan ruszył za nim, chociaż musiał przykucnąć i obrócić się bokiem, żeby przez nie przejść. Znaleźli się w innym korytarzu. Farouz poprowadził Conana okreśną drogą, skręcając i klucząc w labiryncie przejść, aż Cymeryjczyk zupełnie stracił poczucie kierunku. W ten sposób ominęli główną grupę domowników zebranych w przedsionku przed głównym wejściem do pokoju, w którym leżał zabity Othbaal. W pewnej chwili w kolejnej mijanej komnacie rozległy się kobiece piski, ale Farouz nie zatrzymał się. W końcu dotarli do ukrytego przejścia, weszli w nie i po omacku wrócili do kępy palm.

Conan przystanął, aby złapać oddech i poprawić bandaż. Farouz zapytał:

— A jak twoja rana, bracie?

— To tylko skaleczenie. Dlaczego upuściłeś ten pierścień?

— Aby zmylić mścicieli. Na Tarima! Tyle zachodu, a tej dziwce udało się uciec.

Conan uśmiechnął się złośliwie w ciemności. Najwidoczniej Rufia nie widziała w Farouzie wybawcy. Obraz przelotnie widzianej kobiety utkwiał barbarzyńcy w pamięci. Taka kobieta, pomyślał, to w sam raz coś dla mnie.

Potężne mury wewnętrznego miasta były świadkami nadzwyczajnego wydarzenia. W cieniu balkonów przekradała się zawoalowana i zakapturzona postać. Po raz pierwszy od trzech lat kobieta kroczyła ulicami Asgalunu.

Wiedząc, co jej grozi, trzęsa się ze strachu, podsycanego jeszcze czającymi się w zaułkach cieniami. Kamienie raniły jej stopy, obute w ażurowe, atłasowe pantofelki; od trzech lat szewcom Asgalunu nie wolno było robić butów dla kobiet. Król Akhirom wydał dekret nakazujący, aby Pelishtianki trzymano

zamknięte w domach jak gady w klatkach.

Rudowłosa Ophiranka, Rufia, faworyta Othbaala, miała w Asgalunie większą władzę niż jakakolwiek inna kobieta prócz Zeriti — królewskiej czarownicy. A teraz, gdy jak złodziejka przekradała się przez pogrążone w ciemnościach miasto, dręczyła ją paląca jak rozżarzone żelazo myśl, że wszystkie jej przemyślnie uknute plany w mgnieniu oka legły w gruzach, obrócone wniwecz celnym ciosem szabli jednego z wrogów Othbaala.

Rufia należała do tych kobiet, których uroda i inteligencja wstrząsa tronami. Ledwie pamiętała swój ojczysty Ophir, skąd została porwana przez kothijskich łowców niewolników.

Argijski magnat, który ją kupił i wychował, padł w bitwie z Shemitami i Rufia jako zgrabna czternastoletnia dziewczyna przeszła w ręce stygijskiego księcia — ospałego, zniewieściałego młodzieńca, którego owinęła sobie wokół różowego paluszka. Kilka lat później banda korsarzy z na pół mitycznych krain za Morzem Vilayet napadła na rezydencję księcia, znajdującą się na wyspie w górnym biegu Styksu, paląc, rabując, siejąc śmierć i zniszczenie, a ich wódz uniósł w ramionach wrzeszczącą rudowłosą dziewczynę.

Ponieważ Rufia należała do tych kobiet, które rządzą mężczyznami, nie zginęła ani nie została igraszką Hyrkańczyka. Kiedy Mazdak zaciągnął się ze swoją zgrają na służbę króla Akhiroma w Anakii, co było częścią planu Akhiroma chcącego odebrać Pelishtię znienawidzonemu bratu, zabrał Rufie ze sobą.

Nie lubiła Mazdaka. Posępny awanturnik traktował kobiety z rezerwą, utrzymując liczny harem i nie pozwalając żadnej wpływać na swoje decyzje. Ponieważ Rufia nie mogła znieść rywalek, wcale się nie zmartwiła, gdy Mazdak przegrał ją na

rzecz Othbaala.

Anakijczyk bardziej jej odpowiadał. Mimo iż podstępny i okrutny, był silny, energiczny i inteligentny. A co więcej, mogła nim kierować. Trzeba było tylko podsycać jego ambicje, a to Rufia potrafiła robić. Windowała go na kolejne szczeble społecznej drabiny — a teraz został zabity przez parę zamaskowanych morderców, którzy wyrosli jak spod ziemi.

Pogrążona w tych ponurych myślach drgnęła, gdy z cienia zalegającego pod wystającym balkonem wyłoniła się jakaś roślina, zakapturzona postać. Widziała tylko parę pałających oczu, niemal jarzących się w mroku. Cofnęła się z cichym okrzykiem.

— Kobieta na ulicach Asgalunu! — rzekł mężczyzna głuchym, bezbarwnym głosem. —

Czy to nie wbrew królewskim rozkazom?

— Nie wyszłam na ulicę z własnej woli, panie — odparła. — Mój pan został zabity, a ja uciekłam przed jego mordercami.

Nieznajomy pochylił głowę i stał nieruchomo jak posąg. Rufia spoglądała na niego nerwowo. Miał w sobie coś ponurego i złowieszczonego. Nie wyglądał na człowieka zastanawiającego się nad opowieścią przygodnie spotkanej niewolnicy, lecz raczej na posępnego proroka zwiastującego śmierć grzesznikom. W końcu podniósł głowę.

— Chodź — powiedział. — Znajdę dla ciebie miejsce.

Nie przystając, by sprawdzić, czy go usłuchała, poszedł ulicą. Rufia pospieszyła za nim.

Nie mogła krążyć po ulicach przez całą noc, bo pierwszy napotkany oficer królewskiej straży ściąłby jej głowę za pogwałcenie edyktu króla Akhiroma. Ten nieznajomy mógł okazać się okrutnym panem, ale nie miała wyboru.

Kilkakrotnie próbowała go zagadnąć, lecz za każdym razem

odpowiadało jej głuche milczenie. Jego niezwykła obojętność przerażała ją. W pewnej chwili ze zgrozą dostrzegła skradające się za nimi postacie.

— Śledzą nas! — wykrzyknęła.

— Nie zwracaj na nich uwagi — odparł mężczyzna swym niesamowitym głosem.

Potem nie zamienili już ani słowa, aż dotarli do małej furtki w wysokim, grubym murze.

Nieznajomy zatrzymał się i zawołał. Natychmiast mu odpowiedziano. Brama otwarła się, ukazując czarnego, niemego niewolnika trzymającego pochodnię.

W jej świetle zakapturzony mężczyzna wydawał się raczej olbrzymem niż człowiekiem.

— Przecież... przecież to brama Wielkiego Pałacu! — wykrztusiła Rufia.

W odpowiedzi mężczyzna odrzucił kaptur, ukazując pociągłą, bladą twarz, w której jarzyły się dziwne, błyszczące oczy. Rufia wrzasnęła i upadła na kolana.

— Król Akhirom!

— Tak, król Akhirom, grzeszna i niewierna niewiasto! — posepny głos zadudnił jak dzwon. — Próżna i głupia kobieto, która ignorujesz rozkazy Wielkiego Króla, Króla Królów, Króla Świata, przez którego przemawiają bogowie! Która w grzechu przemierzasz ulice i nie zważasz na rozkazy Dobrego Króla! Brać ją!

Idące za nimi postacie podeszły bliżej, okazując się oddziałem czarnoskórych, niemych niewolników. Kiedy ją schwycili, Rufia zemdląca.

Ophiranka odzyskała przytomność w pozbawionej okien komnacie, której drzwi były zamknięte na złote rygle.

Gwałtownie rozejrzała się wokół, szukając swego prześladowcy i skuliła się ze strachu, widząc, że stoi nad nią, gładząc się po spiczastej, siwiejącej brodzie i przeszywając ją palącym spojrzeniem swych straszliwych oczu.

— O, Lwie Shemu! — jęknęła, z trudem podnosząc się na klęczki. — Litości!

Mówiąc to, wiedziała, jak śmieszne są jej błagania. Klęczała przed człowiekiem, którego imię było przekleństwem w ustach Pelishtian; który twierdząc, iż działa z woli bogów, nakazał zabić wszystkie psy, wyciąć wszystkie winnice, a grona i miody wrzucić do rzeki; który zakazał picia wina, piwa i hazardu; który wierzył, że niewypełnienie jego najbliższego rozkazu jest najcięższym z możliwych grzechów. Nocami w przebraniu przemierzał ulice, aby sprawdzić, czy poddani przestrzegają jego rozkazów. Pod jego nieruchomym spojrzeniem Rufia dostała gęziej skórki na całym ciele.

— Błóżnierczyni! — szepnął. — Córa zła! O, Pteorze! — zawołał, wyciągając ręce ku iebu. — Jakąż karę ześlecie na tego demona? Jakie cierpienie będzie wystarczająco straszne, jakie upokorzenie dostatecznie dotkliwe, aby ją ukarać? Bogowie, obdarzcie mnie mądrością!

Rufia podniosła się na kolana i spojrzała mu w twarz.

— Dlaczego wzywasz bogów? — wrzasnęła. — Wzywaj Akhiroma! Tyś jest bogiem!

Urwał, zachwiał się i wydał niezrozumiały okrzyk. Potem wyprostował się i spojrzał na nią z góry. Twarz miała pobielającą, a oczy rozszerzone ze strachu. Groza położenia spotęgowała jej wrodzone zdolności.

— Co widzisz, kobieto? — spytał.

— Ukazał mi się bóg! W twojej twarzy, świecący jak słońce!

Płonę, umieram w blasku jego chwały!

Ukryła twarz w dłoniach i skuliła się, drżąc jak liść. Akhirom otarł czoło i łysinę trzęsącą się ręką.

— Tak — szepnął. — Jestem bogiem! Domyślałem się tego; śniłem o tym. Tylko ja posiadam nieskończoną mądrość. Teraz zdołał to dostrzec także zwykły śmiertelnik. W końcu poznałem prawdę — nie jestem już dłużej narzędziem i sługą bogów, lecz Bogiem nad bogami! Akhirom jest bogiem Pelishtii; bogiem całej ziemi. Fałszywy demon Pteor zostanie obalony, a jego posągi stopione w ogniu...

Popatrzawszy w dół, rozkazał:

— Wstań, kobieto i spójrz na swego boga!

Tak uczyniła, kurcząc się pod jego spojrzeniem. Oczy Akhiroma nabrały nowego wyrazu, jakby dopiero teraz zobaczył ją wyraźnie.

— Twój grzech został ci wybaczony — oznajmił. — Ponieważ jako pierwsza oddałaś cześć swemu bogu, od tej pory będziesz mi służyć z honorem i chwałą.

Padła przed nim na twarz, całując dywan przed jego stopami. Klasnął w ręce. Eunuch wszedł do komnaty i pokłonił się nisko.

— Udasz się zaraz do domu Abdashtartha, arcykapłana Pteora — rzekł król patrząc gdzieś nad głową sługi. — Powiesz mu tak: „Oto słowa Akhiroma, który jest jedynym prawdziwym bogiem Pelishtii, a niebawem stanie się bogiem wszystkich ludzi na ziemi: Jutro stanie się początkiem początku. Bałwany fałszywego Pteora będą zniszczone, a na ich miejscu staną posągi prawdziwego boga. Zostanie wprowadzona nowa religia, a uroczystość tę uświetni ofiara z setki szlachetnie urodzonych dzieci...

Przed świątynią Pteora stał Mattenbaal, pierwszy asystent

Abdashtartha. Wielebny Abdashtartha stał spokojnie; miał związane ręce i przytrzymywali go muskularni anakijscy żołnierze. Jego długa, biała broda poruszała się, gdy się modlił. Za nim inni żołnierze rozpalali ogień pod ogromnym posągiem Pteora o głowie byka i obscenicznie wielkich atrybutach męskości. W tle wznosił się wielki, sześciopiętrowy zikkurat Asgalunu, z którego kapłani odczytywali zapisaną w gwiazdach wolę bogów.

Kiedy mosiężne boki idola rozjarzyły się od żaru, Mattenbaal wystąpił naprzód, wyjął papirus i zaczął czytać:

— Ponieważ nasz boski władca, Akhirom, jest nasieniem Yakin–Ya, wywodzącego się z bogów, którzy zstąpili na ziemię, zatem jest bóg między wami! I teraz nakazuję wam, wszystkim lojalnym Pelishtianom, uznać, pokłonić się i czcić największego z wszystkich bogów, Boga nad bogami, Stwórcę Wszechświata, Wcielenie Boskiej Mądrości, króla bogów, którym jest Akhirom syn Azumeleka, władca Pelishtii! Ponieważ zaś zły i grzeszny Abdashtartha w zatwardziałości serca odrzucił tę prawdę i nie chciał się pokłonić przed swym prawdziwym bogiem, niechaj zostanie rzucony w ogień razem z posągiem fałszywego Pteora!

Żołnierz otworzył mosiężne drzwi umieszczone w brzuchu posągu. Abdashtartha zawołał:

— On kłamie! Król nie jest bogiem, lecz zwykłym szaleńcem! Zabijcie tych, którzy bluźnią przeciw prawdziwemu bogu Pelishtian, potężnemu Pteorowi, inaczej ów najmądrzejszy odwróci się od swego ludu...

W tym momencie Anakijczycy podnieśli Abdashtartha jak kłodę drzewa i cisnęli go, nogami naprzód, w otwór. Jego wrzask został zagłuszony przez szcęk zamykanych drzwi, w które ci sami żołnierze, na rozkaz tego samego Abdashtartha, w chwilach

kryzysu wrzucali setki pelishtiańskich dzieci. Dym sączył się z otworów w uszach posągu, a na twarzy Mattenbaala pojawił się wyraz skrywanej satysfakcji.

W tłumie rozległ się głuchy pomruk. Potem dziki okrzyk przerwał ciszę. Z ciżby wyłoniła się rozczochrana postać — półnagi pasterz. Z okrzykiem „Błuźnierca!” cisnął kamieniem.

Pocisk trafił nowego kapłana w usta, wybijając mu zęby. Mattenbaal zatoczył się i krew pociekła mu po brodzie. Tłum z rykiem runął naprzód. Wysokie podatki, głód, tyrania, przemoc i masakry będące owocem panowania szalonego króla — to wszystko Pelishtianie jakoś znosili, ale ten zamach na ich religię był ostatnią kroplą. Rozważni kupcy stali się szaleńcami, pokorni żebracy zmienili się we wściekłe bestie.

Kamienie sypały się jak grad, a wrzask tłumu stał się jeszcze głośniejszy. Już zaczęto szarpać odzienie na oszołomionym Mattenbaalu, gdy otoczyli go zbrojni Anakijczycy, odepchnęli napierających, tłukąc drzewcami włóczni i łuków, po czym zabrali kapłana z placu.

Ze szczękiem broni i brzękiem wędzideł oddział kuszyckiej jazdy, w przepychu pióropuszy ze strusich piór, lwich grzyw oraz w napierśnikach z posrebrzanych łusek, wypadł galopem z jednej z ulic prowadzących na wielki Plac Pteora. W czarnych twarzach lśniły białe zęby. Rzucane przez tłum kamienie odbijały się od ich tarcz ze skóry nosorożca. Wpadli w ciżbę, tnąc zakrzywionymi szablami i dźgając długimi włóczniami. Asgaluńczycy padali z wrzaskiem pod kopyta ich koni. Buntownicy rozpierzchli się na wszystkie strony, chroniąc się w sklepach i bocznych uliczkach, zostawiając plac usłany ciałami zabitych i rannych.

Czarni jeźdźcy zeskoczyli z siodła i zaczęli rozbijać drzwi

domów i sklepów, aby po chwili wyłonić się z naręczami łupów. Z wnętrza domów słychać było wrzaski kobiet. Trzask ażurowej okiennicy i białe ubrane ciało z łoskotem wypadło na ulicę. Inny jeździec ze śmiechem przebił lancą nieruchomą postać.

Olbrzymi Imbalayo odziany w jaskrawe jedwabie i stal krążył, rycząc między swymi ludźmi, ciężkim biczem zapędzając ich do szeregu. Wsiedli na konie i znów uformowali szyk.

Jadąc stępą, opuścili plac, niosąc ponabijane na ostrza lanc ociekające krwią ludzkie głowy jako przestrozę dla rozwścieczonych Asgaluńczyków, którzy czaili się w swoich kryjówkach, zionąc nienawiścią.

Po zdyszonym eunuchu, który przyniósł królowi Akhiromowi wieść o powstaniu, niebawem pojawił się następny, który padł na twarz i zawołał:

— O, boski królu, generał Othbaal nie żyje! Jego słudzy znaleźli go zamordowanego w jego pałacu, a obok niego pierścień Keluki Miecznika. Dlatego też Anakijczycy uznali, że został zamordowany na rozkaz generała Imbalayo. Szukają Keluki w kwaterach Kuszytów i walczą z czarnymi!

Podsłuchująca za kotarą Rufia wydała stłumiony okrzyk. Wpatrzony w dal Akhirom nie zwrócił na to uwagi. Zupełnie obojętnie powiedział:

— Niech ich rozdziela Hyrkańczycy. Czy prywatne spory mogą zakłócić spokój boga?

Othbaal nie żyje, lecz Akhirom będzie żyć wiecznie. Kto inny poprowadzi moich Anakijczyków. Niech Kuszycki rozprawiają się z tłuszczą, dopóki Pelishtianie nie uświadomią sobie, iż popełniają grzech niedowiarstwa. Moim przeznaczeniem jest objawić się światu w ogniu i krwi, aż wszystkie plemiona ziemi uznają mą boskość i pokłonią się przede mną!

Możesz odejść!

Noc zapadała nad rozgorączkowanym miastem, gdy Conan, któremu już zasklepiła się rana na głowie, kroczył ulicami przylegającymi do kwater Kuszytów. W dzielnicy tej, zamieszkaney głównie przez żołnierzy, paliły się światła, a stragany były otwarte na podstawie cichego porozumienia. Przez cały dzień trwały tu zamieszki. Tłum był niczym wielogłowa hydra: zdeptany tutaj, podnosił głowę gdzie indziej. Podkowy czarnej jazdy dudniły raz w jednym końcu miasta, raz w drugim, tratując buntowników.

Teraz ulice należały do zbrojnych. Wielkie, okute żelazem wrota zamknięto jak za czasów wojny domowej. Przez łukowatą bramę Simura cwałowały oddziały czarnych jeźdźców, a obnażone sejmitary rzucały krwawe błyski w blasku pochodni. Ich jedwabne płaszcze łopotały na wietrze, a czarne ramiona błyszcząły jak polerowany heban.

Conan wszedł do pomieszczenia, gdzie półnaczy wojownicy pożywiali się i ukradkiem popijali zakazane wino. Zamiast zająć pierwsze wolne miejsce barbarzyńca stał z hardo uniesioną głową, tocząc wokół pałającym spojrzeniem. Utkwił wzrok w odległym kącie pomieszczenia, gdzie w ciemnej alkowie siedział niepozornie odziany człowiek z kefią nasuniętą na twarz. Przed nim stał niski stolik z jedzeniem.

Conan podszedł do mężczyzny, omijając inne stoły. Kopnął poduszkę do alkowy naprzeciw siedzącego i usadowił się na niej.

— Witaj Farouzie! — burknął. — Czy też powinienem powiedzieć „generale Mazdaku”?

Hyrkańczyk drgnął.

— Co takiego?

Conan wyszczerzył zęby.

— Poznałem cię, kiedy weszliśmy do domu Othbaala. Nikt prócz właściciela nie znałby tak dobrze sekretów tego budynku, który przedtem należał do Hyrkańczyka Mazdaka.

— Nie tak głośno, przyjacielu! Jak mnie tu poznałeś, skoro nawet moi ludzie nie rozpoznają mnie w tym zuagirskim nakryciu głowy?

— Mam oczy. A zatem, skoro tak dobrze poszło nam za pierwszym razem, co robimy teraz?

— Nie wiem. Sądzę, że znalazłbym coś dla kogoś tak odważnego i silnego jak ty. Jednak wiesz, jak to jest z tymi psubratami.

— Tak — warknął Conan. — Próbowałem zaciągnąć się jako najemnik, ale wasze trzy rywalizujące armie tak bardzo nienawidzą się nawzajem i tak zawzięcie walczą o władzę, że żadna mnie nie chce. Każda myśli, że jestem szpiegiem jednej z dwóch pozostałych.

Przerwał, aby zamówić pieczone.

— Ależ z ciebie niespokojny duch! — rzekł Mazdak. — Czy teraz wrócisz do Akcharii?

Conan splunął.

— Nie. To za mały kraik, nawet jak na te shemickie państewka, i niezbyt bogaty. Ponadto tamtejsi ludzie są tak samo szaleńczo drażliwi na punkcie obcych i dumy narodowej jak wy, więc nie zaszedłbym tam wysoko. Może lepiej powiedz mi się w jednym z hyboryjskich krajów na północy, jeśli znajdę taki, którego władca dobiera ludzi, patrząc tylko na to, czy umieją walczyć. Jednak ty, Mazdaku, dlaczego sam nie zasiądziesz na tronie tego kraju?

Teraz, kiedy nie ma Othbaala, musisz tylko znaleźć jakiś pretekst i wypruć bebechy Imbalayo, a potem...

— Na Tarima! Jestem równie ambitny jak każdy, ale nie aż tak nierozważny! Wiedz, że Imbalayo, zyskawszy zaufanie naszego szalonego monarchy, mieszka w Wielkim Pałacu, otoczony przez swoich czarnych żołnierzy. Oczywiście, można go zabić w jakimś publicznym miejscu — jeżeli ktoś ma ochotę zostać zaraz potem posiekany na kawałeczki. Tylko co wtedy z ambicjami?

— Może zdołamy coś wymyślić — rzekł Conan, mrużąc oczy.

— My? Zakładam, że spodziewałbyś się jakiejś nagrody za współudział?

— Oczywiście. Chyba nie masz mnie za głupca?

— Nie większego od innych. Nie widzę żadnej bezpośredniej korzyści płynącej z takiego przedsięwzięcia, ale zapamiętam twoje słowa. I nie obawiaj się — zostałbyś sownie wynagrodzony. A teraz żegnaj, bo wzywają mnie sprawy państwowej wagi.

Zaraz po wyjściu Mazdaka podano Conanowi pieczyste. Cymeryjczyk wbił zęby w mięsiwo z jeszcze większym niż zazwyczaj apetytem, bowiem dokonana zemsta znakomicie poprawiła mu humor. Pochłaniając porcję, jaka wystarczyłaby lwu, przysłuchiwał się toczonym wokół rozmowom.

— Gdzie są Anakijczycy? — dopytywał się wąsaty Hyrkańczyk, opychając się ciastem z migdałami.

— Zaszyli się w swoich kwaterach — odparł drugi. — Przysięgają, że to Kuszy ci zabili Othbaala i na dowód tego pokazują pierścień Keluki. Keluka zniknął, a Imbalayo zapewnia, że nic o tym nie wie. Jednak Anakijczycy mają ten pierścień, a ponadto tuzin zabitych, którzy zginęli, kiedy król kazał nam rozdzielić ich i Kuszytów. Na Asurę, to był dzień!

— A wszystko przez szaleństwo Akhiroma — stwierdził inny ściszym głosem.

— Zwariowane kaprysy tego lunatyka w końcu nas zgubią!

— Ciszej! — ostrzegł go kompan. — Nasze miecze są na jego usługi, dopóki tak każe Mazdak. Jednak jeżeli znów wybuchnie bunt Anakijczycy raczej będą walczyć przeciw Kuszy — tom niż u ich boku. Ludzie mówią, że Akhirom wziął konkubinę Othbaala, Rufie, do swego haremu. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Anakijczyków, ponieważ podejrzewają, że Othbaal został zamordowany z rozkazu króla, a przynajmniej za jego przyzwoleniem.

Jednak ich gniew jest niczym wobec gniewu Zeriti, którą król oddalił. Przy wściekłości tej czarownicy, jak powiadają, pustynna burza wydaje się wiosenną bryzą.

W posępnych, niebieskich oczach Conana zapalił się dziwny błysk. Mimo iż minęło kilka dni, barbarzyńca nie mógł zapomnieć rudowłosej dziewczki. Myśl o tym, żeby ją wykraść sprzed nosa oszalałemu królowi i ukryć ją przed jej dawnym właścicielem, Mazdakiem, dodawała życiu uroku. A gdyby musiał opuścić Asgalun, dziewczyna byłaby miłą towarzyszką w czasie długiej podróży do Koth. W Asgalunie była jedna osoba, która najlepiej może mu pomóc w tym przedsięwzięciu: Stygijka Zeriti. A jeśli choć trochę znał ludzką naturę, to wiedźma zrobi to z przyjemnością.

Opuścił salę jadalną i skierował się ku murom wewnętrznego miasta. Dom Zeriti, jak wiedział, znajdował się w tej właśnie części Asgalunu. Aby do niego dojść, musiał przedostać się za mur, a nie zwracając na siebie uwagi, mógł tego dokonać, jedynie korzystając z tunelu pokazanego mu przez Mazdaka.

Tak więc dotarł do kanału i wszedł w kępę palm rosnących przy brzegu. Macając w ciemności wśród marmurowych gruzów, odnalazł i podniósł płytę. Znowu ruszył przez wilgotny mrok, na

końcu tunelu potknął się o schody i wszedł na nie. Znalazł rygiel i prześlizgnął się na korytarz, pogrążony teraz w ciemnościach. W budynku panowała cisza, lecz sącząca się skądś smuga światła świadczyła o tym, że dom był nadal zamieszkały, niewątpliwie przez służbę i kobiety generała.

Nie wiedząc, gdzie są schody prowadzące na zewnątrz, barbarzyńca zdał się na los szczęścia i wszedł w zasłonięte kotarą przejście, aby... stanąć oko w oko z sześcioma czarnymi niewolnikami, którzy zerwali się na równe nogi, dziko wywracając oczami. Nim zdążył się cofnąć, usłyszał za plecami głośny krzyk i tupot nóg. Przeklinając swoje pieskie szczęście, Conan wpadł między czarnych. Wśród błysku i szczęku stali przedarł się przez nich, zostawiając za sobą wijącą się na podłodze ofiarę, po czym wpadł w drzwi po drugiej stronie pokoju. Zatrzasnął je, zanim zakrzywione ostrza wbiły mu się w plecy. Szable uderzyły o drewno i w deskach pojawiły się błyszczące, stalowe punkciki. Conan zasunął rygiel i obrócił się na pięcie, gorączkowo szukając wyjścia. Ujrzał okno zakratowane złotymi prętami.

Rozpędził się i całym ciężarem ciała uderzył w okno. Miękkie sztaby wyłamały się z trzaskiem, zabierając ze sobą znaczną część ściany. Barbarzyńca znalazł się w powietrzu w tej samej chwili, gdy drzwi ustąpiły i do pokoju wpadła horda wyjących postaci.

W Wielkim Wschodnim Pałacu, gdzie niewolnice i eunuchowie chodzili na palcach, nie słychać było nawet echa piekielnego zgiełku, jakim rozbrzmiewały ulice. W komnacie o kopule z kości słoniowej zdobionej złotym filigranem król Akhirom, odziany w togę z białego jedwabiu, w której jeszcze bardziej przypominał ducha, siedział ze skrzyżowanymi nogami

na wysadzonym klejnotami łożu i spoglądał na klęczącą przed nim Rufie.

Dziewczyna miała na sobie togę ze szkarłatnego jedwabiu, przepasaną satynową szarfą wyszywaną perłami. Jednak mimo świetnego stroju w oczach Ophiranki czaił się lęk.

Zainspirowała ostatnie szaleństwo Akhiroma, ale nie miała na niego żadnego wpływu. Teraz zdawał się nieobecny duchem, a jego zimne spojrzenie wywoływało dreszcze. Nagle przemówił:

— Bogowie nie powinni sypiać ze śmiertelnikami.

Rufia drgnęła, otworzyła usta, ale nie śmiała się odezwać.

— Miłość to ludzka słabostka — mówił dalej. — Odrzucę ją. Bogowie są ponad miłością.

Kiedy leżę w twoich ramionach, nachodzi mnie słabość.

— Co masz na myśli, mój panie? — odważyła się spytać.

— Nawet bogowie muszą ponosić ofiary, zatem ja zrezygnuję z ciebie, inaczej moja boskość osłabnie.

Klasnął w dłonie i do komnaty wczołgał się eunuch.

— Przysłać tu generała Imbalayo! — rozkazał Akhirom, a eunuch uderzył czołem o posadzkę i wycofał się rakiem. Takie zachowanie zalecał ostatnio wprowadzony na dworze ceremoniał.

— Nie! — zerwała się Rufia. — Nie możesz oddać mnie tej bestii..!

Upadła na kolana, chwytając za kraj jego szaty, którą zaraz wyszarpnął jej z ręki.

— Kobieto! — zagrzemiał. — Oszalałaś? Podnosisz rękę na boga?

Do komnaty niepewnie wszedł Imbalayo. Wojownik z barbarzyńskiego Darfaru osiągnął obecne stanowisko dzięki swej sile oraz intrygom. Jednak chociaż był sprytny, zręczny i

odważny, nie miał pojęcia, co w tym momencie może przyjść do głowy Akhiromowi. Król wskazał kobietę skuloną u jego stóp.

— Weź ją sobie!

Imbalayo wyszczerzył zęby w uśmiechu i chwycił Rufie, która szamotała się i wrzeszczała w jego uścisku. Gdy Murzyn wynosił ją z komnaty, błagalnie wyciągnęła ramiona do Akhiroma. Jednak władca nie zareagował, siedząc z założonymi rękami i nieobecny spojrzeniem.

Jej krzyk usłyszał ktoś inny. Ukryta w alkwie drobna, brązowoskóra dziewczyna patrzyła, jak roześmiany Kuszyta niesie brankę korytarzem. Gdy tylko zniknął jej z oczu, pobiegła w przeciwnym kierunku.

Imbalayo, ulubieniec króla, jako jedyny z generałów mieszkał w Wielkim Pałacu. W rzeczywistości pałac składał się z kilku budynków połączonych ze sobą i mieszczących trzy tysiące sług Akhiroma. Przemierzając kręte korytarze, od czasu do czasu przechodząc przez dziedziniec wyłożony mozaiką, Imbalayo dotarł do swojej kwatery w południowym skrzydle.

Jednak kiedy stanął przed tekowymi drzwiami ozdobionymi miedzianą arabeską, jakaś gibka postać zagrodziła mu drogę.

— Zeriti!

Imbalayo stanął jak wryty. Dłonie przystojnej, brązowoskórej kobiety zaciskały się gniewnie.

— Sługa przyniósł mi wiadomość, że Akhirom pozbył się tej rudowłosej suki — powiedziała Stygijka. — Sprzedaj mi ją! Jestem jej coś dłużna i chcę spłacić ten dług.

— Czemu miałbym to zrobić? — rzekł Kuszyta, kręcąc się niespokojnie. — Król mi ją podarował. Odsuń się, bo cię uderzę.

— Czy słyszałeś, co Anakijczycy krzyczą na ulicach?

— A co to mnie obchodzi?

— Domagają się głowy Imbalayo za morderstwo popełnione na Othbaalu. Co będzie, jeśli im powiem, że to prawda?

— Nie miałem z tym nic wspólnego! — krzyknął.

— Mogę znaleźć ludzi, którzy przysięgną, że widzieli, jak pomogłeś Keluce zarąbać

Othbaala.

— Zabiję cię, wiedźmo!

Roześmiała się.

— Nie odważysz się! A teraz, sprzedasz mi ten rudowłosy klejnot czy też będziesz walczył z Anakijczykami?

Imbalayo puścił Rufię, która osunęła się na podłogę.

— Weź ją i wynoś się! — warknął.

— Bierz swoją zapłatę! — odparła i cisnęła mu garść monet w twarz. Oczy Imbalayo nabiegły krwią, a jego dłonie otwierały się i ścisnęły z tłumionej wściekłości.

Nie zwracając na niego uwagi, Zeriti pochyliła się nad Rufią, która skuliła się z rozpaczą, zdając sobie sprawę, że sztuczki, jakie stosowała wobec mężczyzn, na nic jej się teraz nie zdadzą. Zeriti chwyciła Ophiranę za rude loki i odchyliwszy jej głowę w tył, zajrzała głęboko w oczy. Później klasnęła w dłonie. Weszło czterech eunuchów.

— Zabierzcie ją do mego domu — rozkazała Zeriti i czarni unieśli rozdygotaną Rufię.

Zeriti poszła za nimi, cicho oddychając przez zaciśnięte zęby. Kiedy Conan wyskoczył przez okno, nie miał pojęcia, co znajduje się w ciemności poniżej. Krzaki złagodziły jego upadek. Zrywając się na nogi, zobaczył w górze twarze prześladowców. Znajdował się w rozległym, cienistym ogrodzie, pełnym dziwnych drzew i kwiatów. Pościg jeszcze błądził w ich gąszczu, gdy barbarzyńca dotarł do muru. Podskoczył, chwycił krawędź jedną ręką i

podciągnąwszy się, przeskoczył na drugą stronę.

Przystanął, żeby rozejrzeć się wokół. Choć nigdy nie był w wewnętrznym mieście, opisywano mu je tak często, że mógłby z pamięci narysować jego mapę. Znalazł się w dzielnicy urzędników. Patrząc przed siebie, widział nad płaskimi dachami wielką budowlę, która musiała być Mniejszym Pałacem Zachodnim, ogromną rezydencją otoczoną słynnym Ogrodem Abibaala. Nabrawszy pewności pospieszył ulicą, na którą zeskoczył i niebawem wyszedł na szeroką aleję przecinającą miasto z północy na południe.

Mimo późnej pory panował spory ruch. Za rogiem przemaszerowali zbrojni Hyrkańczycy. Z wielkiego placu między dwoma pałacami dobiegał brzęk końskich uprzęży i w blasku pochodni Conan dostrzegł szwadron kuszyckiej jazdy. Nie bez powodu czekali w gotowości. W oddali słychać było ponury łoskot tam-tamów. Wiatr przynosił strzępki dzikich pieśni i wrzaski.

Wyglądający na żołnierza Conan przeszedł między zbrojnymi, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Kiedy pociągnął jakiegoś Hyrkańczykaza rękaw i zapytał o drogę do domu Zeriti, ten chętnie mu ją pokazał. Conan, jak wszyscy w Asgalunie, wiedział, że chociaż Stygijka uważała Akhiroma za swoją własność, to nie za jedyną. Wielu najemników znało jej komnaty równie dobrze co król Pelishtii.

Dom Zeriti przylegał do dziedzińca Wschodniego Pałacu, łącząc się z jego ogrodem, tak że Stygijka, kiedy była w łaskach, mogła przychodzić do pałacu, nie naruszając królewskiego dekretu zakazującego kobietom wychodzić na ulice. Zeriti, córka plemiennego wodza, była kochanką, lecz nie niewolnicą Akhiroma.

Conan nie oczekiwał żadnych trudności w dostaniu się do jej domu. Stygijka pociągała za różne sznurki intryg i spisków, tak więc udzielała audiencji ludziom wszelkich ras i różnego stanu, zaś tancerki i opary czarnego lotosu w sali posłuchań dostarczały im rozrywki. Tej nocy nie było tam ani tancerek, ani gości, ale Zuagir o łotrowskim wyglądzie otworzył oświetlone pochodnią w żelaznym kagańcu drzwi i bez słowa wpuścił Conana do środka.

Poprowadził go przez mały dziedziniec, schody, korytarz, aż w końcu znaleźli się w rozległej komnacie z licznymi łukowatymi wnękami, zasłoniętymi kotarami ze szkarłatnego aksamitu. Słabo oświetlony pokój był pusty, lecz gdzieś opodal jakaś kobieta krzyczała z bólu. Później dał się słyszeć perlisty śmiech, także kobiecy, niewypowiedzianie złośliwy i mściwy. Conan nadstawił ucha, próbując ustalić, skąd dobiegają te dźwięki. Potem zaczął zaglądać za kotary, szukając ukrytych za nimi drzwi.

Zeriti przeciągnęła się i wypuściła z ręki ciężki bat. Ciało przywiązanej do posłania nagiej dziewczyny poznaczone było od karku po kostki czerwonymi pręgami. Jednak był to zaledwie wstęp do czegoś daleko okropniejszego.

Czarownica wyjęła z szafki kawałek węgla i nakreśliła nim na podłodze skomplikowany wzór, opatrując go słowami z tajemniczych rękopisów węzowego ludu władającego Stygią przed Katakлизmem. W każdym z pięciu narożników figury zapaliła małą złotą lampkę i sypnęła w płomienie pył purpurowego lotosu, który rośnie na bagnach południowej Stygii.

Dziwny, odrażająco-słodkawy zapach rozszedł się po komnacie. Później Zeriti zaczęła mamrotać coś w języku, który był już stary, zanim w zapomnianym imperium Acheronu, przed trzema tysiącami lat powstał Python — miasto czerwonych wież.

Powoli z nicości wyłaniał się jakiś mroczny kształt. Półżywej z

bólu i strachu Rufii wydał się słupem dymu. Wysoko w górze pojawiła się w tej bezkształtnej masie para błyszczących punkcików, które mogły być ślepiami. Rufia poczuła przenikliwy chłód, jakby to coś samą swą obecnością odbierało jej ciało całe ciepło. Chmura, chociaż zdawała się zupełnie czarna, była niezbyt gęsta. Rufia widziała przez nią przeciwległą ścianę.

Zeriti nachyliła się i zdmuchnęła lampy: jedną, drugą, trzecią i czwartą. W komnacie, oświetlonej teraz przez pozostałą lampkę, zrobiło się mroczno. Gdyby nie para jarzących się ślepi słup dymu byłby niemal niewidoczny.

Zeriti odwróciła się, słysząc jakiś dźwięk: daleki, stłumiony ryk, osłabiony odległością, lecz mimo to donośny. Dobywał się z tysięcy gardzieli.

Wróciła do swych zakłęb, ale tym razem przeszkodziło jej coś innego. Gniewne słowa, głos Zuagira, krzyk, odgłos potężnego ciosu, łoskot padającego ciała i do komnaty wpadł Imbalayo. W nikłym świetle tym jaśniej zabłysły białka jego oczu i wyszczerzone zęby; jego szabla ociekała krwią.

— Ty psie! — wykrzyknęła Stygijka, prężąc się jak rozwścieczona żmija. — Co tu robisz?

— Kobieta, którą mi zabrałaś! — ryknął Imbalayo. — W mieście wybuchł bunt i zapanowało szaleństwo! Oddaj mi kobietę, zanim cię zabiję!

Zeriti zerknęła na rywalkę i chwyciła za wysadzany klejnotami sztylet, krzycząc:

— Hotepie! Chafro! Na pomoc!

Czarny generał runął na nią z rykiem. Gibka i zwinna Stygijka nie miała żadnych szans; szerokie ostrze przeszło ją na wylot, wychodząc między łopatkami. Runęła ze zduszonym krzykiem, a Kuszyta wyszarpnął ostrze z ciała padającej. W tej samej chwili

na progu komnaty stanął Conan z szablą w dłoni. Kuszyta widocznie wziął Cymeryjczyka za jednego ze służących czarownicy, bo runął na niego jak burza, podnosząc szablę do ciosu. Conan odskoczył; ostrze o włos minęło jego gardło i rozłupało futrynę. Uskakując, barbarzyńca ciął na odlew. Wydawało się niemożliwym, by czarny olbrzym zdołał zasłonić się w porę i odparować cios, lecz Imbalayo jakoś wykręcił jednocześnie tułów, ramię i ostrze przechwytyjąc cięcie, które rozplatałoby innego przeciwnika.

Atakowali i cofali się wśród brzęku stali. Nagle w oczach Imbalayo pojawił się błysk rozpoznania. Odskoczył z krzykiem:

— Amra!

Teraz Conan wiedział, że musi go zabić. Chociaż nie przypominał sobie jego twarzy, Kuszyta rozpoznał w nim przywódcę czarnych korsarzy, który pod imieniem Amra, czyli Lew, plądrował wybrzeża Kush, Stygii i Shemu. Gdyby Imbalayo wyjawiał Pelishtianom, kim jest Conan, mściwi Shemici rozszarpaliby Cymeryjczyka na strzępy, nawet gołymi rękami.

Chociaż Shemici zażarcie walczyli ze sobą, zjednoczyliby się, aby zniszczyć krwawego barbarzyńcę, który grasował u ich brzegów.

Conan pchnął, zmuszając Imbalayo do cofnięcia się o krok, zrobił fintę i ciął Kuszytę w głowę. Siła ciosu przełamala zastawę przeciwnika, szabla z potworną siłą uderzyła w spiżowy hełm i — osłabiona głęboką szczerbą — ułamala się przy samej rękojeści.

Przez krótką chwilę dwaj barbarzyńcy spoglądali na siebie bez słowa. Imbalayo napiął mięśnie, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu; nabiegłymi krwią oczami szukał odpowiedniego miejsca na ciele przeciwnika.

Conan cisnął rękojeść w głowę czarnego. Gdy Kuszyta uchylił się przed pociskiem, barbarzyńca owinął sobie lewe ramię płaszczem, a prawą ręką dobył sztyletu. Nie miał złudzeń co do swoich szans w walce z uzbrojonym w dłuższe ostrze wrogiem. Skradający się jak kot na lekko ugiętych nogach Kuszyta nie był ociążał górami jak Keluka, lecz wspaniale umięśnioną machiną wojenną, niemal równie groźną jak Cymeryjczyk. Uniósł szablę do ciosu i...

Bezkształtna, kłębiasta masa, do tej pory niewidoczna w półmroku, przesunęła się i przywarła do pleców Imbalayo. Kuszyta wrzasnął jak człowiek palony żywcem. Wierzgał i miotał się, próbując sięgnąć napastnika swoją szablą. Lecz gorejące ślepia wciąż jarzyły się za jego plecami i czarna mgła otoczyła go zupełnie, powoli odciągając go w tył.

Conan wzdrygnął się na ten widok, a w jego duszy odżyły wszystkie przesądne obawy, ściskając mu gardło lodowatymi palcami. Wrzaski Imbalayo ucichły. Czarne ciało z cichym plaśnięciem osunęło się na podłogę.

Chmura zniknęła.

Cymeryjczyk ostrożnie podszedł do wroga. Ciało Imbalayo było dziwnie odbarwione i płaskie, jakby demon wyssał z niego wszystkie kości i krew, zostawiając jedynie pusty worek skóry i kilka wewnętrznych organów. Conan zadrżał. Ciche łkanie przypomniało mu o Rufii. Jednym susem znalazł się przy łożu i przeciął jej więzy. Usiadła płacząc i w tej samej chwili ktoś zawołał:

— Imbalayo! Na demony, gdzie się podziewasz? Czas siadać na koń i jechać! Widziałem, jak tu wchodziłeś!

Do komnaty wpadł człowiek w hełmie i zbroi. Mazdak cofnął się na widok trupów i krzyknął:

— Och, ty przeklęty dzikusie, dlaczego musiałeś zabić Imbalayo właśnie teraz? W mieście bunt. Anakijczycy walczą z czarnymi, którzy mają pełne ręce roboty. Ja jadę z moimi wesprzeć Kuszytów. Co do ciebie — nadal zawdzięczam ci życie, ale wszystko ma swoje granice! Wynoś się z tego miasta i niech cię więcej nie widzę!

Conan uśmiechnął się.

— To nie ja go zabiłem, lecz jeden z demonów Zeriti, kiedy zabił wiedźmę. Obejrzyj trupa, jeśli mi nie wierzysz.

Gdy Mazdak pochylił się nad zabitym, Conan dodał:

— Czy nie przywitasz się ze swoją dawną przyjaciółką, Rufią?

Ophiranka kulila się za plecami Cymeryjczyka. Mazdak tarmosił wąsa.

— No dobrze. Zawiozę ją z powrotem do domu; mamy... Ryk tłumu w oddali przybrał na sile.

— Nie — rzekł po namyśle Mazdak. — Muszę ich uspokoić. Ale jak mogę pozwolić jej nago chodzić po ulicach?

Conan powiedział:

— Dlaczego nie przyłączysz się ze swoimi ludźmi do Anakijczyków, którzy równie chętnie pozbędą się szalonego króla jak Asgaluńczycy? Skoro Othbaal i Imbalayo nie żyją, jesteś jedynym żywym generałem w Asgalunie. Stań na czele buntu, obal szalonego

Akhiroma i posadź na jego tronie któregoś z jego kuzynów lub siostrzeńców. W ten sposób staniesz się prawdziwym władcą Pelishtii!

Mazdak, który słuchał tego jakby we śnie, wybuchnął śmiechem.

— Zrobione! — zawołał. — Na koń! Zawieź Rufie do mojego domu, a potem przyłącz się do Hyrkańczyków. Jutro będę rządził

Pelishtią, a ty będziesz mógł prosić mnie, o co zechcesz. A teraz żegnaj!

I Hyrkańczyk wyszedł łopocząc rozwianym płaszczem. Conan odwrócił się do Rufii.

— Załóż coś na siebie, dziewczko.

— Kim jesteś? Słyszałam jak Imbalayo nazwał cię Amrą...

— Nie wymawiaj tego imienia w Shemie! Jestem Conan, Cymeryjczyk.

— Conan? Kiedy byłam z królem słyszałam, jak mówiono o tobie. Nie zabieraj mnie do domu Mazdaka!

— Dlaczego nie? On będzie prawdziwym władcą Pelishtii.

— Zbyt dobrze znam tego zimnego węża. Lepiej weź mnie ze sobą. Splądrujmy ten dom i uciekajmy z miasta. W tym zamieszaniu nikt nas nie zatrzyma.

Conan uśmiechnął się.

— Kuisz mnie, Rufio, ale teraz lepiej opłaci mi się trzymać stronę Mazdaka. Ponadto powiedziałem mu, że cię dostarczę, a lubię dotrzymywać słowa. Teraz załóż coś na siebie albo powłokę cię tak, jak stoisz.

— Dobrze — powiedziała Rufia urażonym tonem i urwała. Z miejsca, gdzie leżała Zeriti, dobiegł bulgoczący dźwięk.

Na oczach patrzącego na to ze zgrozą Conana czarownica powoli usiadła na podłodze, mimo rany, którą każdy doświadczony wojownik uznałby za śmiertelną. Z trudem podniosła się na nogi i stała chwiejnie, wpatrując się w Conana i Rufie. Z ran na plecach i piersi ciekła jej strużka krwi. W końcu wiedźma przemówiła, dławiąc się własną krwią:

— Trzeba... czegoś więcej niż... pchnięcia mieczem... żeby zabić... córkę Seta...

Zataczając się, ruszyła do drzwi. Na progu odwróciła się i

wydyszała:

— Asgaluńczyków zainteresuje... że Amra i jego kobieta... są w mieście...

Conan stał niezdecydowanie. Wiedział, że dla własnego bezpieczeństwa powinien rzucić się na czarownicę i posiekać ją na kawałki, lecz powstrzymywała go typowa dla barbarzyńcy niechęć do atakowania bezbronnej kobiety.

— Czemu chcesz naszej krzywdy? — wybuchnął. — Możesz teraz mieć swojego króla!

Zeriti potrząsnęła głową.

— Znam... plany... Mazdaka... I nim opuszczę to ciało... na dobre... zemszczę się... na tej dziwce...

— A więc dobrze — warknął Conan, chwytając szablę Imbalayo i ruszając w kierunku wiedźmy. Jednak Zeriti nakreśliła dziwny znak w powietrzu i wymówiła jakieś słowo.

Między Conanem a drzwiami wyrosła ściana ognia, sięgająca od ściany do ściany. Barbarzyńca cofnął się, osłaniając dłonią twarz przed żarem. Zeriti zniknęła.

— Za nią! — krzyknęła Rufia. — Ogień to tylko jedna z jej sztuczek.

— Jednak skoro nie można jej zabić...

— Mimo to, głowy odrąbane od ciała nie zdradzają sekretów!

Conan zacisnął zęby i pospieszył do wyjścia, przeskakując przez ścianę ognia. Przez moment poczuł piekący ból, ale płomienie zniknęły w chwili, kiedy przez nie skoczył.

— Zaczekaj tu! — warknął do dziewczyny i pobiegł za Zeriti.

Jednak kiedy wypadł na ulicę, po czarownicy nie było ani śladu. Podbiegł do pierwszej przecznicy i zajrzał za róg, a potem zawrócił w przeciwnym kierunku. Nigdzie nie dostrzegł wiedźmy. Po chwili był z powrotem w domu Zeriti.

— Miałaś rację — mruknął do Rufli. — Bierzmy, co się da i w nogi.

Na wielkim Placu Adonisa kopzące pochodnie oświetlały kłębowisko przewalających się tu i tam postaci, rżących koni i migoczących ostrzy. Walczono twarzą w twarz; Kuszyci ścierali się z Shemitami, dysząc, klnąc i ginąc. Asgaluńczycy jak szaleni rzucali się na czarnych wojowników, ściągając ich z siodeł lub przecinając popręgi przerażonym wierzchowcom. Zardzewiałe piki z trzaskiem zderzały się z włóczyniami. Tu i ówdzie buchnęły płomienie, unosząc się pod niebiosa, aż pasterze na odległych Wzgórzach Libnun rozdziawili usta ze zdziwienia. Z przedmieść napływali nowi ludzie, przyłączając się do tych na placu: Setki nieruchomych postaci w zbrojach lub pasiastych płaszczach leżały na bruku, a nad nimi dudniły końskie kopyta, zaś żywi wrzeszczeli, kłuli i rąbali.

Plac znajdował się w kuszyckiej dzielnicy, którą rozwścieczeni Anakijczycy najechali, kiedy większość Murzynów walczyła z tłumem w innej części miasta. Pospiesznie wycofawszy się do swoich kwater, czarnoskórzy wojownicy dzięki swej przewadze liczebnej spychali anakijską piechotę w tył, podczas gdy napierający tłum zagrażał obu walczącym oddziałom. Pod wodzą swego kapitana, Bombaaty, Kuszyci sformowali szyk dający im przewagę nad niezorganizowanymi Anakijczykami i nad pozbawionym przywódcy tłumem.

Ich szwadrony przelatywały tam i z powrotem przez plac, aby utrzymać pośród napierających tysięcy wolną przestrzeń, pozwalającą im wykorzystać przewagę, jaką dawały konie.

W tym czasie rozwścieczeni Asgaluńczycy plądrowali i podpalali domy czarnych, wywlekając z nich wrzeszczące kobiety. Łuna płonących budynków zalała plac oceanem ognia,

zaś krzyki kobiet i dzieci rozszarpywanych przez Shemitów sprawiały, że czarni walczyli z większą niż zwykle zawziętością. Dał się słyszeć łoskot hyrkańskich bębnów i tętent końskich kopyt.

— Nareszcie są Hyrkańczycy! — wysapał Bombaata. — Dosyć już zwlekali. I gdzie, na Derketo, podziewa się Imbalayo?

Na plac wpadł rozszalały koń, toczący pianę z pyska. Jeździec, chwając się w siodle, wrzasnął:

— Bombaato! Bombaato!

— Jestem tu, głupcze! — ryknął Kuszyta, łapiąc konia za uzdę.

— Imbalayo nie żyje! — wrzasnął tamten, przekrzykując szum płomieni i przybliżający się łoskot bębnów. — Hyrkańczycy zwrócili się przeciwko nam! Zabili naszych braci w pałacu!

Oto są!

Z ogłuszającym łomotem podków i bębnów na plac wpadły szwadrony zakutych w żelazo włóczników, tratując wrogów i sprzymierzeńców. Bombaata ujrzał orlą, pełną uniesienia twarz Mazdaka unoszącego szablę do ciosu; potem ostrze spadło i Kuszyta runął na ziemię.

Na skalnych zboczach Libnunu pasterze patrzący na miasto trzęśli się ze zgrozy, a szczęk mieczy niósł się na wiele mil w górę rzeki, gdzie pobladli notable dygotali w swych ogrodach.

Otoczeni przez zakutych w stal Hyrkańczyków, oszalałych Anakijczyków i wrzeszczących Asgaluńczyków, czarni zostali wybici do nogi.

Tłum pierwszy przypomniał sobie o Akhiromie. Wpadł przez niestrzeżoną bramę do wewnętrznego miasta i przez wielkie, brązowe wrota do Wschodniego Pałacu. Hordy obszarpańców z wrzaskiem przemknęły korytarzami i wbiegły przez Złote Wrota do Złotej Sali, gdzie rozdarte zasłony ze złotogłowiu ukazały

pusty tron. Chciwe, zakrwawione palce zdzierały ze ścian jedwabne draperie. Wśród szczęku złotych nakryć wywrócono sardoniksowe stoły. Eunuchowie w szkarłatnych szatach umykali z piskiem i wrzeszczały gwałcone niewolnice.

W Wielkiej Szmaragdowej Sali król Akhirom stał nieruchomo jak posąg na usłanym futrami podium, załamując białe ręce. Przy wejściu do sali stała garstka jego wiernych sług, starając się powstrzymać napastników. Oddział Anakijczyków przedarł się przez ciżbę i rozerwał pierścień czarnych niewolników. Gdy śniadoskórzy shemiccy żołnierze w zwartym szyku ruszyli naprzód, Akhirom jakby odzyskał zmysły. Skoczył do drzwi znajdujących się za tronem. Anakijczycy i Pelishtianie, jak jeden mąż, popędzili za uciekającym królem. Za nimi gnał oddział Hyrkańczyków ze zboczonym krwią Mazdakiem na czele.

Akhirom pobiegł korytarzem, a potem skręcił i wpadł na kręte schody. Stopnie wiodły wciąż w górę, prowadząc na dach pałacu. Jednak nie kończyły się tam; biegły jeszcze wyżej we wnętrzu smukłej, wznoszącej się z dachu wieży, z której ojciec Akhiroma, król Azumelek, obserwował gwiazdy.

Akhirom biegł na górę, a za nim pościg, aż stopnie stały się tak wąskie, że ścigający musieli piąć się pojedynczo i zwolnić, gdyż zabrakło im tchu.

Władca wypadł na mały, owalny taras na szczycie wieży, otoczony niskim murkiem. Zatrzasnął kamienną klapę i zasunął rygiel. Później wychylił się i spojrzał w dół. Na dachu roіło się od ludzi, a jeszcze niżej, na głównym dziedzińcu było ich jeszcze więcej.

— Grzeszni śmiertelnicy! — krzyknął piskliwie Akhirom. — Nie wierzycie, że jestem bogiem! Pokażę wam! Nie jestem przywiązany do powierzchni ziemi tak jak wy, robaki, lecz mogę

unosić się w niebiosach jak ptak! Zobaczycie, a wtedy pokłonicie się przede mną i będziecie mnie czcić tak, jak powinniście! Spójrzcie!

Akhirom wdrapał się na murek, przez chwilę łapał równowagę i skoczył, rozkładając ramiona jak skrzydła. Zatoczył krótki łuk i runął pionowo w dół, omijając dach i spadając jeszcze niżej; wiatr świszczwał w fałdach jego szat, aż z odgłosem rozłupywanego melona ciało uderzyło o kamienie dziedzińca. Zagłada Kuszytów i śmierć króla Akhiroma nie położyły kresu zamieszkom w Asgalunie.

Ulicami przetaczały się nowe tłumy podniecone tajemniczą plotką, że gdzieś tu ukrywa się Amra, wódz czarnych korsarzy, a z nim Ophiranka, Rufia. Plotka przybierała na sile i obrastała legendą, aż zaczęto powtarzać, że Amra przysłał Rufie do Asgalunu na przespiegi, i że piracka flota czeka za horyzontem na znak do ataku na miasto. Jednak chociaż przeszukano wszystkie domy, nigdzie nie znaleziono śladu Amry i jego kochanicy.

Na północ od Asgalunu, przez zielone pastwiska Shemu biegł długi szlak wiodący do Koth. Tą drogą o wschodzie słońca jechali wolno Conan i Rufia. Cymeryjczyk siedział na własnym wierzchowcu, Ophiranka na bezpańskim rumaku, którego barbarzyńca schwytał w nocy na ulicach Asgalunu. Dziewczyna miała na sobie szaty wyjęte z kufra Zeriti — nieco dla niej za ciasne, ale podkreślające urodę. Rufia powiedziała:

— Conanie, gdybyś został w Asgalunie, zaszedłbyś wysoko pod opieką Mazdaka.

— A kto jęczał, że nie chce do niego wracać?

— Wiem. To zimny, nieczuły pan. Jednak...

— Ponadto polubiłem go. Gdybym tam został, prędzej czy

później jeden z nas musiałby zabić drugiego z twojego powodu.

Cymeryjczyk zachichotał i poklepał worek z łupem wyniesionym z domu Zeriti; monety i biżuteria odpowiedziały mu cichym brzękiem.

— Równie dobrze będzie mi na północy. No dalej, popędź trochę tę szkapę!

— Wszystko mnie boli od razów...

— Jeśli się nie pospieszysz, sam wlepię ci jeszcze kilka. Czy chcesz, żeby Hyrkańczycy Mazdaka złapali nas, zanim zjemy śniadanie?

CZARNY KOLOS

Wydaje się, że zainteresowanie Rufii Conanem wygasło z chwilą, gdy skończyły mu się lupy nagarnięte w Asgalunie; a może zamienił ją na dobrego konia, nim naciągnął się pod rozkazy Amalryka z Nemedii, kondotiera na służbie królowej — regentki Yasmeli, władającej małym, pogranicznym królestwem Khorai?

Cymeryjczyk szybko awansuje do rangi kapitana. Brat Yasmeli, król Khorai jest więziony w Ophirze, a hordy nomadów pod wodzą tajemniczego czarownika, Natohka, zagrażają granicom królestwa.

„Oto noc władzy, kiedy Los kroczy przez korytarze Świata jak kolos, który właśnie wstał z wiekowego, granitowego tronu...”

E.Hoffman Price — „Dziewczyna z Samarkandy”

1

Pośród tajemniczych ruin Kutchemes zalegała odwieczna cisza, ale królował tam Strach, który ścisnął za gardło złodzieja Shevatasa, sprawiając, że szybko i głośno wciągał oddech przez zaciśnięte zęby.

Stał wśród ruin, jak drobny okruch życia wobec kolosalnych pomników zniszczenia i rozkładu. Nawet samotny sęp nie zakłócał czarną plamką swej obecności nieskalanego błękitu nieba, rozpalonego gorącym słońcem. Wokół wznosiły się ponure pozostałości dawno minionych wieków: olbrzymie kolumny wyciągające w górę swe strzaskane wierzchołki, kruszejące ściany chylące się do upadku, wielkie bloki cyklopowych murów i potrzaskane posągi, których okropne rysy na pół zatarły niezliczone dni piaskowych burz i porywistych wiatrów. Aż po krańce horyzontu ani śladu życia, tylko zapierający dech w piersi bezmiar pustyni, przepołowiony falującą linią koryta od dawna wyschniętej rzeki. Pośród tego bezkresu białe kły ruin, filary sterczące niczym maszty zatopionych statków i górująca nad tym wszystkim kopuła, przed którą stał trzęsący się Shevatas.

Podstawę tej kopuły stanowił gigantyczny piedestał z marmuru, wznoszący się na tarasowatym stoku nad brzegiem wyschniętej rzeki. Szerokie stopnie prowadziły do wielkich, spiżowych wrót w gładkiej ścianie budowli, przypominającej połówkę odwróconego jajka.

Ściany kopuły były z kości słoniowej, błyszczącej tak, jakby przed chwilą wypolerowały ją nieznane ręce. Tak samo świeciła

złota czasza wierzchołka i złote, półmetrowe hieroglify umieszczonych na kopule inskrypcji. Żaden człowiek nie potrafił odczytać tego pisma, ale Shevatas wzdrygnął się na widok dziwnych znaków. Wywodził się z bardzo starej rasy, której mity przekazywały pamięć o rzeczach, o jakich nie miały pojęcia inne ludy.

Shevatas był żylasty i zwinny, jak przystało na mistrza zamorańskich złodziei. Małą, okrągłą głowę miał dokładnie wygoloną, a jedynym jego odzieniem była przepaska ze szkarłatnego jedwabiu. Jak każdy Zamoranin, miał ciemną skórę i bystre, czarne oczy osadzone w wąskiej twarzy o orlich rysach. Jego długie, smukłe palce potrafiły poruszać się z szybkością i delikatnością motyli skrzydeł. U pasa zawiesił krótki i wąski miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści. Shevatas z nadzwyczajną troskliwością obchodził się z tym orężem, tkwiącym w ozdobnej, skórzanej pochwie. Wydawało się, że stara się, by miecz nie dotykał jego biodra. I nie bez powodu.

Shevatas był złodziejem nad złodziejami; jego imię wymawiano z szacunkiem w spelunkach Maul i mrocznych, podziemnych labiryntach świątyń Bela. Był człowiekiem, którego imię miało przetrwać w pieśniach i legendach.

A jednak stojąc przed olbrzymią kopułą Kutchemes, trząśł się ze strachu. Nawet zupełny głupiec zauważyłby, że ta budowla ma w sobie coś nienaturalnego; przez trzy tysiące lat smagały ją wichry i paliło słońce, a jednak lśniła równie jasno złotym i srebrnym blaskiem jak w dniu, w którym ręce nieznanymi budowniczymi wzniosły ją na brzegu bezimiennej rzeki.

Wrażenie to pogłębiała atmosfera niepokoju i grozy panująca wśród ruin. Rozciągająca się wokół pustynia była tajemniczym bezmiarem nieprzebytych obszarów ciągnących się na

południowy — wschód od Shemu. Shevatas wiedział, że kilka dni jazdy na grzbiecie wielbłąda pozwoliłoby mu dotrzeć do brzegów wielkiej rzeki Styks, w miejscu gdzie skręcała pod kątem prostym z dotychczasowego kierunku i ruszała na zachód, aby w końcu wpaść do odległego morza. W miejscu, w którym skręcała, zaczynały się ziemie Stygii, ponurej południowej krainy, której miasta wznosiły się na brzegach rzeki wśród otaczającej je pustyni.

Shevatas wiedział też, że na wschodzie pustynia przechodziła w step ciągnący się aż do hyrkańskiego królestwa Turanu, rosnącego w siłę państwa na brzegu wielkiego, wewnętrznego morza. O tydzień jazdy na północ pustynia kończyła się pasmem jałowych wzgórz, za którymi leżały żyzne wyżyny Koth — najdalej na południe wysuniętego królestwa hyboryjskiego. Na zachodzie piaski przechodziły w zielone łąki Shemu, ciągnące się aż do oceanu.

Shevatas wiedział o tym wszystkim, nie zdając sobie nawet sprawy, że wie — tak jak człowiek znający ulice swojego miasta. Wiele podróżował, uprawiając swoją profesję w różnych krajach. Teraz jednak wahał się i drżał ze strachu, stojąc u progu największej tajemnicy i największego bogactwa.

W tej kopule z kości słoniowej spoczywały zwłoki Thugry Khotana, czarnoksiężnika, który władał Kutchemes przed trzema tysiącami lat, kiedy królestwa Stygii i Acheronu rozpościerały się daleko na północ od wielkiej rzeki, aż za łąki i wyżyny Shemu. Później Hyboryjczycy runęli potężną falą z kolebki swej rasy — dalekiej północy. Była to gigantyczna migracja, trwająca całe wieki. Za panowania Thugry Khotana, ostatniego czarnoksiężnika Kutchemes, ci szaroocy, brązowo — włosi barbarzyńcy w skórach i łuskowych pancerzach, nadciągnęli ze

swych siedzib, aby żelaznymi mieczami wyrąbać podwaliny królestwa Koth. Niczym wzbierająca fala przetoczyli się przez Kutchemes, siejąc śmierć i zniszczenie. Królestwo Acheronu przestało istnieć.

Kiedy ich miecze zbierały krwawe żniwo wśród łuczników Thugry Khotana, on sam wypił dziwny, trujący napój, a zamaskowani kapłani zamknęli jego ciało w grobowcu, jaki sobie wybudował. Jego wyznawcy zostali wycięci w pień, lecz barbarzyńcy nie zdołali wyłamać wrót grobowca ani naruszyć jego murów taranami czy ogniem. Odjechali, zostawiając za sobą ruiny miasta, a potężny Thugra Khotan spał spokojnie w swoim błyszczącym sarkofagu, podczas gdy czas kruszył marmurowe kolumny, a nawadniająca te ziemie rzeka wsiąkła w piasek i wyschła.

Wielu złodziei próbowało zdobyć skarby, które — jak głosiła legenda — leżały stertami wokół spleśniałych kości władcy Kutchemes. Wielu z nich zginęło u wrót grobowca, a wielu innych, dręczonych koszmarными snami, umarło z pianą szaleństwa na ustach. Dlatego też Shevatas, drżał stojąc przed grobowcem, a drżenie to potęgowała myśl o żmii, która ponoć strzegła kości czarnoksiężnika. Wszystkie legendy o Thugrze Khotanie osnute były mgłą tajemnicy i grozy. Z miejsca, w którym stał, widział ruiny olbrzymiej sali, gdzie niegdyś setki zakutych w łańcuchy więźniów klękały podczas festynów, aby król — kapłan mógł im ściąć głowy ku czci Seta, stygijskiego boga-węża. Gdzieś w pobliżu znajdowała się przepaść, mroczna i straszna, w którą strącano wrzeszczące ofiary na żer ohydnemu potworowi, wyłaniającemu się z jeszcze głębszych czeluści. Legendy opisywały Thugrę Khotana jako istotę obdarzoną nadnaturalną mocą. Jego kult przetrwał jeszcze w szczątkowej

postaci jako zwyczaj zaopatrywania zmarłych w monety z podobizną czarnoksiężnika. Była to zapłata za przewóz przez wielką rzeką ciemności, której Styks był ledwie materialnym cieniem.

Shevatas widział podobiznę maga na monetach ukradzionych nieboszczykowi i twarz tę miał wyrytą w pamięci. Wreszcie odsunął od siebie obawy i podszedł do spiżowych wrót, których gładka powierzchnia była pozbawiona jakichkolwiek rygli czy uchwytów. Jednak złodziej nie na darmo uprawiał tajemne praktyki, słuchał szeptów wyznawców Skelosa i czytał opracione w żelazo, zakazane księgi Ślepego Vathelosa.

Kłęcząc przed portalem, dotknął zręcznymi palcami progu. Delikatnymi opuszkami znalazł ukryte występy, zbyt małe, by niepowołane oczy mogły je dostrzec, a mniej czułe palce wyczuć. Nacisnął je ostrożnie i w odpowiedniej kolejności, mrużąc przy tym na pół zapomniane zaklęcia. Nacisnąwszy ostatni występ, raptownie zerwał się na nogi i uderzył otwartą dłońią w sam środek wrót.

Bez zgrzytu sprężyn czy zawiasów płyta drzwi cofnęła się w głąb ściany. Shevatas gwałtownie wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Ujrzał krótki, wąski korytarz. Drzwi cofnęły się tak, że znalazły się na drugim jego końcu. Podłoga, sufit i ściany podobnego do tunelu przejścia były z kości słoniowej. Z bocznego otworu wyłonił się bezgłośnie pełzający stwór: sześciometrowa żmija o cielsku pokrytym opalizującymi łuskami. Podniosła łeb i spojrzała na intruza jarzącymi się ślepiami.

Złodziej nie tracił czasu na rozważania, z jakich przepastnych głębi przybył ten ohydny stwór. Ostrożnie wyjął z pochwy miecz, którego ostrze ociekało zielonym płynem, takim samym, jaki spływał z zakrzywionych kłów gada. W rzeczy samej, oręż

zatruto żmijowym jadem, którego zdobycie w rojących się od dzikich bestii bagnach Zingary mogłoby być tematem osobnej opowieści.

Stąpając czujnie na czubkach palców, z lekko ugiętymi kolanami, Shevatas był w każdej chwili gotów do ucieczki lub uniku. Musiał wykazać niebywałą zręczność, aby uniknąć błyskawicznego ciosu niosących śmierć kłów. Mimo wspaniałego refleksu i zręczności, tylko przypadek uratował Zamoranina. Błyskawiczny atak węża udaremnił plan złodzieja, który zamierzał uskoczyć w bok i odciąć mieczem wyprężony łeb. Zaledwie zdążył dobyć miecza i zasłonić się nim, gdy gad runął nań jak burza. Shevatas mimowolnie zamknął oczy i krzyknął ze strachu. Potworna siła wyrwała mu broń z ręki, usłyszał straszliwy syk i łoskot.

Otworzywszy oczy, zdumiony tym, że jeszcze żyje, Shevatas zobaczył skręcającego się i zwijającego na podłodze potwora z paszczą przebitą mieczem. Ślepy przypadek sprawił, że gad nadział się na nadstawione ostrze. W chwilę później błyszczące, słabo opalizujące sploty przestały się wić i zaczęły drżeć konwulsyjnie — trucizna na ostrzu podziałała.

Ostrożnie przestąpiwszy przez skręcone cielsko, złodziej pchnął wrota, które tym razem odsunęły się w bok, odsłaniając wnętrze kopuły. Shevatas wydał mimowolny okrzyk. Zamiast nieprzeniknionych ciemności ujrzał przestrzeń oblaną szkarłatnym światłem, pulsującym i migoczącym w rytmie trudnym do zniesienia dla ludzkich oczu. Ten blask dobywał się z olbrzymiego, czerwonego klejnotu, osadzonego wysoko pod łukowatym sklepieniem.

Chociaż Zamoranin przywykł do widoku nagromadzonych bogactw, rozdziawił jednak usta ze zdumienia, widząc stosy

niedbale rzuconych klejnotów: sterty diamentów, szafirów, rubinów, turkusów, opali i szmaragdów; zwały jaspisu, agatu i lapis-lazuli; piramidy złotych sztab; stożki srebra; wysadzone klejnotami miecze w złotych pochwach, złote hełmy zwieńczone pióropuszcami z końskiego włosa, pancerze ze srebrnych łusek, zbroje noszone przez królów — wojowników sprzed trzech tysięcy lat, puchary wyrzeźbione ze szlachetnych kamieni, pozłacane czaszki z kamieniami księżycowymi w oczodołach i naszyjniki z ludzkich zębów. Podłogę pokrywała kilkunastocentymetrowa warstwa złotego pyłu, który skrzył się w szkarłatnej poświacie. Złodziej znalazł się w czarodziejskiej krainie niebywałego bogactwa, deptając nogami gwiazdy złotych rozbłysków. Nie odrywał przy tym oczu od wznoszącego się pośród tych wspaniałości kryształowego podium, na którym powinny leżeć spleśniałe kości maga, zmieniające się w proch w miarę upływu wieków. Shevatas patrzył i z wolna krew odpływała mu ze śniadej twarzy, zdając się zastygać w żyłach. Dreszcz przebiegł mu po plecach, a wargi poruszyły się w bezgłośnym okrzyku. W końcu zdołał wydobyć z gardła przeraźliwy wrzask, który odbił się głuchym echem od sklepienia grobowca. Później wśród tajemniczych ruin Kutchemes znów zaległa odwieczna cisza.

Wśród mieszkańców hyboryjskich miast i zielonych równin krążyły dziwne plotki. Wieść podróżowała z karawanami, z długimi szeregami brnących przez piaski wielbłądów prowadzonych przez chudych, sokolookich mężczyzn w białych kaftanach. Przekazywali ją sobie pasterze, mieszkańcy namiotów i niskich kamiennych domów w miastach, których królowie o kędzierzawych i kruczoczarnych brodach oddawali cześć dziwnym, opasłobrzuchym bóstwom. Słowo przeleciało przez pasma wzgórz, gdzie posepni naczelnicy pobierali myto od podróżujących wędrowców. Dotarło do urodzajnych wyżyn, gdzie okazałe grody wznosiły się nad brzegami błękitnych jezior i rzek; rozeszło się szerokimi, białymi drogami pełnymi oślich zaprzęgów, stad ryczącego bydła, kupców zdążających w interesach, rycerzy, łuczników i kapłanów. Plotki z pustyni leżącej daleko na południe od wyżyn Koth, na wschód od mrocznej Stygii.

Wśród nomadów pojawił się nowy prorok.

Mówiono o wojnie plemiennej, o sępach gromadzących się na południu i o strasliwym przywódcy, który wiedzie do zwycięstwa szybko rosnące w siłę pustynne horde. Zawsze zagrażający swym sąsiadom Stygijczycy najwidoczniej nie mieli z tym nic wspólnego, ponieważ zbierali wojska przy swojej wschodniej granicy, a ich kapłani odprawiali czary, mające zniwelować uroki rzucane przez tajemniczego czarownika z

pustyni, zwanego Natohk, czyli Zamaskowany, jako że nigdy nie odsłaniał swej twarzy.

Jednak fala najeźdźców nieustannie parła na północ. Czarnobrodzi królowie zginęli przed ołtarzami swych opasłobrzuchych bożków, a ulice ich kamiennych miast spłynęły krwią. Mówiono, że Natohk i jego zwolennicy zamierzają zdobyć wyżyny Koth.

Najazdy nomadów nie były czymś niezwykłym, ale ostatnie wydarzenia zapowiadały coś więcej niż zuchwały napad. Plotka głosiła, że Natohk podporządkował sobie trzydzieści pustynnych szczepów i piętnaście miast. Mówiono też, że przyłączył się do niego zbuntowany stygijski książę. To ostatnie nadawało sprawie aspekt prawdziwej wojny.

Jak zwykle, większość hyboryjskich nacji ignorowała narastające zagrożenie. Jednak w Khorai, państewku powstałym na ziemiach wydartych Shemitom przez kothijskich awanturników, nie lekceważono niebezpieczeństwa. Leżący na południowy wschód od Koth kraj przyjąłby na siebie główne uderzenie ewentualnej inwazji. Jego młody król był więźniem podstępnej władcy Ophiru, który wahał się między uwolnieniem go po otrzymaniu olbrzymiego okupu a wydaniem w ręce wroga — skąpego króla Koth, który nie obiecywał złota, ale kusi zawarciem korzystnego traktatu. Tymczasem rządy w zagrożonym królestwie sprawowała młoda księżniczka Yasmela, siostra króla.

Miała w sobie dumę spadkobierczyni królewskiej dynastii, a jej piękność opiewali minstrelle całego zachodniego świata. Lecz tej nocy duma opadła z niej jak znoszony płaszcz.

W komnacie o kopulastym sklepieniu z lapis-lazuli, marmurowej posadzce usłanej cennymi futrami i ścianach

bogato zdobionych złotymi fryzami stało szerokie łoże, wokół którego na jedwabnych otomanach spało dziesięć dworek, młodych szlachcianek z bogatych rodów. Tylko księżniczka Yasmela nie spoczywała na swym łożu. Leżała naga na marmurowej posadzce, niczym najędzniejsza ze służebnic, załamując ręce i potrząsając głową, tak że fala czarnych jak krucze skrzydła włosów spływała na jej białe ramiona. Leżała i skręcała się z przerażenia, które ścinało jej krew w żyłach i zasnuwało mgłą piękne oczy, powodując, że włosy na głowie stanęły jej dęba, a na skórze pojawiła się gęsia skórka.

Nad nią, w najciemniejszym kącie marmurowej komnaty, krył się ogromny bezkształtny cień. Nie było to jakieś żywe stworzenie z krwi i kości, lecz czarna plama, mglisty opar, potworny inkub, który wydałby się płodem zamroczonego snem umysłu, gdyby nie dwa jarzące się żółtawo punkty błyszczących w mroku ślepi.

Co więcej, zjawa była obdarzona głosem — cichym, nieludzkim sykiem, bardziej przypominającym dźwięk wydawany przez żmiję niż dobywający się z ludzkich ust. Ten odgłos i widok wprawiły Yasmelę w paniczne przerażenie, tak potworne, że skręcała się i wiła niczym chłostana batem, jakby tym fizycznym wysiłkiem chciała wyrzucić ze świadomości fakt ich istnienia.

— Jesteś mi przeznaczoną, księżniczko — mówił ze straszliwym triumfem głos.

— Znalazłem cię i zapragnąłem, nim jeszcze przebudziłem się z długiego snu, w jakim trzymało mnie prastare zaklęcie, dzięki któremu uszedłem wrogom. Jestem duszą Natohka! Przyjrzyj mi się dobrze, księżniczko! Wkrótce ujrzysz mnie w cielesnej postaci... i pokochasz!

Upiorny szept przeszedł w lubieżny chichot. Yasmela jęknęła i oszaląła z przerażenia zaczęła bębnić piąstkami o marmurową posadzkę.

— Teraz śpię w pałacu Akbitany — ciągnął głos. — Tam spoczywa moje ciało. Lecz to tylko pusta skorupa, z której na krótką chwilę uleciał duch. Gdybyś mogła spojrzeć z okien mojego pałacu, zrozumiałabyś daremność wszelkiego oporu. Oblana światłem księżycyca pustynia jest niczym ogród, w którym kwitną róże ognisk tysięcy wojowników. Jak lawina, księżniczka poszła za dworką, która najpierw odsunęła na bok gruby, przetykany złotem gobelin, a potem złote rygle ukrytych na nim drzwi. Przejście prowadziło do wąskiego, krętego korytarza, którym szybko przeszły do następnych drzwi i szerokiej sieni. Stał tam strażnik w pozłacanym hełmie, srebrnym napierśniku i nabijanych złotymi guzami nagolennikach. Na ramieniu trzymał ciężki topór o długim trzonku.

Yasmela gestem powstrzymała jego okrzyk zdumienia. Wartownik sprezentował broń i nieruchomo, niczym posąg z brązu, stanął obok drzwi. Dziewczyny przeszły przez sień, której mroczne kąty daremnie próbowały rozjaśnić tkwiące w żelaznych kagańcach pochodnie.

Zeszły po schodach. Yasmela z drzeniem spoglądała na cienie czające się po kątach. Trzy piętra niżej zatrzymały się przy wejściu do wąskiego korytarzyka, którego łukowaty strop był wysadzany klejnotami, podłogę stanowiły kryształowe płyty, a ściany ozdobił złoty fryz.

Trzymając się za ręce, poszły tym korytarzykiem i niebawem stanęły przed szerokim, pozłacanym portalem. Vateesa pchnęła drzwi, które otworzyły się, ukazując wejście do kaplicy dawno zapomnianej przez wszystkich, prócz nielicznych wyznawców

Mitry i królewskich gości przybywających na dwór Khorai, z myślą o których ją zachowano. Yasmela nigdy przedtem tam nie była, mimo że urodziła się w pałacu. Skromna i pozbawiona ozdób w porównaniu z pełnymi przepychu świątyniami Isztar, kaplica była urządzona z prostotą i godnością charakterystyczną dla kultu Mitry.

Sufit był wysoki, ale nie łukowato sklepiiony i tak samo jak ściany i podłoga, zrobiony ze zwykłego białego marmuru. Tylko cienki, złoty fryz zdobił ściany. Za ołtarzem z czystego, zielonego nefrytu, nie splamionego krwią ofiar, wznosił się piedestał, na którym znajdował się posąg wyobrażający boga.

Yasmela bojaźliwie spojrzała na potężne bary, jasną twarz o szeroko otwartych oczach, patriarchalną brodę i gęste kędziory przytrzymywane na skroniach przez wąską obręcz.

Księżniczka nie zdawała sobie sprawy, że spogląda na dzieło sztuki w jej najczystszej postaci — artystyczny wyrób niezwykle subtelnej rasy, nie ograniczonej pętami konwencjonalnego symbolizmu.

Osunęła się na kolana, a później plackiem opadła na podłogę, niepomna przestróg Vateesy, która na wszelki wypadek poszła w jej ślady. Na niej również widok bóstwa wywarł duże wrażenie. Dworka nie mogła się powstrzymać, by nie szepnąć księżniczce do ucha:

— To tylko symbol boga. Nikt nie wie, jak Mitra wygląda naprawdę. Ten posąg przedstawia go w wyidealizowanej, ludzkiej postaci, tak bliskiej doskonałości, jak człowiek może sobie wyobrazić. On nie żyje w tym zimnym kamieniu, jak to twierdzą kapłani Isztar o swojej bogini. Mitra jest wszędzie — nad nami i wokół nas, śpi wiecznym snem między gwiazdami, ale widzi nas i słyszy. Zawołaj go.

— Co mam powiedzieć? — szepnęła zdrętwiała ze strachu Yasmela.

— Mitra zna twoje myśli, zanim je sobie uświadomisz... — zaczęła Vateesa i urwała.

Obie dziewczyny drgnęły gwałtownie, słysząc głęboki, spokojny głos. Niskie, podobne do bicia dzwonu dźwięki równie dobrze mogły się wydobywać z ust posągu, co z każdego innego miejsca kaplicy. Po raz drugi tej nocy Yasmela zadrżała, słysząc przemawiający do niej, bezcielesny głos, ale tym razem nie uczyniła tego ze strachu czy odrazy.

— Nic nie mów, córko — mówił głos, niczym melodyjny pomruk fal bijących rytmicznie o złote plaże. — Wiem, po co przyszłaś. Tylko w jeden sposób możesz ocalić swoje królestwo, a czyniąc to uratować cały świat od kłów żmii, która wypełzła z odwiecznych ciemności. Wyjdź dziś samotnie na ulice miasta i złóż los królestwa w ręce pierwszego człowieka, jakiego napotkasz.

Głos umilkł i obie dziewczyny spojrzały po sobie. Później podniosły się i poszły z powrotem, nic nie mówiąc, dopóki nie znalazły się w komnacie Yasmeli. Księżniczka wyjrzała przez zakratowane złotymi prętami okno. Na niebie wisiał blady księżyc. Było już dobrze po północy. W ogrodach i pałacach Khorai umilkły odgłosy zabaw. Miasto leżało pogrążone we śnie i tylko pochodnie migotały w ogrodach, na ulicach i w oknach uśpionych domostw — zdawały się być lustrzanym odbiciem gwiazd.

— Cóż zatem zrobisz, pani? — spytała roztrzęsiona Vateesa.

— Daj mi mój płaszcz — odparła Yasmela.

— Sama na ulicach, o tej godzinie! — wykrzyknęła dworka.

— Mitra przemówił — odparła księżniczka. — Mógł to być głos

boga albo ukrytego gdzieś kapłana. Nieważne. Pójdę.

Owinąwszy się obszernym jedwabnym płaszczem i założywszy aksamitny fez, z którego spływał przejrzysty welon, przeszła szybko przez korytarze i dotarła do wrót z brązu, gdzie uzbrojeni w oszczepy strażnicy ze zdumieniem przyjęli jej pojawienie się. To skrzydło pałacu przylegało bezpośrednio do ulicy; z trzech pozostałych stron budowlę otaczały wspaniałe ogrody okolone wysokim murem. Yasmela wyszła na ulicę oświetloną blaskiem regularnie umieszczonych pochodni.

Zawahała się, lecz zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi, zanim zdążyła opuścić ją odwaga. Zadrżała lekko, widząc cichą i pustą ulicę. Pochodząc z arystokratycznego rodu, nigdy jeszcze nie wychodziła bez asysty poza mury pałacu. Zebrawszy całą odwagę, szybko ruszyła ulicą. Jej obute w satynowe ciżmy stopy cicho stąpały po trotuarze, ale nawet ten słaby dźwięk powodował, że serce podchodziło jej do gardła.

Zdawało jej się, że kroki rozbrzmiewają echem w wymarłym mieście, budząc obszarpane, szcurzookie postacie, kryjące się w brudnych norach ciemnych zaułków. Każdy cień wydawał się zacząjonym mordercą, każda brama kryła przemykające chyłkiem stwory ciemności.

Nagle księżniczka drgnęła gwałtownie. Przed nią, na upiornie pustej ulicy, pojawiła się jakaś postać. Yasmela natychmiast schowała się w gęstym cieniu, który teraz zdawał się niebiańskim azylem. Serce waliło jej jak młot. Nadchodzący człowiek nie skradał się jak złodziej czy wystraszony przechodzień. Kroczył ciemną ulicą niczym ktoś, kto nie ma potrzeby czy chęci ukrywać swojej obecności. Szedł swobodnie i zuchwale. Kiedy mijał kaganiec z pochodnią, Yasmela mogła mu się przyjrzeć dokładnie: wysoki, potężnie zbudowany

mężczyzna w krótkiej kolczudze najemnika. Księżniczka opanowała roztrzęsione nerwy i wyskoczyła z cienia, szczelnie zakutana w obszerną opończę.

— Ha! — krzyknął nieznajomy, błyskawicznie dobywając miecza. Widząc, że ma przed sobą tylko bezbronną kobietę, zatrzymał się w pół kroku, szybkim spojrzeniem omiół ulicę, nie zdejmując dłoni z długiej rękojeści miecza wystającego spod niedbale narzuconego na ramiona, szkarłatnego płaszcza. Światło pochodni odbijało się słabo od polerowanej stali hełmu i nagolenników. Niebieskie oczy nieznajomego jarzyły się ponurym blaskiem. Już na pierwszy rzut oka Yasmela stwierdziła, że mężczyzna nie jest Kothijczykiem. Kiedy przemówił, zrozumiała, że nie jest w ogóle Hyboryjczykiem. Nosił strój kapitana najemników, a w tych oddziałach można było znaleźć żołnierzy z wielu krajów, zarówno barbarzyńskich, jak i cywilizowanych. Posępne rysy zdradzały barbarzyńskie pochodzenie.

Oczy cywilizowanego człowieka, choćby najbardziej dzikiego i gwałtownego, nie płonęłyby tak intensywnym blaskiem. Jego oddech był przesycony zapachem wina, ale nieznajomy nie chwiał się ani nie jękał.

— Wyrzucili cię na ulicę? — spytał po kothijsku z barbarzyńskim akcentem, wyciągając rękę do dziewczyny. Jego palce zamknęły się lekko na jej smukłym ramieniu. Księżniczka czuła, że bez trudu mógłby zacisnąć je mocniej, łamiąc kości.

— Właśnie zamknęli ostatnią winiarnię... Przekleństwo Isztar niech spadnie na głowy tych tchórzliwych reformatorów, którzy to wymyślili! „Lepiej, żeby ludzie spali, niż się upijali” — mówią. Zapewne po to, aby mogli lepiej pracować i walczyć za swych panów! Opasłobrzuche eunuchy, nic więcej. Kiedy walczyłem

jako najemnik w Koryntii, przez całą noc piliśmy i zabawialiśmy się z dziewczkami, a w dzień biliśmy się — i krew płynęła wtedy strumieniami...

Ale co z tobą, dziewczyno? Zdejm tę przekłętą maskę... Zwinnym ruchem księżniczka wymknęła się z jego rąk, nie chcąc go przestraszyć.

Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, przebywając sam na sam z pijanym barbarzyńcą. Jeśli ujawni, kim jest, nieznajomy może ją wyśmiać i odejść. Nie miała też pewności, czy nie poderżnie jej gardła. Barbarzyńcy robili różne dziwne i niezrozumiałe rzeczy. Stłumiła narastający lęk.

— Nie tu — zaśmiała się. — Chodź ze mną...

— Dokąd? — spytał niecierpliwie. W jego oczach pojawiła się podejrzliwość. — Chcesz mnie zwabić do jakiejś zbójeckiej meliny?

— Nie, przysięgam, że nie!

Yasmela z trudem uchyliła się, unikając ręki sięgającej do woalu.

— Niech cię diabli, dziewczko! — waricnął zde gustowany. — Jesteś gorsza od tych hyrkańskich kobiet z ich przekłętymi zawojami. No, niech choć zobaczę, jaką masz figurę!

Zanim zdołała temu zapobiec, zerwał z niej płaszcz i głośno zaklął przez zaciśnięte zęby. Stał nieruchomo, trzymając w rękę opończę dziewczyny, jakby widok bogatych szat otrzeźwił go nagle. W jego oczach pojawił się ponury błysk.

— Kim jesteś, do diabła? — mruknął. — Nie jesteś ulicznicą, chyba że twój alfons obrabował królewski seraj, aby cię odziać.

— To nieważne — Yasmela odważyła się położyć białą dłoń na obleczonym w kolczugę ramieniu. — Chodź ze mną.

Zastanowił się, po czym wzruszył potężnymi ramionami.

Zrozumiała, że uznał ją za bogatą szlachciankę szukającą przygód. Pozwolił jej z powrotem nałożyć płaszcz i poszedł za nią. Idąc obok, obserwowała go kątem oka. Kolczuga nie skrywała grubych węzłów mięśni nieznanego, a każdy jego krok zdradzał kocią zwinność i pierwotną, nieposkromioną siłę.

W porównaniu z dobrodusznymi dworzanami, do towarzystwa których była przyzwyczajona, wydawał się obcy jak nieprzebyta dżungla. Yasmela obawiała się go i w duchu mówiła sobie, że gardzi jego brutalną siłą, lecz mimo to czuła jakiś dziwny, niepokojący pociąg do tego barbarzyńcy. Jakby jego widok potraçał jakąś ukrytą strunę jej kobiecej duszy. Wciąż czuła dotyk jego ręki na swym ramieniu i to wspomnienie powodowało dziwne drżenie. Wielu mężczyzn klękało przed Yasmelą, lecz ten nie klękał przed nikim. Miała wrażenie, że prowadzi nieoswojonego tygrysa; była przerażona i zafascynowana własnym strachem.

Stała przed drzwiami pałacu i pchnęła je lekko. Uważnie obserwując towarzysza, nie znalazła na jego twarzy śladu niepokoju.

— Pałac, co? — mruknął. — A więc jesteś dworką? Yasmela stwierdziła, że poczuła dziwną zazdrość na myśl, że któraś z jej dworek mogła kiedyś wprowadzać tędy takiego wojownika. Strażnicy udali, że nic nie widzą, kiedy księżniczka przechodziła obok nich z obcym mężczyzną. Barbarzyńca zerkał na nich czujnie, niczym wilk zbliżający się do obcego stada. Yasmela powiodła go wąskim korytarzem do swojej komnaty. Nieznajomy stanął w niemym podziwieniu, patrząc na wspaniałe gobeliny, dopóki nie dostrzegł kryształowego dzbanu z winem, stojącego na hebanowym stoliku. Z westchnieniem ulgi podniósł go do ust, gdy z sąsiedniego pokoju przybiegła zdyszana Vateesa.

— Och, księżniczko...!

— Księżniczko!

Kryształowy dzban roztrzaskał się na podłodze. Błyskawicznym ruchem, zbyt szybkim, aby pochwycić go okiem, żołnierz zerwał woal Yasmeli. Odskoczył z cichym przekleństwem, a w jego rękę błysnęło szerokie ostrze z błękitnej stali. Oczy barbarzyńcy roziskrzyły się jak ślepiea schwytanego w pułapkę tygrysa. Była to chwila pełna napięcia, niczym cisza przed burzą. Oniemiała z przerażenia Vateesa osunęła się na podłogę, ale Yasmela dzielnie stawiała czoła barbarzyńcy. Wiedziała, że jej życie wisi na włosku: oszalały z wściekłości, podejrzliwy wojownik mógł w każdej chwili pozbawić ją życia, a jednak doznała dziwnej ulgi, widząc jego błyskawiczną reakcję.

— Nie obawiaj się — rzekła. — Jestem księżniczką, ale nie masz powodu do obaw.

— Po co mnie tu przyprowadziłaś? — warknął, wodząc po komnacie roziskrzonym spojrzeniem. — O co tu chodzi?

— Nic ci nie grozi — odparła. — Przywiodłam cię tutaj, ponieważ możesz mi pomóc.

Zasięgnęłam rady bogów... wyroczni Mitry i on kazał mi wyjść na ulicę i poprosić o pomoc pierwszego napotkanego człowieka.

To było coś, co potrafił zrozumieć, Barbarzyńcy też mają swoje wyrocznie. Opuścił miecz, chociaż nie schował go do pochwy.

— No, jeśli jesteś rzeczywiście Jasmelą, to naprawdę potrzebujesz pomocy — mruknął.

— Twoje królestwo to galimatias. Tylko jak ja mam ci pomóc? Oczywiście, jeżeli trzeba komuś poderznąć gardło...

— Siadaj — nakazała. — Vateeso, przynieś mu wina. Usłuchał jej, lecz zauważyła, że siadł plecami do ściany, tak aby widzieć całą komnatę. Obnażony miecz położył na kolanach.

Księżniczka spoglądała jak zahipnotyzowana na to szerokie ostrze, w którym zdawały się odbijać zamglone sceny walk i rzezi. Wątpiła, czy byłaby w stanie podnieść ten oręż.

Wiedziała, że barbarzyńca nie tylko bez trudu podniesie go jedną ręką, ale też może machać nim jak lekką trzcinką. Widziała te szerokie bary i potężnie umięśnione ramiona. Z dziwnym dreszczem wyobraziła sobie, że te silne palce mogłyby chwycić ją za włosy i...

Barbarzyńca uspokoił się, gdy księżniczka usiadła na otomanie naprzeciw niego. Zdjął z głowy hełm i położywszy go na stole, odrzucił w tył kaptur kolczugi, pozwalając opaść na plecy ciężkim fałdom. Teraz dostrzegła jego podobieństwo do rasy hyboryjskiej. Smagła, poznaczona bliznami twarz zdradzała skłonność do melancholii i choć nie było na niej śladów występku ani zła, płonące, niebieskie oczy nadawały jego rysom posępny wyraz. Niskie, szerokie czoło okalała kruczoczarna, gęsta grzywa prosto przyciętych włosów.

— Kim jesteś? — spytała nagle księżniczka.

— Conan, kapitan najemnych włóczników — odparł, opróżniając jednym haustem puchar i napełniając go ponownie. — Urodziłem się w Cymerii.

Ta nazwa niewiele jej mówiła. Niejasno przypominała sobie, że to dzika, ponura i górzysta kraina, leżąca daleko na północy, za najdalej wysuniętymi przyczółkami hyboryjskiej cywilizacji, zamieszкана przez posępnych, gwałtownych ludzi. Jeszcze nigdy nie widziała żadnego z nich.

Podpierając brodę smukłymi dłońmi, spojrzała uważnie na cudzoziemca ciemnymi oczami, które usidliły wiele męskich serc.

— Conanie z Cymerii — rzekła — powiedziałaś, że potrzebuję

pomocy. Dlaczego?

— No — odparł — to łatwo zauważyć. Oto twój brat, król, siedzi w ophirańskim więzieniu; oto Koth spiskuje, by podbić twój kraj; oto tajemniczy czarownik sieje w Shemie śmierć i zniszczenie; co gorsza, coraz więcej twoich żołnierzy dezerceruje.

Yasmela nie odpowiedziała od razu. Tak bezpośrednie postawienie sprawy, bez ubierania jej w piękne słowa, było dla niej czymś nowym.

— A dlaczego moi żołnierze dezercerują? — spytała.

— Jedni dają się przekupić Kothijczykom — odrzekł, z upodobaniem pociągając z

puchara. — Inni sądzą, że Khoraja jako niepodległe państwo jest skazana na zagładę. Wielu przestraszyło się pogłosek o zbliżaniu się tego psa Natohka.

— Czy najemnicy pozostaną mi wierni? — zapytała z niepokojem.

— — Tak długo, jak długo będziesz płacić — odparł uczciwie. — Twoja polityka nic nas nie obchodzi. Możesz ufać Amalrykowi, naszemu generałowi, ale reszta to zwykli żołnierze, którzy lubią pieniądze. Ludzie mówią, że jeśli zapłacisz okup, jakiego żąda Ophir, to nie będziesz miała z czego płacić żołdu. W takim wypadku możemy przejść na służbę króla Koth, chociaż osobiście nie przepadam za tym starym sknerą. Może splądrujemy stolicę. Podczas wojny domowej zawsze znajdzie się jakiś łup.

— Czemu nie przejdziecie do Natohka? — dopytywała się.

— A czym on mógłby nam zapłacić? — parsknął Conan. — Opasłobrzuchymi bożkami ze spiżu, które zagarnął w shemickich miasteczkach? O ile chodzi o walkę z Natohkiem, to możesz na mnie liczyć.

— Czy twoi towarzysze pójdą za tobą? — spytała

niespodziewanie księżniczka.

— Dlaczego pytasz?

— Pytam — odparła z namysłem — bo mam zamiar mianować cię dowódcą armii Khorai! — odparła z namysłem.

Cymeryjczyk znieruchomiał z pucharem przytkniętym do rozciągniętych w szerokim uśmiechu ust. W jego oczach błysnęły dziwne ogniki.

— Dowódcą? Na Kroma! Tylko co powiedzą twoi wyperfumowani notable?

— Usłuchają! — Yasmela klasnęła w dłonie, przywołując niewolnika, który wszedł, gnąc się w ukłonach. — Natychmiast sprowadź mi hrabiego Thespidesa, kanclerza Taurusa, lorda Amalryka i agę Shuprasa.

— Wierzę Mitrze — powiedziała, mierząc spojrzeniem Cymeryjczyka, który łapczywie pochłaniał mięsiwo postawione przed nim przez dygoczącą Vateesę. — Byłeś na wielu wojnach?

— Urodziłem się na polu bitwy — odrzekł, odgryzając solidny kęs białymi zębami.

Pierwszymi dźwiękami, jakie usłyszałem, były wrzaski mordowanych i szcęk mieczy. Walczyłem w górach i na równinach, w lasach i na piaskach pustyni...

— Ale czy potrafisz poprowadzić armie i kierować bitwą?

— — No, mogę spróbować — odparł z niezmaconym spokojem. — To prawie tak samo jak walka na miecze, tyle że na większą skalę. Przełamać gardę, a później rąbać i ciąć. Albo on, albo ty!

Niewolnik wrócił, zapowiadając przybycie ludzi, po których go wysłano i Yasmela przeszła do sąsiedniej komnaty, zaciągając za sobą aksamitną zasłonę. Notable uklękli, wyraźnie zdziwieni wezwaniem o tak późnej porze.

— Wezwałam was, żeby oznajmić wam swoją decyzję —

rzekła księżniczka.

— Królestwo jest zagrożone...

— Racja, moja pani — odezwał się hrabia Thespides, wysoki mężczyzna o trefionych i pachnących lokach. Jedną białą dłonią gładził wypielęgnowany wąs, a w drugiej trzymał aksamitny kapelusz z karmazynowym piórem przypiętym złotą zapinką. Nosił satynowe ciżmy o sterczących noskach i kubrak z szamerowanego złotem aksamitu. Zachowywał się nieco afektowanie, ale pod jedwabnymi szatami kryły się stalowe mięśnie.

— Dobrze, że zgadzasz się zaproponować Ophirowi większy okup za uwolnienie twego brata, pani — rzekł.

— Całkowicie się z tym nie zgadzam — przerwał mu kanclerz Taurus, starszy wiekiem, w lamowanej gronostajami todze i z twarzą poznaczoną bruzdami trosk, jakich nie brakło mu podczas długich lat służby na dworze. — Zaproponowaliśmy im tyle, że po zapłaceniu okupu królestwo będzie zupełnie ogołoczone. Jeśli teraz proponujemy więcej, to tylko jeszcze bardziej rozpalimy chciwość Ophiru. Księżniczko, powtarzam to, co mówiłem wcześniej:

Ophir nic nie uczyni, dopóki nie dojdzie do konfrontacji z hordą Natohka. Jeśli przegramy, wyda króla Khossusa Kothijczykowi; jeżeli zwyciężymy, bez wątpienia uwolni go po uzyskaniu okupu.

— A tymczasem — przerwał Amalryk — codziennie dezercerują żołnierze królewskich wojsk, a najemnicy niecierpliwiają się, nie wiedząc, dlaczego zwlekamy z wymarszem.

Dowódca najemników był Nemedyczykiem, potężnie zbudowanym mężczyzną o lwiej grzywie blond włosów.

— Jeżeli mamy coś zrobić, musimy się spieszyć...

— Jutro pomaszerujemy na południe — odparła Yasmela. — A oto człowiek, który poprowadzi nasze wojska!

Szarpnięciem odsunęła aksamitną zasłonę i dramatycznym gestem wskazała Cymeryjczyka. Chyba nie był to najszczęśliwszy moment na dokonanie prezentacji.

Wygodnie rozparty w fotelu Conan trzymał nogi na hebanowym stole, pochłonięty ogryzaniem sporego, trzymanego oburącz wołowego udźca. Zerknął obojętnie na oniemiałych dworaków i z nieukrywany zapalem obzerał się dalej.

— Chronić nas, Mitro! — wybuchnął Amalryk. — To Conan, najgorszy z moich zbójów.

Dawno bym go powiesił, gdyby nie był najlepszym żołnierzem, jaki kiedykolwiek nosił kolczugę...

— Wasza Wysokość raczy żartować! — krzyknął Thespides, a jego arystokratyczna twarz pociemniała z gniewu. — Ten człowiek to dzikus bez kultury i wykształcenia! To hańba dla szlachcica służyć pod jego komendą! Ja...

— Hrabio — rzekła Yasmela — nosisz moją rękawiczkę na piersi. Oddaj mi ją i odejdz.

— Odeść? — wykrzyknął ze zdumieniem. — Dokąd?

— Do Koth lub do diabła! — odparła. — Jeżeli nie chcesz mi służyć tak jak chcę, nie będziesz mi służył wcale.

— Księżniczko, źle mnie zrozumiałaś — odparł z ukłonem, głęboko dotknięty. — Nie opuszczę cię. Dla ciebie, pani, jestem gotów nawet oddać mój miecz na rozkazy tego dzikusa.

— A ty, lordzie?

Amalryk zaklął pod nosem, po czym uśmiechnął się. Jako prawdziwy poszukiwacz szczęścia nie dziwił się żadnym kaprysom fortuny, nawet najdziwniejszym.

— Będę służył pod jego komendą. Zawsze to mówię: żyć

krótko, ale wesoło, a z Conanem...

— Podrzynaczem Gardel jako dowódcą i jedno, i drugie mamy zapewnione. Mitro! Jeżeli ten łobuz kiedykolwiek dowodził czymś większym od kompanii, to zjem własną zbroję!

— A ty, ago? — księżniczka zwróciła się do Shuprasa.

Ten z rezygnacją wzruszył ramionami. Był typowym przedstawicielem ludu żyjącego przy południowej granicy Koth — wysokim i chudym, o orlej twarzy, której rysy były ostrzejsze od twarzy żyjących na pustyni pobratymców.

— Wola Isztar, księżniczko — rzekł z wrodzonym fatalizmem.

— Zaczekajcie — poleciała im Yasmela, znikając za kotarą i klaśnięciem przywołując niewolników. Thespides ze złością miętosił swoje nakrycie głowy, Taurus mruczał coś cicho pod nosem, a Amalryk przechadzał się tam i z powrotem, szarpiąc żółtą brodę i szczerząc zęby jak wygłodniały lew.

Niewolnicy przynieśli zbroję i zdjęwszy stalową kolczugę Conan założył hełm, kołnierz, napierśnik, naramienniki i całą resztę. Kiedy Yasmela znów odsunęła kotarę, oczom zebranych ukazała się zakuta w stal postać. Podniesiona przyłbica odsłaniała smagłą twarz ocienioną czubem pawich piór. Barbarzyńca wyglądał w tym stroju naprawdę imponująco, co nawet Thespides musiał niechętnie przyznać. Niedokończony żart zamarł na ustach Amalryka.

— Na Mitrę — rzekł wreszcie. — Nigdy nie spodziewałem się ujrzeć cię w pełnej zbroi, Conanie, ale nie masz się czego wstydzić! Klnę się na moje kości, że widziałem królów, którzy nosili swoje szaty z mniejszą godnością!

Conan milczał. Jakaś niewyraźna myśl przyszła mu do głowy, jakby jakieś niejasne przeczucie. Po latach często przypominał sobie słowa Amalryka, kiedy marzenie stało się już

rzeczywistością.

3

Wczesnym rankiem ulice Khorai zaroily się od ludzi, którzy przyszli popatrzeć na wojska wymaszerowujące przez południową bramę. Wreszcie armia wyruszyła w pole. Jechali rycerze w bogato zdobionych, błyszczących zbrojach, z falującymi pióropuszcami wieńczącymi polerowane hełmy. Ich przystrojone w jedwabie, lakierowaną skórę i złotą uprząż rumaki kroczyły dumnie, niosąc swych panów. Promienie rannego słońca lśniły na ostrzach włóczni wznoszących się niczym las nad kolumnami jeźdźców, a ich proporczyki powiewały wesoło na wietrze. Każdy rycerz niósł dar damy swego serca: rękawiczkę, szarfę lub różę przyczepioną do hełmu lub pasa. Był to kwiat rycerstwa Khorai, pięciuset mężów dowodzonych przez hrabiego Thespidesa, który, jak mówiono, ubiegał się o rękę księżniczki Yasmeli.

Za nimi ciągnęła lekka jazda, składająca się z typowych górali, chudych mężczyzn o ostrych rysach. Na głowach nosili żelazne hełmy, a spod powiewnych kaftanów błyskały im stalowe kolczugi. Jechali na smukłych, górskich konikach, a ich główną bronią były straszliwe shemickie łuki, z których można wypuścić strzałę na pięćset kroków. Tych jeźdźców było prawie pięć tysięcy, a dowodził nimi ponury Shupras.

Dalej maszerowali oszczepnicy, nieliczni, jak w każdym państwie hyboryjskim, ponieważ tylko służbę w kawalerii uważano za zaszczytną. Oszczepnicy, podobnie jak rycerze, byli

potomkami starych, kothijskich rodów — zrujnowani młodzieńcy bez grosza, których nie stać było na kupno zbroi i konia. Ten oddział liczył pięciuset ludzi.

Pochód zamykali najemnicy: tysiąc jeźdźców i dwa tysiące oszczepników. Olbrzymie konie wydawały się równie dzikie, jak ich jeźdźcy; kroczyły majestatycznie, bez płasów czy podskoków. Jeźdźcy — zawodowi zabójcy, weterani wielu wojen — roztaczali wokół siebie ponurą atmosferę śmierci i grozy. Ich tarcze były pozbawione ozdób, a długie włócznie nie miały proporców. Od stóp do głów okrywały ich stalowe kolczugi; głowy chroniły stalowe hełmy. Każdy miał zawieszony na łąku siodła topór lub maczugę i długą, prostą szablę u pasa. Oszczepnicy byli uzbrojeni podobnie, tylko zamiast włóczni mieli długie piki.

Najemnicy stanowili mieszaninę różnych narodowości. Rośli Hyperborejczycy, chudzi i grubokościści, o gwałtownym temperamencie i ciężkiej wymowie; jasnowłosi Gunderowie ze wzgórz na północnym zachodzie; chełpliwi renegaci z Koryntii; smagli Zamoranie, zdraдлиwi i czarnowłosi Akwilończycy z dalekiego zachodu. Jednak oprócz Zingaran wszyscy byli Hyboryjczykami.

Na samym końcu kroczył bogato przybrany wielbłąd poprzedzany przez rycerza na wielkim ogierze i eskortowany przez oddział doborowych wojowników. W umocowanym na grzbiecie palankinie niósł smukłą, odzianą w jedwabie postać, na widok której oddani królewskiej rodzinie mieszkańcy miasta podrzucili w powietrze nakrycia głowy i wzniesli gromki okrzyk.

Conan Cymeryjczyk, czując się dość nieswojo w pełnej zbroi, z dezaprobatą spojrział na palankin i rzekł do jadącego obok Amalryka, który wyglądał naprawdę imponująco w pozłacanej kolczudze, złotym napierśniku i hełmie ozdobionym grzywą z

końskiego włosia:

— Księżniczka jedzie z nami. Jest zwinna, ale zbyt delikatna do wojaczki. Będzie musiała pozbyć się tych powiewnych szat.

Amalryk podkreślił węża, aby ukryć uśmiech. Najwidoczniej Conan spodziewał się, że Yasmela zamierza przypasać miecz i wziąć udział w prawdziwej bitwie, tak jak to często praktykują kobiety barbarzyńców.

— Niewiasty hyboryjskie nie walczą tak jak kobiety w Cymerii — rzekł. — Yasmela jedzie z nami, aby obserwować bitwę. Ponadto — dodał, poprawiając się w siodle i zniżając głos — między nami mówiąc, wydaje mi się, że księżniczka boi się zostać w mieście. Obawia się czegoś...

— Buntu? Może trzeba było przed wymarszem powiesić kilku krzykaczy...

— Nie. Jedna z jej dworek mówiła... plotła, że Coś zjawiało się nocą w pałacu i doprowadzało Yasmelę niemal do utraty zmysłów. Niewątpliwie to jakieś diabelskie sztuczki Natohka. Conanie, nie walczymy tylko ze zwyczajnym przeciwnikiem.

— No — mruknął barbarzyńca — zawsze lepiej wyjść przeciwnikowi na spotkanie, niż czekać.

Spojrzał na długi rząd jeźdźców i wozów, zebrał wodze w obleczonej w stal dłoni i machinalnie rzucił zwyczajowe powiedzenie najemników:

— Zguba czy łup, kamraci — marsz!

Brama Khorai zamknęła się za długimi kolumnami wojsk, a na blankach pojawiły się głowy ciekawskich. Mieszkańcy miasta dobrze wiedzieli, że od maszerującej armii zależy ich los. Jeżeli oddziały poniosą klęskę, karty przyszłej historii Khorai zostaną zapisane krwią. Nadciągające z południa hordy nie wiedziały, co to litość.

Cały dzień wojska maszerowały przez trawiaste łąki przecinane wąskimi rzeczками, stopniowo wznoszące się ku górze. Przed nimi ciągnęło się pasmo niskich wzgórz, nieprzerwaną linią sięgających ze wschodu na zachód. Tej nocy rozbili obóz na północnych stokach. Dzikoocy górale o haczykowatych nosach tuzinami przybywali, by siadać przy ogniskach i powtarzać wieści nadchodzące z głębi pustyni. W tych opowiadaniach imię Natohka przewijało się niczym żmija pełzająca wśród poszycia. Na jego żądanie demony powietrza sprowadzały gromy, wichry i burze, a bestie podziemi wstrząsały swoim rykiem ziemię. On zsyłał z nieba ogień pożerający bramy warownych miast i spalający ludzi. Jego wojownicy byli liczniejsi niż ziarna piasku, a wspierało ich pięć tysięcy zbrojnych Stygijczyków w wojennych rydwanach, dowodzonych przez zbuntowanego księcia Kutamuna.

Conan przysłuchiwał się temu obojętnie. Wojna była jego rzemiosłem, a życie nieustającą walką lub serią walk. Od urodzenia śmierć była jego nieodłącznym kompanem. Kroczyła niestrudzenie u jego boku, zaglądała mu przez ramię przy stole do gry, jej kościste palce podawały mu puchary z winem. Stała przy nim jak zakapturzony i potworny cień, kiedy kładł się spać. Nie zważał na jej obecność, jak król nie zauważa obecności podczaszego. Pewnego dnia poczuje chwyt jej kościstych palców na gardle. To wszystko. Jednak na razie jeszcze żył.

Inni byli bardziej podatni na lęk. Obchodząc linię wart, Conan zatrzymał się, gdy wyrosła przed nim drobna, owinięta w luźną opończę postać.

— Księżniczko! Powinnaś być w swoim namiocie!

— Nie mogłam zasnąć — w jej czarnych oczach pojawił się lęk.
— Boję się, Conanie.

— Czyżbyś obawiała się kogoś z nas? — spytał, chwytając za miecz.

— Nie — odparła z drzeniem. — Conanie, czy ty się niczego nie lękasz?

— Hm — zastanowił się. — Owszem, boję się przekleństwa bogów.

Yasmela znowu zadrżała.

— Chyba na mnie spadła taka klątwa. Upodobała mnie sobie koszmarna zjawa. Noc w noc pojawia się przy moim łożu, szepcząc do ucha okropne rzeczy. Chce, abym królowała u jej boku. Boję się zasnąć... Boję się, że znów przyjdzie do mego namiotu, tak samo jak przychodziła do mojej komnaty w pałacu. Conanie, jesteś taki dzielny... zostań przy mnie!

Boję się!

Na chwilę przestała być księżniczką, a stała się tylko wystraszoną dziewczyną. Jej duma zniknęła bez śladu pod wpływem okropnego strachu, który kazał jej szukać oparcia u tego, kto wydawał się najsilniejszy. Brutalna siła barbarzyńcy, przedtem odpychająca, teraz pociągała ją.

W odpowiedzi Cymeryjczyk zdjął swój szkarłatny płaszcz i owinął nią dziewczynę. Zrobił to gwałtownym ruchem, jakby obce mu były jakiegokolwiek delikatne uczucia. Żelazna dłoń na moment spoczęła na ramieniu Yasmeli, która znów zadrżała — tym razem nie ze strachu.

Dotknięcie jego palców wywoływało jakiś dziwny dreszcz, jakby w ten sposób barbarzyńca przekazał jej odrobinę swej niespożytej siły i witalności.

— Połóż się tutaj — rzekł, wskazując wolne od kamieni miejsce przy ognisku.

Conan zdawał się nie widzieć nic zdołnego w tym, że

księżniczka ma leżeć na gołej ziemi, owinięta w żołnierski płaszcz. Usłuchała go. Usadowił się w pobliżu, kładąc na kolanach obnażony miecz. Jego stalowa zbroja lśniła w blasku ogniska, przez co

Cymeryjczyk wyglądał jak granitowy posąg uosabiający pierwotną siłę: nie statyczną, lecz znieruchomiałą na moment w oczekiwaniu na sygnał do natarcia. W migotliwym świetle jego twarz zdawała się być wykuta z czarnego granitu, twardszego niż stal. W tych zastygłych rysach tylko jasno płonące oczy żyły własnym życiem. Cymeryjczyk nie tylko mieszkał w dziczy — był jej częścią, stanowiąc jedność z nieposkromionymi siłami natury. W jego żyłach płynęła wilcza krew, pamięć zachowywała wspomnienie północnych pustkowi, a serce pulsowało pieśnią obozowych ognisk.

Pogrążona w myślach i marzeniach Yasmela niepostrzeżenie zapadła w sen w cudownym poczuciu bezpieczeństwa. Nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego, ale była pewna, że tej nocy płomiennooci cień nie pojawi się przy jej posłaniu.

Obudził ją cichy pomruk ściszonych głosów. Otworzywszy oczy zobaczyła, że ognisko już dogasa. Nadchodził świt. Conan wciąż siedział na pobliskim głazie — dostrzegła metaliczny błysk długiego ostrza. Obok barbarzyńcy przykucnął jakiś człowiek. W słabym świetle dogasającego ogniska zaspana księżniczka ujrzała haczykowaty nos, czarne paciorki błyszczących oczu i biały turban. Mężczyzna mówił szybko po shemicku, tak że z trudem mogła go zrozumieć.

— Niech Bel pokręci mi palce! Mówię prawdę! Na Derketo, Conanie, jestem księciem łgarzy, ale nie kłamię przed starym druhem. Przysięgam na pamięć dni, które spędziliśmy razem jako złodzieje w Zamorze, zanim jeszcze założyłeś kolczugę!

Widziałem Natohka!

Razem z innymi klęczałem przed nim, gdy wznosił modły do Seta. Jednak nie wetknąłem nosa w piach jak inni. Jestem złodziejem z Shumiru i wzrok mam lepszy niż kuna. Spojrzałem uważnie i widziałem, jak w pewnej chwili wiatr szarpnął jego zawój. Na moment ukazała się jego twarz i zobaczyłem... zobaczyłem... Na Bela, Conanie, mówię ci — widziałem! Krew zastygła mi w żyłach i włosy na głowie stanęły dęba. Ten widok zgnął mnie jak rozżarzone żelazo. Nie zaznałbym spokoju, gdybym się nie upewnił. Udałem się więc do Kutchemes.

Drzwi kopuły ze słoniowej kości stały otworem, a w korytarzu leżała ogromna żmija przebita mieczem. W środku znalazłem zwłoki mężczyzny, tak skurczone i powykręcane, że z początku nie mogłem go poznać... ale to był Zamoranin Shevatas. Jedyny złodziej na świecie, którego uważałem za lepszego ode mnie. Skarb był nietknięty, wokół trupa leżały sterty kosztowności. Nic więcej.

— Nie było kości...? — zaczął Conan.

— Nie było niczego! — przerwał mu gwałtownie Shemita. — Niczego! Tylko ten jeden trup!

Zapadło głębokie milczenie. Zupełnie już rozbudzona Yasmela dygotała z przerażenia.

— Skąd przybył Natohk? — usłyszała przenikliwy szept Shemity. — Z pustyni. Przybył nocą, gdy ciemności okryły świat, a między gwiazdami pędziły czarne obłoki gnane wiatrem, którego wycie mieszało się z zawodzeniem upiorów pustkowia. Tej nocy wampiry krążyły po świecie, wiedźmy jeździły nago na miotłach, a w mroku rozchodziło się wycie wilkołaków.

Przyjechał na czarnym wielbłądzie, pędząc jak wichra, a otaczała go niebieskawa poświata, a ślady wielbłądzich kopyt

płonęły na piasku niczym ogień. Kiedy zsiadł przy świątyni Seta w oazie Aphaka, jego wierzchowiec skoczył w noc i zniknął. Rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgali, że zaraz rozwinął olbrzymie skrzydła i pomknął między chmury, zostawiając za sobą ognisty ślad. Nikt więcej nie widział tego potwora, ale do namiotu Natohka co noc zakrada się jakiś czarny, bezkształtny stwór i długo bełkocze w ciemnościach. Mówię ci,

Conanie, że Natohk to... Czekał, pokażę ci, co zobaczyłem tego dnia pod Shushanem, kiedy wiatr odchylił mu zawój!

W ręce Shemity coś żółto błysnęło i obaj mężczyźni nachylili się, żeby lepiej widzieć.

Yasmela usłyszała jeszcze zduszony okrzyk Cymeryjczyka i nagle wszystko zawirowało jej przed oczyma. Po raz pierwszy w życiu zemdląca.

4

Rozjaśniające się od wschodu niebo dopiero zapowiadało nadchodzący świt, gdy armia podjęła marsz. Kilku górali przy — galopowało do obozu na słaniających się koniach, przynosząc wieść, że pustynne hordy obozują przy źródle Altaku. Oddziały khorajskie ruszyły spiesznie przez wzgórza, zostawiając w tyle tabory. Yasmela jechała z żołnierzami — w jej oczach czaił się lęk. Wzrósł on od chwili, gdy ujrzała monetę, którą Shemita pokazywał Conanowi — jeden z sekretnie wytapianych symboli zwyrodniałego kultu Zugitów, ukazujący twarz człowieka martwego od trzech tysiącleci.

Droga wiała się między poszarpanymi turniami i stromymi ścianami wąskich dolin. Od czasu do czasu napotykali wioski — chatynki z kamieni pozlepianych błotem. Górale przyłączali się tłumnie do maszerujących wojsk, dzięki czemu, zanim armia przeszła przez wzgórza, jej szeregi wzrosły o prawie trzy tysiące łuczników.

W końcu wydostali się na równinę, skąd roztaczał się zapierający dech w piersi widok. Na południu wzgórza urywały się nagle, tworząc wyraźną barierę między kothijskimi wyżynami a pustynią na południu. Ciągłą się niemal nieprzerwaną linią wzniesienia zamykały wyżynę szerokim łukiem. Były nagie i puste. Zamieszkiwał je jedynie klan Zaheemi, którego obowiązkiem było strzec szlaku karawan. Za wzgórzami rozpościerała się rozprężona pustynia. Daleko za horyzontem

znajdowała się oaza Altaku, gdzie koczowała horda Natohka.

Żołnierze khorajscy znaleźli się na Przełęczy Shamla. Tędy płynął strumień towarów z północy na południe, tędy też ciągnęły armie Koth, Khorai, Shemu, Turanu i Stygii. W miejscu tym długiemu łańcuchowi wzgórz brakowało jednego ogniwa. Z prawej i lewej strony w pustynię wybiegały rzędy niskich pagórków, których północne ściany tworzyły poszarpane urwiska. Tylko jeden wzgórek miał łagodne zbocza — tamtędy wiodła droga.

Wyglądem przypominało to wielką dłoń wyciągniętą ku pustyni; dwa rozchylone palce tworzyły zwężającą się dolinę, w której znajdowała się studnia otoczona kręgiem kamiennych wież zamieszkałych przez Zaheemi. Tam Conan zatrzymał się i zeskoczył z konia. Zdążył już zamienić ciężką zbroję na kolczugę, w której czuł się znacznie bardziej swojsko.

Thespides ściągnął wodze.

— Czemu się zatrzymałeś? — zapytał.

— Tu na nich zaczekamy — odparł Cymeryjczyk.

— Bardziej po rycersku byłoby potykać się w szczerym polu — warknął hrabia.

— Mają zbyt wielką przewagę liczebną — odparł barbarzyńca — a ponadto nie ma tam wody. Rozbijemy obóz na wyżynie i...

— Ja i moi rycerze będziemy obozować w dolinie — uciął ze złością Thespides.

— Jesteśmy przednią strażą armii i nie obawiamy się nędznego, pustynnego robactwa.

Conan wzruszył ramionami i rozgniewany szlachcic odjechał. Amalryk przerwał na chwilę wydawanie rozkazów i spojrzał w ślad za zjeżdżającym po zboczu oddziałem.

— Głupcy! Wkrótce skończy im się woda w bukłakach i będą

musieli znów wjechać na górę, żeby napić wierzchowce.

— Niech robią, co chcą — odrzekł Conan. — Trudno im pogodzić się z myślą, że jestem dowódcą armii. Powiedz swoim psubratom, żeby zdjęli zbroje i odpoczęli. Długo maszerowaliśmy. Trzeba napić konie i nakarmić ludzi.

Nie było potrzeby wysłać zwiadowców. Z góry wszystko było widać jak na dłoni. Rozpościerająca się przed nimi pustynia była pozbawiona jakichkolwiek śladów życia. Daleko na horyzoncie przesuwały się szybko gęste kłęby nisko wiszących chmur. Monotonię tego widoku zakłócał jedynie wznoszący się o kilka mil dalej las ruin — pozostałości jakiejś stygijskiej świątyni. Conan kazał łucznikom zejść z koni i zająć pozycje na górującej nad dolinami grani, podczas gdy najemnicy i oszczepnicy khorajscy rozlokowali się przy studni. Za nimi, w miejscu gdzie droga wychodziła na płaskowyż, rozbito namiot Yasmeli.

Nie dostrzegając nigdzie wroga, żołnierze poczuli się rażniej. Zdjęli lekkie hełmy, odrzucili na plecy kaptury kolczug i rozluźnili pasy. Wojownicy zabrali się za ogryzanie wołowych kości i opróżnianie dzbanów z piwskim. W powietrzu zaczęły latać rubaszne żarty. Na stokach rozłożyli się wygodnie górale, gryząc daktyle i oliwki. Amalryk podszedł do głazu, na którym odpoczywał Cymeryjczyk.

— Conanie, czy słyszałeś, co wojownicy mówią o Natohku? Mówią... Na Mitrę, to zbyt nieprawdopodobne, aby to powtórzyć. Co o tym sądzisz?

— Nasiona mogą spoczywać w ziemi całe wieki i nie gniją — odparł barbarzyńca — ale Natohk z pewnością jest człowiekiem...

— Nie jestem tego pewien — mruknął Amalryk. — W każdym razie rozstawiłeś swoje oddziały jak doświadczony generał.

Demony Natohka nie zaskoczą nas. Mitro, co to za mgła?

— Z początku myślałem, że to chmury — rzekł barbarzyńca. — Spójrz, jak szybko się zbliża!

Gęsty tuman mgły przesunął się na północ niczym wielki, falujący ocean, zakrywający pustynię przed oczyma patrzących. Niebawem opar wchłonął ruiny stygijskiej świątyni i toczył się dalej. Wojsko khorajskie spoglądało na to ze zdumieniem. Zjawisko było niezwykle — nienaturalne i niewytłumaczalne.

— Nie ma sensu wysłać zwiadowców — rzekł wyraźnie zniechęcony Amalryk.

— Niczego nie zobaczą. Mgła rozpościera się od grani do grani. Niedługo zakryje całą przełęcz i wzgórze...

Conan, który ze wzrastającym niepokojem przyglądał się nadciągającym oparom, schylił się nagle i przyłożył ucho do ziemi. Klnąc, wyprostował się i krzyknął:

— To konie i rydwany! Ziemia dudni pod tysiącami kopyt! Hej tam! — zagrzmiął, podrywając leżących. — Do broni, leniwa bando! Stań w szyku!

Żołnierze pospiesznie zwarli szeregi, nakładając hełmy i podnosząc tarcze. Mgła rozeszła się nagle. Nie opadła i nie rozwiała się jak zwykle — po prostu zniknęła niczym zdmuchnięty płomień. W jednej chwili całą pustynię zakrywały gęste kłęby, piętzące się i nieprzeniknione, w drugiej na bezchmurnym niebie świeciło oślepiające słońce, ukazując pustynię już nie nagą, lecz zatłoczoną tysiącami wojowników i setkami rydwanów. Bojowy okrzyk wstrząsnął górami.

W pierwszej chwili zdumionym żołnierzom wydawało się, że patrzą na falujące, skrzące się morze spiżu i złota, w którym stalowe ostrza lśnią jak gwiazdy na bezchmurnym niebie. Mgła rozeszła się, odsłaniając nadciągające wojska Natohka.

Na przedzie jechał długi szereg rydwanów, ciągniętych przez olbrzymie, dzikie konie stygijskie, których łby przystrojone były pióropuszcami. Półnaczy woźnice z trudem panowali nad rżącymi i parszającymi bestiami. Jadący w rydwanach wojownicy byli muskularni i wysocy. W rękach dzierżyli ciężkie łuki. Nie była to jakaś zbieranina, lecz doborowe oddziały wojowników nawykłych do łowów i wojen, potrafiących jedną strzałą położyć lwa.

Za nimi rozlewał się pstrokaty tłum jeźdźców na półdzikich koniach. To wojownicy z Kush, największego z czarnych królestw leżących za sawannami na południe od Stygli.

Czarni jak heban, zwinni i smukli, jechali na oklep bez siodła i uzd. Dalej ciągnęli, tysiące za tysiącami, waleczni synowie Shemu — jeźdźcy w łuskowych pancerzach i stożkowatych hełmach, asshuri z Nippru, Shumiru, Eruk i ich siostrzanych miast, odziani w białe szaty nomadowie pustynnych klanów.

Nagle ich szeregi skłębily się i zwichrzyły. Rydwany zjechały na skrzydło, podczas gdy główne siły niepewnie posuwały się naprzód. Rycerze Thespidesa skoczyli na koń, a on sam przygalopował wprost do Conana. Nie raczył nawet zsiąść z wierzchowca, lecz z siodła rzucił kilka urwanych zdań.

— Opadnięcie mgły zaskoczyło ich! Teraz jest odpowiednia chwila do ataku! Kuszyci nie mają łuków i tylko zwalniają ich marsz. Szarża moich rycerzy zepchnie ich na szeregi Shemitów i pomiesza im szyki. Ruszaj za mną! Wygramy tę bitwę jednym uderzeniem!

Conan potrząsnął głową.

— Zgodziłbym się na to, gdybyśmy walczyli ze zwykłym przeciwnikiem. Jednak to zamieszanie jest raczej pozorowane, jakby chcieli nas sprowokować do szarży. Obawiam się podstęp.

— A więc odmawiasz? — krzyknął Thespides, a jego twarz pociemniała od gniewu.

— Bądź rozsądny — perswadował Cymeryjczyk. — Mamy przewagę pozycyjną...

Jednak Thespides już nie słuchał. Okręcił konia i pognął z powrotem w dolinę, gdzie czekali jego rycerze. Amalryk pokiwał głową.

— Nie powinieneś był pozwolić mu wrócić, Conanie. Ja... Spójrz tylko!

Conan popatrzył w dół i zaklął. Thespides podjechał do swego oddziału i stanął przed frontem żołnierzy. Nie było słyhać, co mówił, ale jego gest w kierunku nadciągającej hordy nie pozostawiał wątpliwości. W następnej chwili pięćset włóczni pochyliło się i zakuty w stal oddział runął na wroga. Z namiotu Yasmeli przybiegł młody paź, wołając do Conana dzwiecznym głosem:

— Panie mój, księżniczka pyta, dlaczego nie wesprzesz hrabiego Thespidesa?

— Ponieważ nie jestem takim głupcem jak on — mruknął Cymeryjczyk, z powrotem siadając na głazie i zabierając się za ogryzanie olbrzymiego wołowego udźca.

— Władza wymaga rozsądku — przypomniał znane porzekadło Amalryk. — Dawniej zdradzałeś szczególne upodobanie do takich szaleństw.

— Tak, ale wtedy chodziło tylko o moje życie — odparł Conan — a teraz... Cóż to, do diabła?

Horda zatrzymała się nagle. Ze skrzydła nadszedł czarny rydwan. Pólnagi woźnica smagał konie długim batem, a za nim stała wysoka postać w długiej szacie, upiornie powiewającej na wietrze. Człowiek ten trzymał w rękach złoty dzban, z którego

płynął cienki, skrzący się w słońcu strumyk. Rydwan przejechał przed frontem wojowników, zostawiając za sobą wyżłobione kołami koleiny i długą, cienką linię czegoś błyszczącego na piasku, niczym fosforyzujący ślad żmii.

— To Natohk! — zawołał Amalryk. — Cóż za piekielne ziarno sieje ten łajdak?

Szarżujący rycerze nie wstrzymali pędzących koni. Jeszcze pięćdziesiąt kroków i uderzyliby w nierówne szeregi Kuszytów, stojących bez ruchu z nastawionymi dzidami.

Wtedy jednak jadący na czele jeźdźcy dotarli do cienkiej, błyszczącej na piasku linii. Stalowe podkowy rumaków stratowały ją i — tak jak krzemień uderzony żelazem daje iskry, tak złota linia rozbłysła ogniem. Po pustyni przetoczył się głuchy huk, zdający się przelatywać wzdłuż szeregu jeźdźców razem z kłębem białego dymu.

W jednej chwili pierwsze szeregi rycerzy spowiły płomienie; jeźdźcy i ich wierzchowce stopili się w nich jak ćmy w palenisku. Tylne szeregi wpadły na ich zwęglone ciała, powiększając zamieszanie. Nie mogąc zatrzymać rozpędzonych koni, uderzyli w piętrzący się wał trupów. Atak zamienił się w druzgocącą klęskę; zakuci w stal rycerze ginęli ze swymi wierzchowcami.

Porzucając pozory zamieszania horda wyrównała szyki. Dzicy Kuszyeci doskakiwali do kłębowiska dobijając rannych, rozbijając żelazne hełmy maczugami i toporami. Wszystko skończyło się tak szybko, że spoglądający ze stoków żołnierze khorajscy przecierali oczy ze zdumienia. Oddziały wroga znów ruszyły naprzód, rozstępując się na boki, aby ominąć sterty zwęglonych ciał. Wśród patrzących na to ze wzgórz żołnierzy podniósł się trwożliwy krzyk:

— To nie ludzie, to demony!

Jeden z górali tocząc pianę z ust rzucił się do ucieczki.

— Uciekajmy, uciekajmy! — jęczał. — Któż się oprze czarom Natohka?

Conan warknął coś wściekle i zeskoczywszy z głazu rąbnął go ogryzionym udźcem.

Wojownik padł jak rażony gromem i krew pociekła mu z nosa i ust. Cymeryjczyk wydobył miecz. W oczach zabłysły mu groźne ogniki.

— Na miejsca! — wrzasnął. — Pierwszemu, który opuści szeregi, utnę głowę! Walczcie, psy!

Panika skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Wybuch Cymeryjczyka był niczym wiadro zimnej wody wylanej na głowy przerażonych żołnierzy.

— Zająć stanowiska — rozkazał. — I nie opuszczać ich pod żadnym pozorem! Ani ludzie, ani demony nie przejdą dziś przez przełęcz Shamla!

W miejscu gdzie krawędź płaskowyżu załamywała się, przechodząc w łagodne zbocze, najemnicy stanęli murem, ściskając w rękach dzidy. Za ich plecami włócznicy dosiedli swoich wierzchowców, a na skrzydle stały w odwodzie oddziały khorajskich oszczepników. Patrzącej na to z namiotu Yasmeli wydali się mizerną garstką w porównaniu z mrowiem nadciągających hord.

Conan stał wśród oszczepników. Wiedział, że przeciwnik nie będzie próbował wjechać rydwanami na przełęcz, wystawiając się tym samym na grad strzał. Zdziwił się, widząc, że jeźdźcy zsiadają z koni. Ci dzicy ludzie nie wiedli ze sobą taborów. Bukłaki z wodą i sakwy z pożywieniem mieli przytroczone do siodła. Teraz wypili resztę wody i odrzucili puste bukłaki.

— Wóz albo przewóz — mruknął do siebie barbarzyńca. —

Wolałbym raczej konną szarżę. Zranione konie ponoszą i płaczą szyki.

Horda tymczasem sformowała duży klin, którego ostrzem byli Stygijczycy, a trzonem odziani w kolczugi asshuri, osłaniani po bokach przez nomadów. W zwartym szyku, kryjąc się za tarczami, parli naprzód jak lawina, a za ich plecami stojąca na rydwanie postać w rozwianej szacie wznosiła ramiona ku niebu gestem upiornego błogosławieństwa.

Gdy pierwsze szeregi dotarły do wylotu doliny, górale na stokach wypuścili strzały. Mimo osłony tarcz atakujący padali tuzinami. Stygijczycy, zostawiwszy swe łuki przy wierzchowcach, pochyłili pokryte hełmami głowy i ruszyli niepowstrzymaną falą po ciałach swych zabitych kamratów, błyskając oczyma zza krawędzi tarcz. Shemici odpowiedzieli gradem strzał, które czarną chmurą przysłoniły słońce. Spoglądając na zbliżającego się wroga, Conan zastanawiał się, jaką nową okropność kryje w zanadrzu czarownik. Niejasno wyczuwał, że Natohk, jak każdy mag, jest groźniejszy w obronie niż w ataku — każdy ofensywny ruch groził klęską.

Bez wątpienia czary Natohka gnały horde w paszczę śmierci. Conan wstrzymał oddech, widząc spustoszenie, jakie szerzyli jego wojownicy w szeregach wroga. Olbrzymi klin zdawał się topnieć w oczach, a dno doliny było już gęsto usłane trupami napastników. Mimo to pozostali przy życiu parli naprzód jak szaleńcy, gardząc śmiercią. Liczebna przewaga sprawiła, że górale nie byli w stanie ich powstrzymać. Chmury strzał mknęły w górę i zmuszały ich z kolei do szukania osłony. Niepowstrzymany pochód wroga napełnił ich lękiem, lecz wciąż gorączkowo wypuszczali pierzaste pociski, walcząc jak schwytane w pułapkę wilki.

Kiedy horda zbliżyła się do wąskiej gardzieli przełęczy, z góry zepchnięto ogromne głazy, które z łoskotem runęły na ciasno stłoczone szeregi, miażdżąc dziesiątki wojowników. Mimo to najeźdźcy parli naprzód. Najemnicy przygotowali się do nieuniknionego starcia. Stojąc w zwartym szyku, dzięki swym grubym kolczugom nie ponieśli większego uszczerbku od gęsto sypiących się strzał. Jednak Conan obawiał się, że impet uderzenia ogromnego klina przełamie mur obrońców. Zdał sobie sprawę, że czeka ich bezpardonowa walka. Chwycił za ramię stojącego obok Zaheemi.

— Czy jest jakaś droga, którą jezdni mogą zjechać w ślepią dolinę za zachodnią granicą?

— Tak! Urwista, niebezpieczna ścieżka — sekretna i zawsze strzeżona. Ale...

Conan powlókł go do siedzącego na wielkim rumaku Amalryka.

— Amalryku! — warknął. — Jedź za tym człowiekiem! On poprowadzi was do tamtej doliny. Pojedziesz, okrążysz grań i uderzysz na hordę od tyłu. Nic nie mów, tylko jedź!

Wiem, że to szaleństwo, ale i tak jesteście zgubieni. Zanim umrzemy, zabijemy tylu, ilu zdołamy. Pospiesz się!

Amalryk nastroszył wąsy w dzikim uśmiechu i za kilka chwil jego włóczęgi ruszyli za przewodnikiem w głąb płataniny wąwozów stopniowo opuszczających się z płaskowyżu.

Conan z mieczem w ręku podbiegł do oszczepników.

Przybył w samą porę. Po obu stronach przełęczy górale Shuprasa desperacko ślali pocisk za pociskiem, widząc grożącą im klęskę. W dolinie i na zboczach napastnicy ginęli jak muchy, lecz niepowstrzymaną falą pieśli się po zboczu i w końcu z wrzaskiem uderzyli na najemników Conana.

Wśród chrzęstu i łoskotu stali uderzającej o stal szeregi obrońców zachwiały się i wygięły.

Zrodzony do wojaczki lud starł się z zawodowym żołnierzem. Tarcza uderzała o tarczę, oszczep wbijał się w ciało, tryskała krew. Wśród zamętu Conan ujrzał olbrzymią postać księcia Kutamuna. Odgradzał go od niego tłum cisnących się, dyszących i wywijających żelazem wojowników. Za Stygijczykami kroczyli asshuri.

Nomadzi wspięli się na zbocza po obu stronach doliny i rozpoczęli walkę wręcz ze swymi krewniakami z gór. Wzdłuż obu grani rozgorzała zaciekle, gwałtowna bitwa. Górale walczyli z właściwym im fanatyzmem, podsycanym wielowiekowymi waśniami; ginęli, ale i zabijali. Z przeraźliwym wyciem do bitwy przyłączyli się nadzy, czarnoskórzy Kuszyci.

Conanowi zdawało się, że jego zalewane potem oczy spoglądają na falujący ocean stalowych ostrzy, wznoszących się i opadających, wypełniających dolinę od grani do grani.

Ważyły się losy bitwy. Górale trzymali się nieźle, a najemnicy stali murem w obronie przełęczy, ściskając okrwawione piki. Lepsza pozycja i uzbrojenie na jakiś czas zrównoważyły liczebną przewagę wroga, ale nie mogło to trwać długo. Wciąż nowe fale nieprzyjaciół szturmowały zbocza, a wyrwy w szeregach Stygijczyków natychmiast zapełniali kroczący za nimi asshuri.

Cymeryjczyk wyglądał okrążających zachodnią grań włóczników Amalryka, lecz ci nie pojawili się jeszcze. Oddziały oszczepników zaczęły się chwiać pod naporem wroga.

Barbarzyńca porzucił już wszelką myśl o zwycięstwie i uratowaniu życia. Wykrzykując rozkazy do zziębniętych dowódców zawrócił i pomknął przez płaskowyż do stojącej w odwodzie jazdy khorajskiej. Nie spojrział nawet w kierunku

namiotu Yasmeli. Zapomniał o księżniczce; myślał tylko o tym, aby przed śmiercią zabić jak najwięcej wrogów.

— Dziś zostaniecie rycerzami! — krzyknął do jeźdźców, wskazując okrwawionym mieczem szeregi wroga. — Na koń i za mną do piekła.

Góralski koń, nieprzyzwyczajony do ciężaru khorajskiej zbroi dziko zadrżał. Conan ze śmiechem skierował rumaka na skraj płaskowyżu.

Pięciuset jeźdźców — zubożałych patrycjuszy, wydziedziczonych szlacheckich synów — nicponi — na półdzikich, shemickich koniach runęło do ataku po zboczach, jakim żadna jazda na świecie jeszcze nigdy nie szarżowała.

Przemknęli obok walczących na przełęczy oddziałów aż do usłanej trupami zachodniej grani. Popędzili po stromym stoku. Tuzin jeźdźców straciło równowagę i spadło pod kopyta pędzących rumaków. Wśród okrzyków przerażenia i jęków agonii wpadli na nieprzyjaciela jak lawina spadająca na zagajnik i przetoczyli się po zwartych szeregach nomadów niczym żelazny walec, zostawiając za sobą łań trupów.

Prawie równocześnie na zwichrzone szeregi zaskoczonych wrogów uderzyli włócznicy Amalryka, którzy okrążyli zachodnią grań i rozbili kordon jeźdźców pilnujących lewego skrzydła. Niczym stalowy klin wpadli od tyłu na nie spodziewających się niczego nieprzyjaciół. Nomadzi, sądząc, że są otoczeni przez przeważające siły i obawiając się odcięcia od zbawczej pustyni, rzucili się do ucieczki, traktując mniej lękliwych towarzyszy.

Khorajska jazda przetoczyła się po nich, rozbijając w proch i pył. Stygijczycy atakujący zbocza zawahali się, co wykorzystali górale, broniąc się ze zdwojoną zajądłością i zmuszając przeciwnika do odwrotu.

Zaskoczona horda rzuciła się do panicznej ucieczki, zanim ktokolwiek zorientował się, że atakuje ich zaledwie garstka jeźdźców. A gdy już zaczęli uciekać, nawet czary Natohka nie mogły ich powstrzymać.

Przez morze głów i oszczepów jeźdźcy Conana ujrzeli włóczyków Amalryka przebijających się przez bezładnie uciekających nieprzyjaciół. Ten widok dodał ducha khorajskim oddziałom; z radosnym okrzykiem i zdwojonym zapalem poczęli gromić nomadów.

Brodząc po kostki w kałużach krwi, broniący przełęczy najemnicy ruszyli naprzód, silnie napierając na zwichrzone szeregi wroga. Stygijczycy nie ustępowali pola, lecz oddziały asshuri stopniały błyskawicznie. Wojownicy południa zginęli co do jednego, a najemnicy przeszedłszy po ich ciałach uderzyli jak stalowy topór w skłębione szeregi.

Wysoko na grani leżał ze strzałą w sercu stary Shupras. Amalryk klął, trzymając się za przeszyte włócznią udo. Z jeźdźców Conana ledwie półtorej setki pozostało w siodłach, lecz horda została rozbita. Nomadzi i oszczepnicy poszli w rozsypkę, zmykając do obozu, gdzie zostawili konie. Górale zbiegali z grani, dźgając w plecy uciekających i podrzynając gardła rannym.

Z chaosu wyłoniła się olbrzymia postać, która skoczyła w kierunku Conana. To książę Kutamun, odziany tylko w przepaskę biodrową i pogięty hełm, od stóp do głów zbryzgany krwią, z przeraźliwym okrzykiem cisnął Cymeryjczykowi w twarz rękojeść złamanego miecza i doskoczywszy, złapał jego ogiera za uzdę. Oszołomiony barbarzyńca zachwiał się w siodle, a czarnoskóry olbrzym z potworną siłą szarpnął koński łeb w górę i do tyłu. Rumak stracił równowagę i kwicząc, runął na zalany krwią piasek.

Conan zdołał zeskoczyć z walącego się na ziemię konia. Kutamun natychmiast rzucił się nań, rycząc jak lew. Wśród bitewnego zamętu barbarzyńca nie wiedział nawet, jak udało mu się zabić olbrzyma. Pamiętał tylko, że Stygijczyk raz po raz uderzał trzymanym w rękę kamieniem w jego hełm, aż gwiazdy pokazały się Conanowi przed oczyma, i że kilkakrotnie wbijał sztylet w pierś księcia, co wydawało się nie robić na nim żadnego wrażenia. Conanowi świat zaczął już wirować przed oczami, gdy wreszcie czarnoskóry gigant zadygotał konwulsyjnie, wyprężył się i runął bezwładnie na ziemię.

Chwiejąc się i ocierając krew płynącą spod okapu pogiętego hełmu, Conan spojrział zamglonym wzrokiem na dzieło zniszczenia.

Cała dolina była zasłana trupami, jakby rozwinięto w niej czerwony dywan. Zwały ciał piętrzyły się niczym morskie fale, sięgając do przełęczy i wpełzając na zbocza. W dole, na pustyni wciąż toczyła się walka. Resztki hordy dotarły do koni i poczęły umykać na pustynię, ścigane przez strudzonych zwycięzców. Conan ze zgrozą zauważył, jak nieliczni byli ścigający.

Nagle przez zgiełk przedarł się przeraźliwy wrzask. Z doliny nadjechał czarny rydwan, miażdżąc kołami sterty trupów. Nie ciągnęły go konie, lecz wielkie czarne stworzenie podobne do wielbłąda. To jechał Natohk, w rozwianej todze i ze skuloną przy nim człekokształtną poczwara, przypominającą małpę. Stwór dzierżył wodze i raz po raz smagał batem ciągnące rydwan zwierzę.

Pojazd ze złowrogim świstem przemknął po usłanym trupami zboczu wprost do namiotu, przy którym stała osamotniona Yasmela. Jej straż bowiem przyłączyła się do pościgu za nomadami.

Conan zamarł, słysząc przeraźliwy krzyk i widząc, jak Natohk swym długim ramieniem wciąga księżniczkę do rydwanu. Straszliwy rumak zawrócił i pognął z powrotem w dolinę.

Żaden wojownik nie ośmielił się wymierzyć w niego strzały czy włóczni z obawy, że może trafić wijącą się w jego uścisku Yasmelę.

Conan z dzikim okrzykiem podniósł miecz i skoczył do pędzącego rydwanu. W chwili gdy wznosił oręż czarna bestia uderzyła go przednią nogą w pierś, odrzucając na bok ogłuszonego i potłuczonego. Z przejeżdżającego pojazdu dobiegł go przeciągły, okropny krzyk Yasmeli.

Z ust barbarzyńcy wydobył się ryk wściekłości. Zerwały się na równe nogi i łapiąc wodze przebiegającego obok bezpańskiego konia, wskoczył na siodło w pełnym galopie. Z szaleńczym zapamiętaniem popędził za szybko oddalającym się rydwanem. W pędzie minął obóz Shemitów i pognął na pustynię. Raz po raz mijał gromady swoich wojowników i rozpaczliwie umykających nomadów.

Rydwan pędził dalej. Conan czuł, że koń zaczyna pod nim słabnąć. Wokół rozpościerało się nagie pustkowie, skąpane w posępnym blasku zachodzącego słońca. Nagle przed pędzącymi wyrosły ruiny starożytnego miasta. Potworny woźnica wyrzucił z rydwanu Natohka i dziewczynę. Potoczyli się po piasku, a pojazd i ciągnący go stwór uległy przeobrażeniu. Zupełnie już niepodobny do wielbłąda, czarny potwór rozłożył wielkie skrzydła i śmignął w niebo, ciągnąc za sobą płomienisty kształt przypominający chichoczącego małpoluda. Stwór zniknął tak szybko, że zdał się być tylko wytworem dręczonego koszmarnym snem umysłu.

Natohk zerwał się na nogi, rzucił szydercze spojrzenie

swojemu prześladowcy, który nie zatrzymał się, lecz gnał ku niemu z uniesionym mieczem. Czarnoksiężnik pochwycił omdlałą dziewczynę i wbiegł z nią między ruiny.

Conan zeskoczył z konia i ruszył za nim. Po chwili znalazł się w komnacie jarzącej się niesamowitą poświatą mimo szybko zapadających na zewnątrz ciemności. Yasmela leżała na czarnym, nefrytowym ołtarzu. Jej nagie ciało jaśniało w upiornym blasku jak kość słoniowa.

Zerwane w brutalnym pośpiechu odzienie walało się wokół. Nad nią stał Natohk — nieludzko wysoki i chudy, ubrany w błyszczącą togę z zielonego jedwabiu. Mag odsłonił twarz i Cymeryjczyk ujrzał rysy, które widział na zugickich monetach.

— Drzyj, psie! — syknął czarnoksiężnik niczym rozzłoszczona żmija. — Jam jest Thugra Khotan! Długo spoczywałem w grobowcu, oczekując dnia przebudzenia i uwolnienia. Więził mnie czar, który uratował mnie niegdyś przed barbarzyńcami. Wiedziałem, że kiedyś jeden z nich przybędzie... I przybył, by wypełnić swe przeznaczenie i umrzeć śmiercią, jaką od trzech tysięcy lat nie umarł żaden człowiek! Ty głupcze, czy myślisz, że przegrałem, ponieważ moja armia poszła w rozsypkę? Dlatego, że demon, którego uczyniłem swym niewolnikiem, zdradził mnie i opuścił? Jam jest Thugra Khotan, który będzie władał światem na przekór waszym nędznym bogom! Pustynia roi się od moich ludzi, a demony nocy będą spełniać moje rozkazy, tak samo jak gadzi lud. Pożądanie osłabiło moją moc. Teraz ta kobieta jest moja i sycąc się jej duszą, będę niezwyciężony! Cofnij się, głupcze! Nie pokonałeś Thugry Khotana!

Z tymi słowy mag cisnął swoją laskę pod nogi Conana. Barbarzyńca cofnął się z mimowolnym okrzykiem. Padając, laska uległa straszliwej przemianie: skrzyła się i wygięła, i oto przed

zdumionym Cymeryjczykiem wznosiła łeb sycząca, królewska kobra. Z gwałtownym przekleństwem Conan opuścił ostrze, przecinając ohydneho stwora na dwoje, lecz wtedy u swych stóp ujrzał tylko przeciętą na dwie części hebanową laskę. Thugra Khotan zaśmiał się głucho i pochyliwszy podniósł coś z zakurzonej podłogi.

W wyciągniętej ręce trzymał teraz coś wijącego się i skręcającego. Tym razem nie było to złudzenie. Mag trzymał ponad dwudziestocentymetrowego czarnego skorpiona — najgroźniejsze stworzenie pustyni, którego ukłucie nosło natychmiastową śmierć. Trupią twarz Thugry Khotana rozjaśnił szeroki uśmiech. Conan zawahał się, lecz nagle, bez ostrzeżenia, rzucił mieczem.

Zaskoczony czarnoksiężnik nie zdążył się uchylić. Ostrze wbiło mu się prosto w serce i wyszło między łopatkami. Mag runął martwy, miażdżąc w dłoni jadowite stworzenie.

Conan podszedł do ołtarza i chwycił Yasmelę w ramiona. Z histerycznym szlochem arzucała mu ręce na szyję, kurczowo je zaciskając.

— Na Kroma, dziewczyno! — mruknął. — Puść mnie! Dziś padło pięćdziesiąt tysięcy wojowników i mam jeszcze...

— Nie! — wykrztusiła, przywierając doń konwulsyjnie, przez chwilę dorównując barbarzyńcy gwałtownością uczuć. — Nie pozwolę ci odejść. Jestem twoja prawem miecza, ognia i krwi! Jesteś mój! Tam należę do innych, tu mogę być sobą — jestem twoja! Nie puszcę cię!

Zawahał się w nagłym przypływie gwałtownej pasji. Posępny, upiorny blask wciąż rozjaśniał ogromną komnatę, rzucając niesamowite błyski na martwą twarz Thugry Khotana, który zdawał się uśmiechać tajemniczo i złowrogo. Na pustyni i wśród

wzgórz leżały pokotem tysiące zabitych, a inni wciąż jeszcze ginęli, wyjąć z bólu, rozpacz i szaleństwa.

Królestwa zadrżały w posadach... Nagle wszystko to pochłonęła szkarłatna fala pożądania.

Cymeryjczyk porwał w ramiona tę wiotką, białą postać jaśniejącą przed nim w półmroku, niczym magiczny ogień.

CIENIE W BLASKU KSIĘŻYCA

Duma nie pozwoliła Conanowi być „mężem swojej żony” choćby nawet była nią piękna i namiętna królowa. Po pewnym czasie barbarzyńca umyka chyłkiem z Khorai i udaje się do Cymerii szukać zemsty na odwiecznych wrogach, typerborejetykach.

Ma już prawie trzydzieści lat. Jego dawni druhowie z Cymerii i Aesiru pojęli żony i spłodzili synów; niektórzy z ich potomków mają teraz tyle lat, ile miał Conan, gdy po raz pierwszy ruszył w świat. Lecz żywot pirata i najemnego żołnierza rozbudził w duszy

Cymeryczyka życie wielką żądzę przygód, by miał pójść za ich przykładem. Kiedy kupcy przynoszą wieści o nowych wojnach toczących się na południu, Conan wraca bez chwili namysłu.

Zbuntowany książę Koth usiłuje zrzucić z tronu Strabonusa, skąpego władcę tego rozległego kraju. Conan wstępuje w szeregi buntowników. Niestety, książę zawiera pokój z królem i żołnierze zostają bez zajęcia. Część najemników, a wśród nich Conan, przeistacza się w bandę wyjętych spod prawa rabusiów — Wolnych Towarzyszy, którzy niepokoją zarówno granice Koth, jak i Zamory czy Turanu. Stopniowo posuwają się na wschód, by w końcu połączyć się ze zgrają obwiesiów znad Morza Vilayet zwanych kozakami.

Conan szybko zdobywa przywództwo nad tą zgrają. Zaczyna pustoszyć zachodnie granice turańskiego imperium, lecz jego dawny pracodawca król Yildiz odpowiada taktyką zmasowanego odwetu. Armia pod wodzą Szacha Amurata wciąga kozaków w głąb turańskiego terytorium i rozpija ich w krwawej bitwie nad

rzeką Ilbars.

1

Nagły trzask tratowanych kopytami trzcin; głuchy odgłos upadku i krzyk rozpacz. Smukła dziewczyna w sandałach i tunice przepasanej szarfą chwiejnie podniosła się z ziemi i stanęła obok zdychającego wierzchowca. Czarne włosy opadały gęstą falą na jej białe ramiona; jej oczy miały wyraz zaszczutego zwierzęcia. Nie zwracała uwagi na gęszcz trzcin otaczających małą polankę ani na błękitne wody omywające niski brzeg za jej plecami.

Szeroko otwartymi oczyma aż do bólu wpatrywała się w człowieka, który wyłonił się spośród trzcin i niespiesznie zsiadł z konia.

Był to wysoki mężczyzna, szczupły, lecz żylasty. Od stóp do głów okrywała go stalowa, posrebrzana kolczuga, która opinała jego zwinną postać jak rękawiczka. Spod kopulastego, inkrustowanego złotem hełmu drwiąco spoglądały brązowe oczy.

— Nie zbliżaj się! — krzyknęła głosem zduszonym z przerażenia. — Nie dotykaj mnie, Amuracie, albo rzucę się do rzeki i utonę!

Zaśmiał się śmiechem przypominającym syk ostrza wydobywanego z jedwabnej pochwy.

— Nie, nie utoniesz, Oliwio; przy brzegu jest płytko i złapię cię, zanim dotrzesz na głębię.

Na bogów, to była wspaniała pogoń i moi ludzie zostali daleko za nami. Jednak żaden koń po tej stronie Vilayet nie zdoła

prześcignąć Irema. Ruchem głowy wskazał dużego, smukłonogiego ogiera.

— Zostaw mnie! — błagała dziewczyna z twarzą zalaną łzami rozpacz. — Czyż nie dość wycierpiałam? Czy jest jakieś upokorzenie, ból czy poniżenie, jakiego nie zaznałam? Jak długo mają trwać te męki?

— Tak długo, jak długo znajduję przyjemność w twoich jękach, błaganiach, łzach i krzykach — odparł z uśmiechem, który wydałby się miły komuś, kto go nie znał. — Masz w sobie niezwykłą żywotność, Oliwio. Nie wiem, czy kiedykolwiek znudzisz mi się tak, jak nudziły mi się inne kobiety. Jesteś zawsze świeża i czysta, mimo wszystko. Każdy dzień z tobą sprawia mi prawdziwą przyjemność. No, chodź — wracamy do Akif, gdzie lud wciąż fetuje zwycięzcę tych nędznych kozaków, podczas gdy sam zwycięzca ugania się za zbiegłą, głupią, śliczną idiotką!

— Nie! — dziewczyna odskoczyła i rzuciła się w kierunku błękitnych wód omywających przybrzeżne trzciny.

— Tak! — wybuchnął gniewem nagłym jak skrzęsana krzemieniem iskra. Z niewiarygodną szybkością chwycił dziewczynę i z zimnym okrucieństwem wykręcił jej rękę, aż krzyknęła i upadła na kolana.

— Ty dziwko! Powinienem cię powlec do Akif uwiązaną do końskiego ogona, ale będę litościwy i posadzę cię w siodle, za którą to łaskę podziękujesz mi pokornie, kiedy...

Puścił ją ze zduszonym przekleństwem i odskoczył, błyskawicznie wyrywając z pochwy szablę, gdy z gąszczu trzciny wyłoniła się olbrzymia postać. Siedząca na ziemi Oliwia zobaczyła człowieka, którego uznała za dzikusa lub szaleńca, ze straszliwym rozmysłem zbliżającego się do Szacha Amurata. Obcy był potężnym mężczyzną odzianym jedynie w przepaskę

zbroczoną krwią i pokrytą zaschniętym błotem. Jego czarna grzywa też była zlepiona mułem i krwią; czarne strumyki znaczyły jego szeroką pierś, zastygły na ostrzu długiego miecza, który dzierżył w prawej dłoni. Nabiegłe krwią oczy jarzyły mu się pod gęstymi brwiami jak rozżarzone węgle.

— Hyrkański pies! — warknął nieznajomy z barbarzyńskim akcentem. — Chyba przywiodły cię tu demony zemsty!

— Kozak! — krzyknął Szach Amurat, cofając się o krok. — Nie spodziewałem się, że choć jeden z was uszedł! Myślałem, że wszyscy leżycie w stepie nad rzeką Ilbars!

— Wszyscy, prócz mnie, pies! — krzyknął kozak. — Och, marzyłem o takim spotkaniu, gdy czołgałem się wśród cierni lub leżałem pod skałami żywcem pożerany przez mrówki albo kryłem się po szyję w błocie... Marzyłem, ale nie sądziłem, że do niego dojdzie. Och, bogowie Piekieł, jakże tego pragnąłem!

Wojownik z trudem powstrzymał wybuch straszliwego śmiechu. Spazmatycznie zacisnął szczęki i piana pojawiła się na jego poczerniałych wargach.

— Nie podchodź! — ostrzegł Szach Amurat, patrząc nań zwięzonymi oczyma.

— Ha! — warknął barbarzyńca jak wygłodniały wilk. — Szach Amurat, wielki pan Akif!

Jak dobrze, że cię widzę, przeklęty — ciebie, który zostawiłeś moich towarzyszy na żer sępom, który rozrywałeś ich końmi, wyłupiałeś oczy i ucinałeś ręce! Pies, nędzny pies! Ostatnie słowa niemal wyrzeszczał i jeszcze nim skończył, rzucił się na Turańczyka. Mimo przerażenia, jakie budził w niej okropny wygląd nieznajomego, Oliwia patrzyła z zapartym tchem, spodziewając się, że walka rozstrzygnie się przy pierwszym starciu. Szaleniec czy dzikus, cóż mógł zdziałać, nagi, przeciw

okrytemu kolczugą wodzowi z Akif?

Ostrza błysnęły i związały się na moment; wydawało się, że ledwie się dotknęły i odskoczyły od siebie; później szeroki miecz ominął zastawę przeciwnika i ze straszliwą siłą spadł na jego bark. Oliwia wydała mimowolny okrzyk. Przez chrzęst pękającej zbroi wyraźnie usłyszała trzask rozcinanych kości. Hyrkańczyk zatoczył się z nagle poszarzałą twarzą i krew trysnęła mu przez ogniwa kolczugi. Szabla wypadła mu z pozbawionych czucia palców.

— Łaski! — jęknął.

— Łaski? — wykrzyknął tamten głosem drżącym z wściekłości.
— Tyle łaski, ile ty miałeś dla nas, wieprzu!

Oliwia zamknęła oczy. To już nie była walka, lecz krwawe jatki, historyczny wybuch wściekłości i nienawiści spotęgowanej grozą bitwy, widokiem masakry i tortur, głodem, pragnieniem i rozpaczą. Oliwia wiedziała, że Szach Amurat nie zasłużył na litość, ale zamknęła oczy i zatkała uszy rękami, żeby nie widzieć unoszącego się i opadającego ostrza, nie słyszeć odgłosu ciosów i krzyków, które cichły z wolna, aż wreszcie ustały.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że nieznajomy odchodzi od okrwawionych szczątków słabo przypominających ludzką istotę. Pierś mężczyzny unosiła się w ciężkim oddechu wywołanym wysiłkiem i wzburzeniem; na jego czole perlił się pot, a prawa ręka ociekała krwią.

Nie odezwał się do Oliwii; nawet na nią nie spojrział. Zobaczyła, jak wchodzi między trzciny rosnące na brzegu, pochyla się i sięga po coś. Z szuwarów wysunęła się ukryta tam łódź. Dziewczyna pojęła zamiary nieznajomego i zerwała się na równe nogi.

— Och, zaczekaj! — jęknęła i chwiejnie podbiegła do

mężczyzny. — Nie zostawiaj mnie tu! Weź mnie ze sobą!

Określił się na pięcie i spojrzał na Oliwię. W jego twarzy zaszła zmiana. Z nabiegłych krwią oczu zniknął opar szaleństwa. Wydawało się, że krew, którą właśnie przelał, ugasiła pożar jego zmysłów.

— Kim jesteś? — spytał.

— Mam na imię Oliwia. Byłam jego niewolnicą. Uciekłam. Ścigał mnie. To dlatego tu przybył. Jego wojownicy są niedaleko. Znajdą trupa... i mnie przy nim... och! — jęknęła z przerażenia i załamane ręce.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

— Wolisz popłynąć ze mną? — zapytał. — Jestem barbarzyńcą i widzę, że się mnie boisz.

— Tak, boję się — odparła, zbyt zaskoczona, żeby zaprzeczać. — Patrząc na ciebie, dostaję gęsiej skórki. Jednak bardziej obawiam się Hyrkańczyków. Och, pozwól mi płynąć z tobą! Jeżeli znajdą mnie obok zwłok Amurata, wezmą mnie na tortury!

— Zatem chodź.

Odsunął się na bok i Oliwia szybko wsiadła do łódki, usilnie starając się nawet o niego nie otrzeć. Usadowiła się na dziobie. Nieznajomy wszedł do łodzi, odepchnął się od brzegu wiosłem i posługując się nim jak pagajem, mozolnie torował sobie drogę wśród wysokich trzciny, aż wypłynął na otwartą wodę. Wtedy zaczął wiosłować oboma wiosłami. Długimi, równymi pociągnięciami popychał łódź naprzód; potężne mięśnie jego barów i ramion napinały się i rozluźniały rytmicznie.

Przez jakiś czas panowało milczenie; dziewczyna kulila się na dziobie, mężczyzna wiosłował. Obserwowała go z lękliwą fascynacją. Nie ulegało wątpliwości, że nie był Hyrkańczykiem. Nie przypominał też przedstawiciela żadnej ze znanych jej

hyboryjskich ras.

Miał w sobie jakąś nieuchwytną dzikość, zdradzającą barbarzyńskie pochodzenie. Mimo śladów, jakie pozostawiły na jego twarzy trudy bitwy i ucieczki przez bagna, jego rysy wciąż wyrażały chłodny, posępny upór; nie była to twarz złoczyńcy czy degenerata.

— Kim jesteś? — spytała. — Szach Amurat nazwał cię kozakiem. Należałeś do nich?

— Jestem Conan z Cymerii — mruknął. — Byłem jednym z kozaków, jak nazywają nas te hyrkańskie psy.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że jego ojczyzna leży gdzieś daleko na północy, za najdalej wysuniętymi przyczółkami cywilizacji.

— Ja jestem córką króla Ophiru — powiedziała. — Ojciec sprzedał mnie shemickiemu wodzowi, ponieważ nie chciałam poślubić księcia Koth.

Cymeryjczyk mruknął coś ze zdziwieniem i wargi dziewczyny skrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

— Tak, cywilizowani ludzie czasem sprzedają swoje dzieci dzikusom. Twój lud nazywają barbarzyńcami, Cymeryjczyku...

— My nie sprzedajemy naszych dzieci — warknął, wysuwając podbródek.

— No, mnie sprzedano. Jednak wódz nomadów nie uczynił mi krzywdy. Chciał zaskarbić sobie łaski Szacha Amurata. Byłam jednym z darów, jakie przywiózł mu do Akif — miasta purpurowych ogrodów. Potem... — zadrżała i ukryła twarz w dłoniach.

— Powinnam już zapomnieć, co to wstyd — powiedziała w końcu. — A jednak każde wspomnienie pali mnie jak cios bata. Przebywałam w pałacu Szacha Amurata, kiedy kilka tygodni

temu wyruszył ze swoją jazdą, aby walczyć z bandą najeźdźców, którzy naruszyli granice Turanu. Wczoraj wrócił jako zwycięzca i urządzono na jego cześć wielką fetę. Wśród ogólnego pijaństwa i zamieszania znalazłam sposobność, by wydostać się z miasta na skradzionym koniu. Chciałam uciec, ale on ruszył w pościg i w końcu mnie dogonił.

Zostawiłam w tyle jego ludzi, ale jemu nie zdołałam ujść. Potem ty się zjawieś.

— Leżałem ukryty w trzcinach — mruknął barbarzyńca. — Byłem jednym z tych rozpuszczonych obwiesiów, Wolnych Towarzyszy, którzy palili i plądrowali pogranicze.

Było nas pięć tysięcy, mieszanina wielu ras i szczepów. Służyliśmy jako najemnicy zbuntowanemu księciu Wschodniego Koth — przynajmniej większość z nas — i kiedy zawarł pokój ze swym parszywym władcą, zostaliśmy bez pracy. Zaczęliśmy grabić nadgraniczne prowincje Koth, Zamory i Turanu — po równi. Tydzień temu Szach Amurat ze swymi piętnastoma tysiącami jazdy wciągnął nas w pułapkę nad rzeką Ilbars. Mitro! Niebo było czarne od sępów. Kiedy po całym dniu walki nasze szyki pękły, jedni próbowali przedrzeć się na — północ, inni na zachód. Wątpię, by ktokolwiek uszedł. Ja ruszyłem na wschód i w końcu dotarłem do bagien otaczających tu Morze Vilayet. Od tego czasu kryłem się na mokradłach. Dopiero przedwczoraj jezdni przestali przetrząsać szuwary w poszukiwaniu takich maruderów jak ja. Czołgałem się, kryłem i przemykałem jak wąż, żywiąc się złapanymi piźmowcami, które z konieczności zjadałem na surowo. Dziś rano znalazłem tę łódź ukrytą wśród szuwarów. Przed zmrokiem nie miałem zamiaru wypływać na morze, ale kiedy spotkałem Szacha Amurata, wiedziałem, że jego zbrojni są niedaleko.

— I co teraz?

— Niewątpliwie będą nas ścigać. Jeżeli nie znajdą śladów pozostawionych przez łódź, które zatarłem jak mogłem, to i tak domyśla się, że wypłynęliśmy na morze, kiedy nie uda im się nas znaleźć w trzcinach. Jednak zostawiliśmy ich w tyle i zamierzam wiosłować bez przerwy, aż dotrzemy w bezpieczne miejsce.

— Tylko gdzie je znajdziemy? — spytała bezradnie. — Vilayet to hyrkański staw.

— Nie wszyscy tak uważają — ponuro uśmiechnął się Cymeryjczyk. — A szczególnie niewolnicy, którzy zbiegli z galer i zostali piratami.

— Co zrobimy?

— Południowo-zachodni brzeg jest na przestrzeni setek mil opanowany przez Hyrkańczyków. Musimy przebyć długą drogę, zanim minimy ich najdalej wysunięte posterunki. Zamierzam płynąć na północ, aż do chwili, gdy je minimy; wtedy skierujemy się na zachód i spróbujemy wylądować na brzegu niezamieszkałego stepu.

— A jeżeli napotkamy piratów albo sztorm? — spytała Oliwia. — A na stepach możemy umrzeć z głodu...

— No — przypomniał jej — wcale nie prosiłem, żebyś ze mną płynęła.

— Przepraszam — pochyliła kształną, ciemną główkę. — Piraci, sztormy, głód — wszystko to lepsze niż Turańczycy.

— Tak — jego smagła twarz zachmurzyła się. — Jeszcze z nimi nie skończyłem. Odpręż się, dziewczyno. O tej porze roku sztormy na Vilayet są niezwykle rzadkie. Jeżeli dotrzemy do stepów, nie zginiemy z głodu. Wyrosłem w takiej nagiej ziemi. Te przekłete bagna ze swym smrodem i komarami prawie mnie wykończyły. Na wyżynach dam sobie radę. A jeżeli chodzi o

piratów... — uśmiechnął się dziwnie i znów pochylił się nad wiosłami.

Słońce zachodziło jak matowo błyszczący miedziak wpadający w jezioro ognia. Błękit morza stopił się z błękitem nieba, tworząc miękki, czarny aksamit usiany gwiazdami i ich lustrzanymi odbiciami. Wyciągnięta na dziobie łodzi Oliwia pogrążyła się w sennych marzeniach. Łódź kołysała się lekko na wodzie i dziewczyna miała wrażenie, że płynie w powietrzu, a gwiazdy świecą zarówno nad nią, jak i pod nią. Jej milczący towarzysz był niemal niewidoczny w ciemnościach. Ani na chwilę nie zwalniał tempa wiosłowania; wiózł ją niczym mityczny przewoźnik przez czarne jezioro Śmierci. Ale strach opuścił dziewczynę i ukołysana monotonnym ruchem zapadła w sen.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy obudziła się, czując skręcający wnętrzości głód. Przebudził ją nagły brak ruchu. Conan przestał wiosłować i opierając się na wiosłach, patrzył gdzieś w dal. Oliwia zdała sobie sprawę, że musiał wiosłować przez całą noc bez przerwy i podziwiała jego żelazną wytrzymałość. Obróciła głowę i patrząc za jego spojrzeniem, ujrzała zieloną ścianę drzew i krzewów wznoszącą się na skraju wody i szerokim łukiem otaczającą małą zatokę o wodzie gładkiej jak błękitne szkło.

— To jedna z wielu wysp, jakimi jest usiane to morze — rzekł Cymeryjczyk. — Podobno są niezamieszkałe. Słyszałem, że Hyrkańczycy rzadko je odwiedzają. Ponadto ich galery zwykle trzymają się przy brzegu, a my przebyliśmy już długą drogę. Przed świtem powinniśmy schować się w trzcinach.

Kilkoma uderzeniami wiosła skierował łódź do brzegu i przycumował ją do sterczącego kamienia, który leżał tuż przy linii wody. Wszedłszy na brzeg wyciągnął rękę, aby pomóc

Oliwii. Przyjęła podaną dłoń, drżąc na widok zaschniętej na niej krwi, czując potworną siłę drżącą w mięśniach barbarzyńcy.

W otaczającym zatoczkę lesie panowała senna cisza. Gdzieś daleko wśród drzew jakiś ptak zanucił swoją poranną pieśń. Lekki wiatr poruszył liście, wprawiając je w drzenie. Oliwia stwierdziła, że bacznie nasłuchuje, choć nie wiedziała czego. Co mogła kryć ta nieprzebyta gęstwina?

Zerkając lekliwie w cień między drzewami zobaczyła coś, co śmignęło w powietrzu z cichym łopotem skrzydeł; wielka papuga usiadła na liściastej gałęzi i kołysała się na niej niczym barwna figurka z nefrytu i purpury. Przechyliła na bok zwieńczony pióropuszem łeb i spoglądała na przybyszów błyszczącymi paciorkami czarnych oczu.

— Na Kroma! — mruknął Cymeryjczyk. — To chyba prababka wszystkich papug. Ma chyba z tysiąc lat! Spójrz, jak mądrze wygląda. Jakich strzeżesz tajemnic, Chytra Wiedźmo?

Ptak rozłożył nagle kolorowe skrzydła i uniósłszy się na gałęzi wrzasnął ochryple:

— Yagkoolan yok tha, xuthalla!

I zakończywszy to wybuchem przeraźliwie ludzkiego śmiechu, pomknął między drzewa i zniknął w głębokich ciemnościach.

Oliwia spojrzała w ślad za papugą, czując przebiegający po plecach zimny dreszcz niepokojącego przeczucia.

— Co powiedziała?

— Przysięgłbym, że to jakieś słowa — odparł Conan — ale nie mam pojęcia w jakim języku.

— Ja też nie — rzekła dziewczyna. — A jednak ptak musiał je usłyszeć z ludzkich ust.

Ludzkich lub... — zerknęła na leśną gęstwinę i wzdrygnęła się, nie wiedząc dlaczego.

— Na Kroma, jestem głodny! — mruknął Conan. — Mógłbym zjeść bawołu. Poszukamy jakichś owoców, jednak najpierw mam zamiar obmyć się z błota i zaschniętej krwi. Ucieczka przez bagna to niezbyt czyste zajęcie.

To rzekłszy odłożył miecz i zanurzając się po szyję w wodzie, rozpoczął ablucje. Kiedy się wynurzył, jego zbrązowiałe od słońca ciało lśniło jak polerowany brąz; grzywa czarnych, długich włosów opadała mu na ramiona. Błękitne oczy, chociaż wciąż jarzyły się ogniem, nie były już tak ponure i nabieg — ła krwią. Tylko kocia zwinność jego ruchów i posepny wyraz twarzy pozostały bez zmian.

Przypasawszy z powrotem miecz gestem nakazał dziewczynie, aby szła za nim. Razem weszli między drzewa. Szli pod łukami konarów, po wyściełającej ziemię, miękkiej murawie. Zwisające z drzew pnącza nadawały otoczeniu baśniowy wygląd.

Conan mruknął coś z zadowoleniem na widok złotych i rdzawych kul gęsto wiszących wśród listowia. Pokazawszy dziewczynie, by usiadła na zwałonym pniu, szybko napełnił jej podolek egzotycznymi owocami i sam też z apetytem zabrał się do jedzenia.

— Na Isztar! — rzekł między jednym a drugim kęsem. — Od Ilbars żywiłem się szczurami i korzeniami wykopanymi z cuchnących bagien. Te owoce są chociaż smaczne, mimo że niezbyt sycące. Jednak wystarczą nam, jeżeli zjemy wystarczająco dużo.

Oliwia była zbyt zajęta, by odpowiedzieć. Kiedy Cymeryj — czyk nasycił pierwszy głód, zaczął z większym niż do tej pory zainteresowaniem spoglądać na swoją towarzyszkę, podziwiając gęste pukle kruczoczarnych włosów, brzoskwiniową cerę i pełne kształty podkreślone przez kusą tunikę.

Skończywszy posiłek obiekt jego badań podniósł wzrok, a napotkawszy pałace, baczne spojrzenie barbarzyńcy zaczerwienił się raptownie i wypuścił z ręki na pół ogryziony owoc.

Conan bez komentarza pokazał dziewczynie gestem, że muszą iść dalej. Oliwia podniosła się i wyszła za nim na polankę, której odległy koniec porastały gęste zarośla. Kiedy znaleźli się na otwartej przestrzeni, w krzakach rozległ się głośny trzask i Conan ledwie zdążył odskoczyć, pociągając za sobą dziewczynę, gdy coś śmignęło w powietrzu i z potworną siłą uderzyło w pień pobliskiego drzewa.

Błyskawicznie wyrwawszy miecz z pochwy Cymeryjczyk przebiegł polankę i wpadł w zarośla. Zapadła cisza. Przerazona i oszołomiona Oliwia kuliła się w trawie. Po chwili Conan wyłonił się z krzaków z groźnie zmarszczonymi brwiami i zdziwieniem na twarzy.

— Nikogo tam nie ma — burknął. — A jednak ktoś musiał rzucić ten kamień.

Obejrzał pocisk, który przeleciał mu nad głową, i mruknął coś z niedowierzaniem. Wielki blok zielonego kamienia strzaskał pień drzewa i upadł na murawę.

— Dziwny kamień jak na taką niezamieszkaną wyspę — rzekł.

Oliwia szybko otworzyła oczy ze zdziwienia. Głaz był symetrycznie ociosany, niewątpliwie wycięty i obrobiony ludzką ręką i zdumiewająco ciężki. Cymeryjczyk chwycił go oburącz, po czym stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach i naprężywszy mięśnie barków i ramion, podniósł nad głowę i cisnął z całej siły. Głaz upadł zaledwie kilka kroków dalej i Conan zaklął.

— Żaden człowiek nie zdołałby przerzucić tego głazu przez

polankę. Potrzebowałyby chyba maszyny oblężniczej, a przecież nie ma tu balist ani katapult.

— Może wypuszczono go z takiej maszyny stojącej gdzieś dalej? — poddała myśl Oliwia.

Potrząsnął głową.

— Głaz nie spadł z góry. Rzucono go z tamtych zarośli. Widzisz te połamane gałązki?

Ktoś rzucił tym głazem jak dziecko kamieniem. Tylko kto? Chodźmy stąd!

Dziewczyna niechętnie poszła za nim. Za pierwszym rzędem krzaków poszycie było mniej gęste. Wszędzie panowała głucha cisza. Na sprężystej murawie nie pozostał żaden ślad. A jednak to stąd jakaś tajemnicza istota cisnęła głazem, bez słowa i ze straszliwą siłą. Conan pochylił się nad murawą, szukając śladów, które zdradziłyby, kto tu stał i zniknął po nieudanym ataku. Cymeryjczyk podniósł głowę i spojrzał na zielone sklepienie liści i splecionych ze sobą gałązek. Nagle barbarzyńca drgnął, wyprostował się i nie odrywając oczu od zielonej gęstwiny, zaczął się cofać, popychając stojącą za nim Oliwię.

— Chodźmy stąd, szybko! — ponaglał ją szeptem.

— Co to takiego? Co zobaczyłeś?

— Nic — odparł cicho, nie przestając rozglądać się czujnie.

— Powiedz mi, co to było? Kto krył się w tych krzakach?

— Śmierć! — odparł, wpatrując się w półmrok zasłaniających niebo nefrytowych arkad.

Kiedy wydostali się z zarośli, barbarzyńca złapał dziewczynę za rękę i szybko poprowadził między rzadziejnymi drzewami, aż wspięli się na trawiaste, słabo porośnięte zbocze i znaleźli się na niskim płaskowyżu, gdzie trawa była wysoka, a drzewa nieliczne i karłowate.

Na środku płaskowyżu wznosiła się długa, szeroka budowla z rozsypujących się, zielonych bloków kamienia.

Spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Żadne legendy nie wspominały o istnieniu takiej budowli na którejś z wysp Morza Vilayet. Podeszli ostrożnie, spoglądając na mech i porosty pokrywające kamienie, na zapadnięty, ziejący czernią dach. Wszędzie leżały kawałki i okruchy kamiennych bloków, na pół ukryte w falującej trawie, sprawiające wrażenie, że kiedyś wznosiło się tu wiele budynków, może nawet całe miasto. Jednak teraz na płaskowyżu ostała się tylko bryła długiego budynku o chwiejących się ścianach oplecionych pnączami winorośli.

Jeżeli kiedyś w portalu były drzwi, to musiały dawno już spróchnieć. Conan i jego towarzyszka stanęli w szerokim hallu i zajrzeli do środka. Słoneczny blask sączył się przez dziury w ścianach i dachu, wypełniając mroczne wnętrza grą światła i cieni. Mocno ściskając miecz, Conan kocim krokiem wszedł do środka, bacznie rozglądając się na boki. Oliwia podreptała za nim.

Znalazłszy się w środku Conan mruknął coś pod nosem, a Oliwia wydała zduszony okrzyk zdziwienia:

— Patrz! och, patrz!

— Widzę — odparł. — Nie ma się czego bać. To posągi.

— Wyglądają jak żywe... i są takie okropne! — szepnęła, przysuwając się do barbarzyńcy.

Byli w ogromnej sali, której gładka posadzka zasłana była grubym dywanem kurzu i kawałkami osypujących się z sufitu kamieni. Wyrastająca spomiędzy głazów winoroślzaślaniała gęstą kurtyną otwory w ścianach. Wyniosłe sklepienie, płaskie i pozbawione ozdób, podpierały grube kolumny ciągnące się rzędami wzdłuż ścian. I wszędzie wokół stały dziwne posągi.

Były to żelazne figury, czarne i lśniące, jakby ustawicznie odkurzone, przedstawiające szczupłych, lecz silnie zbudowanych mężczyzn o orlich, okrutnych twarzach. Posągi były naturalnej wielkości. Każdą wypukłość, wklęsnięcie, mięsień czy ścięgno oddano z niezwykłym realizmem. Jednak najbardziej ożywioną częścią każdego z nich była dumna, nieugięta twarz. Różniły się od siebie. Każda twarz miała swoje indywidualne cechy, chociaż wszystkie łączyło pewne podobieństwo. Trudno było jednak mówić o jednostajności.

— One wydają się słuchać... i czekać! — szepnęła niespokojnie dziewczyna.

Conan postukał ręką o rękojeść miecza w jeden z posągów.

— Żelazo — stwierdził. — Na Kroma! Z jakich form je odlano!

Potrząsnął głową z podziwem i wzruszył ramionami. Oliwia nieśmiało rozejrzała się po wielkiej, cichej sali. Dostrzegła tylko porośnięte bluszczem kamienie, oplecione winoroślą filary i ponuro spoglądające na nią posągi. Zadrżała i zapragnęła się jak najdalej stąd, lecz jej towarzysza najwyraźniej zafascynowały żelazne figury: przyglądał im się niezwykle dokładnie i — jak typowy barbarzyńca — próbował odłamać jednej z nich ramię. Jednak metal oparł się wszystkim jego wysiłkom. Nie zdołał uszkodzić posągu ani wypchnąć go z niszy, w której stał. W końcu zrezygnował, klnąc z podziwem.

— Cóż to za wojowników przedstawiają te posągi? — rzucił w przestrzeń pytanie. — Są czarni, ale zupełnie niepodobni do Murzynów. Nigdy nie widziałem takich ludzi.

— Chodźmy stąd — nalegała Oliwia i barbarzyńca przystał na to, obrzuciwszy jeszcze raz zdziwionym spojrzeniem stojące pod ścianami postacie.

Wyszli z mrocznej sali na jasne światło dnia. Oliwia ze

zdumieniem stwierdziła, że słońce stało już wysoko na niebie; spędzili w ruinach więcej czasu, niż sądziła.

— Wracajmy do łodzi — zaproponowała. — Boję się. To dziwne, niesamowite miejsce. W każdej chwili może nas znowu zaatakować to coś, co cisnęło w nas kamieniem.

— Myślę, że jesteśmy tu bezpieczni tak długo, jak długo nie wejdziemy między drzewa — odparł. — Chodź!

Od wschodu, zachodu i południa płaskowyż wznosił się nad porastającą brzeg dżunglą; na północy był zamknięty skałami tworzącymi najwyższy punkt wyspy. Tam właśnie skierował się Conan, umyślnie zwalniając kroku, aby dziewczyna mogła nadążyć. Spozrzegła, że od czasu do czasu obrzucał ją nieprzeniknionym spojrzeniem. Dotarli do najdalej na północ wysuniętego krańca płaskowyżu i stanęli przed stromą, skalną ścianą. Od wschodu i zachodu drzewa niemal wchodziły na płaskowyż, gęsto porastając stok. Conan spojrzał na nie podejrzliwie i zaczął piąć się w górę, pomagając towarzysze. Zbocze było dość pochyłe i w dodatku usiane głazami, ale Cymeryjczyk i tak wspiąłby się na nie jak kot, gdyby nie Oliwia, dla której nie było to takie łatwe. Raz po raz dziewczyna czuła, że silne ręce barbarzyńcy przenoszą ją nad przeszkodą, której przybycie pochłonęłyby jej wszystkie siły i z coraz większym podziwem patrzyła na towarzysza. Jego dotknięcie już nie napawało jej wstrętem; żelazny chwyt dawał poczucie bezpieczeństwa.

W końcu znaleźli się na samej górze. Wiejący od morza wietrzyk rozwiał im włosy. U ich stóp grań opadała stu lub stu pięćdziesięciometrową przepaścią ku wąskiemu pasmu rosnących na brzegu drzew. Patrząc na południe, ujrzeli całą wyspę rozpościerającą się niczym wielkie, owalne lustro o

skośnie ściętych krawędziach opadających ku pierścieniowi zieleni. Jak okiem sięgnąć ze wszystkich stron otaczały ich błękitne wody, spokojne i łagodne, niknące w mglistej dali.

— Morze jest spokojne — westchnęła Oliwia. — Czemu nie mielibyśmy popłynąć dalej?

Conan, stojący nad urwiskiem niczym posąg z brązu, wskazał palcem na północ.

Wyteżywszy wzrok, Oliwia dostrzegła biały obłoczek, który zdawał się wisieć nieruchomo w bladej mgiele.

— Co to?

— Żagiel.

— Hyrkańczycy?

— Kto to wie? Z tej odległości trudno powiedzieć.

— Rzucą tu kotwicę? Przeszukają wyspę! — krzyknęła w przypływie przerażenia.

— Wątpię. Płyną z północy, więc nie mogą nic o nas wiedzieć. Być może zatrzymają się tu z jakiegoś powodu i będziemy musieli się ukryć najlepiej, jak umiemy. Jednak myślę, że to piracka lub hyrkańska galera powracająca z wyprawy. W takim wypadku raczej się tu nie zatrzymają. Nie możemy wypłynąć w morze, dopóki nie znikną nam z oczu, bo przypływają z tego kierunku, w jakim my zamierzamy się udać. Z pewnością miną wyspę w nocy i o świcie będziemy mogli wyruszyć w drogę.

— A więc mamy tu spędzić noc? — powiedziała z trwogą.

— Tak będzie bezpieczniej.

— Zatem śpijmy tu, wśród skał — nalegała.

Potrząsnął głową, patrząc na karłowate drzewka i rozciągający się w dole gąszcz zieleni, zdającej się wyciągać liściaste macki ku urwistemu zbocz.

— Tu jest zbyt wiele drzew. Będziemy spać w ruinach.

Dziewczyna wydała okrzyk protestu.

— Nikt nas tam nie będzie niepokoił — uspokajał ją Conan. — Ktokolwiek rzucił w nas tym głazem, nie poszedł za nami, kiedy wyszliśmy z lasu. Nie zauważyłem żadnych śladów, które by świadczyły, że w ruinach kryją się jakieś dzikie bestie. Ponadto masz delikatną skórę i jesteś przyzwyczajona spać pod dachem, wśród wygod. Ja mógłbym równie dobrze spać nago na śniegu, ale ty rozchorowałabyś się od zimna, gdybyś musiała spędzić noc pod gołym niebem.

Oliwia przystała na to niechętnie. W milczeniu zeszli na dół, przeszli przez płaskowyż i znów zbliżyli się do ponurych, stoczonych przez czas ruin. Słońce niknęło już za krawędzią płaskowyżu. Na pobliskich drzewach znaleźli owoce, które stały się ich posiłkiem, służąc za jedzenie i picie.

Południowa noc zapadła bardzo szybko, wypełniając granatowe niebo białymi gwiazdami. Conan wszedł w ruiny, ciągnąc za sobą niechętnie idącą dziewczynę. Oliwia drżała, patrząc na czarne sylwetki stojące nieruchomo między kolumnami. W ciemnościach ledwie rozjaśnianych nikłym blaskiem gwiazd nie mogła dostrzec ich twarzy, jednak wyczuwała ich oczekiwanie — oczekiwanie trwające od niezliczonych stuleci.

Conan przyniósł wielkie naręcze liściastych gałęzi. Rzucił je na stos, tworząc wygodne posłanie dla Oliwii. Położyła się na nim z uczuciem, że kładzie się na spoczynek w kłębowisku zmij.

Cymeryjczyk nie podzielał jej obaw. Siadł obok, opierając się plecami o filar i kładąc na kolanach obnażony miecz. Oczy barbarzyńcy błyszcząły w mroku jak tygrysie ślepia.

— Śpij, dziewczyno — rzekł. — Ja śpię czujnie jak wilk. Nikt nie zdoła tu wejść tak, żeby mnie nie obudzić.

Oliwia nie odpowiedziała. Ze swego posłania obserwowała ukradkiem nieruchomą postać towarzysza, niewyraźnie mającego w mroku.

Jakie to dziwne — podróżować z barbarzyńcą, być pod opieką i ochroną jednego z tych ludzi, którymi straszono ją w dzieciństwie! Należał do dzikiego ludu, posępnego i tajemniczego. Każdy jego ruch zdradzał pokrewieństwo z dziczą; w posępnych oczach tlił się płomyk szaleństwa. A jednak nie zrobił jej krzywdy, podczas gdy jej najgorszym cięieżcą okazał się człowiek powszechnie uważany za cywilizowanego. Ogarnęło ją rozkoszne znużenie; wyciągnęła się wygodnie i zapadając w miękką otchłań snu, pomyślała jeszcze o silnych dłoniach Cymeryjczyka obejmujących jej smukłe ramiona.

2

Oliwia spała. We śnie czuła czające się wokół zło, pełnące bezszelestnie niczym żmija wśród różnych krzewów. Strzępy snu składały się w jakąś dziwną, egzotyczną całość, aż wreszcie wykryształizowały się w przerażającą scenę rozgrywającą się wśród cyklopowych murów i kolumn.

Ujrzała wielką salę, której wyniosły strop podtrzymywały rzędy kamiennych kolumn ciągnących się równymi szeregami wzdłuż ścian. Wśród tych kolumn z trzepotem przelatywały szkarłatnozielone papugi i tłoczyli się czarnoskórzy wojownicy o orlich rysach.

Nie byli Murzynami; ich twarze, szaty czy broń nie przypominały niczego spotykanego na tym świecie. Cisnęli się wokół kogoś przywiązanego do filara; szczupłego młodzieńca o jasnej skórze i z chmurą złotych loków spadających na alabastrowe czoło. Jego uroda także nie była urodą człowieka — przypominał raczej wyrzeźbionego w marmurze i ożywionego boga.

Czarni wojownicy drwili i szydzili z niego w swym dziwnym języku. Jego gibkie, nagie ciało prężyło się pod okrutnymi ciosami. Krew ciekła po białych udach i pryskała na gładką posadzkę. Sala rozbrzmiewała krzykami ofiary; nagle złotowłose podniósł głowę ku niebu i krzyknął coś przeraźliwie. Cios sztyletu zamknął mu usta; jasna głowa opadła na piersi.

Jakby w odpowiedzi na ten rozpaczliwy okrzyk rozległ się

grzmot kół niebiańskiego rydwanu i przed mordercami zmaterializowała się nowa postać. Przybysz był mężczyzną, jednak jego twarz była tak nieludzko piękna, że nie mogła należeć do śmiertelnika. Jego rysy zdradzały wyraźne podobieństwo do twarzy młodzieńca, który bez życia wisiał w więzach, jednak brakowało im odrobiny człowieczeństwa łagodzącej nieruchome piękno boskiego oblicza. Czarni cofnęli się przed nim ze zgrozą. Przybysz podniósł dłoń i przemówił; głęboki, melodyjny głos odbił się echem wśród milczących kolumn. Czarni wojownicy cofali się przed nim jak w transie, aż stanęli w równych szeregach pod ścianami. Wtedy z ust mściciela wydobył się straszliwy przyśpiew i rozkaz:

— Yagkoolan yok tha, xuthalla!

Pod uderzeniem tego okropnego zaklęcia czarne postacie zeszytniały i zastygły. Ich ciała zamarły w dziwnych pozach i skamieniały. Przybysz chwycił bezwładne ciało młodzieńca i natychmiast pętające je łańcuchy pękły z trzaskiem. Odszedł trzymając ciało w ramionach, lecz przedtem odwrócił się jeszcze raz. Obrzuciwszy spojrzeniem rzędy nieruchomych, czarnych figur, wskazał palcem błyszczący na niebie księżyc. A milczące, hebanowe posągi, które przed chwilą były żywymi ludźmi, zrozumiały...

Oliwia zbudziła się zlaną zimnym potem i uniosła się na swoim posłaniu z gałęzi. Serce waliło jej jak młotem. Niespokojnie rozejrzała się wokół. Conan spał pod swoim filarem z głową opuszczoną na piersi. Przez dziury w ścianach i suficie sączył się srebrzysty blask księżyca; długie strzały jasnych promieni ślizgały się po zakurzonej posadzce. Dziewczyna widziała niewyraźne sylwetki posągów — czarnych, czekających w bezruchu. Walcząc z ogarniającym ją przerażeniem, ujrzała, że

blade światło sięga kolumn i stojących między nimi posągów.

Ale co to? Dostrzegła jakiś ruch w miejscu, gdzie padły promienie księżyca. Zesztywniała ze zgrozy, dojrzała oznaki życia tam, gdzie powinna być tylko martwota kamienia; lekkie drżenie, kurczenie się i prostowanie hebanowych kończyn... Oliwia krzyknęła przeraźliwie, budząc śpiącego barbarzyńcę. Conan zerwał się na równe nogi, błyskając wzniesionym do ciosu mieczem.

— Posągi! Posągi! O mój Boże, one ożyły! — wybełkotała dziewczyna i skoczywszy do wyrwy w ścianie przedarła się przez zarastające otwór pnącza i wypadła na zewnątrz. Biegła na oślep przed siebie, dopóki nie zatrzymała jej silna dłoń zaciskająca się na jej ramieniu.

Oliwia wrzasnęła okropnie i zaczęła się rozpaczliwie szamotać, dopóki uspokajający głos barbarzyńcy nie przedarł się przez opary odbierającego zmysły przerażenia. Conan spoglądał na nią z bezgranicznym zdziwieniem.

— Na Kroma, co się z tobą dzieje? Miałaś zły sen?

Jego głos zdał jej się nierzeczywisty i daleki. Ze szlochom zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła doń kurczowo, łkając rozpaczliwie.

— Gdzie oni są? Nie gonią nas? — spytała gorączkowo.

— Nikt nas nie gonił — odparł barbarzyńca. Dziewczyna rozejrzała się lękliwie, nie wypuszczając Conana z objęć. Uciekając na oślep, zapędziła się aż na południowy kraniec płaskowyżu. Nieco dalej zbocze stromo opadało w dół, w gęsty mrok porastającego brzeg lasu. Daleko w tyle wznosiły się ruiny starożytnej budowli, widoczne na tle księżyca jako czarna bryła.

— Nie widziałeś ich? Posągi... one ożyły: ruszały rękami, błyskały oczyma w ciemnościach...

— Niczego nie zauważyłem — odparł niechętnie Cymeryjczyk.
— Spałem mocniej niż zwykle, ponieważ już od dawna nie przespałem całej nocy, ale nie sądzę, żeby ktoś zdołał wejść do środka tak, żeby mnie nie obudzić.

— Nikt nie wszedł — roześmiała się, bliska hysterii. — Oni już tam byli. O Mitro, położyliśmy się tam spać jak owce w wilczej jamie!

— O czym ty mówisz? — spytał Cymeryjczyk. — Zbudził mnie twój krzyk i zanim zdążyłem się rozejrzeć, zobaczyłem, jak wybiegasz na zewnątrz. Pobiegłem za tobą, żebyś sobie nie zrobiła krzywdy. Pomyślałem, że miałaś zły sen.

— Miałam! — odrzekła z drżeniem. — Jednak rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza.

Posłuchaj!

I opowiedziała mu wszystko, co jej się śniło.

Conan słuchał jej z uwagą. Obcy był mu sceptycyzm cywilizowanych ludzi. Jego lud wierzył w upiory, gobliny i czarnoksiężników. Kiedy Oliwia skończyła, przez chwilę siedział w zadumie, bawiąc się swoim mieczem.

— Mówisz, że młodzieniec, którego torturowali, był podobny do tego drugiego mężczyzny? — spytał w końcu.

— Jak syn do ojca — odparła i dodała po namyśle: — Gdyby wyobrazić sobie istotę łączącą w sobie cechy człowieka i boga, to otrzymalibyśmy kogoś podobnego do tego młodzieńca. Dawni bogowie czasem łączyli się ze śmiertelnikami; tak głoszą nasze legendy.

— Jacy bogowie?

— Dziś już zapomniani. Kto o nich pamięta? Wrócili w cichą toń jezior, w spokój wnętrza gór, w bezkresne, międzygwiazdne otchłanie. Bogowie przemijają tak samo jak ludzie.

— Jednak jeśli to byli ludzie zamienieni w posągi mocą zaklęcia jakiegoś bóstwa czy demona, to dlaczego ożyli?

— Dzięki czarodziejskiej mocy księżycy — odparła dziewczyna. — On wskazał palcem księżyc; kiedy jego blask pada na posągi, wojownicy odzyskują dawną postać. Przynajmniej tak mi się wydaje.

— Jednak nikt nas nie gonił — mruknął Conan, patrząc w kierunku ruin. — Może to tylko ci się śniło. Mam ochotę wrócić i sprawdzić.

— Och nie, nie! — krzyknęła, obejmując go kurczowo. — Może zaklęcie nie pozwala im opuszczać budowli. Nie wracaj tam! Rozedrą cię na strzępy! Och, Conanie, wracajmy do łodzi i uciekajmy z tej strasznej wyspy! Hyrkańczycy już na pewno popłynęli dalej.

Chodźmy!

Jej rozpaczliwe błagania zrobiły wrażenie na barbarzyńcy. Przesądny lęk walczył w nim o lepsze z ciekawością, każącą sprawdzić słowa dziewczyny. Nie obawiał się żywych wrogów, choćby i w znacznej przewadze liczebnej, ale nadnaturalne zjawiska zawsze budziły w nim nieokreślony lęk, będący dziedzictwem barbarzyńskiej rasy.

Wziął dziewczynę za rękę i zszedł ze stoku. Zagłębił się w gęsty las pełen cichego szelestu liści i szczebiotu niewidocznych ptaków. Pod drzewami zalegał gęsty mrok i Conan starał się trzymać jaśniejszych miejsc. Idąc, nieustannie wodził wokół spojrzeniem, często zerkając w górę, na korony drzew. Szedł szybko, lecz czujnie, tak silnie obejmując talię dziewczyny, że zdawało się jej, iż raczej ją niesie, niż prowadzi. Nie padło ani jedno słowo. Jedynym dźwiękiem był przyspieszony oddech dziewczyny i szmer jej drobnych stóp w wysokiej trawie. Tak

przeszli przez las i wyszli na brzeg morza, lśniącego w promieniach księżyca niczym topione srebro.

— Powinniśmy zabrać trochę owoców — mruknął Cymeryczyk — ale na pewno trafimy na inne wyspy. Równie dobrze możemy odpłynąć teraz; do świtu mamy jeszcze kilka godzin...

Urwał nagle. Cuma wciąż była przywiązana do sterczącego głazu, ale na jej końcu zobaczyli tylko połamane i potrzaskane deski, na pół zanurzone w płytkiej wodzie.

Oliwia wydała zduszony okrzyk. Conan obrócił się na pięcie i przyczajony do skoku jak kot wpatrywał się czujnie w mrok. Nocne ptaki umilkły nagle. Nad lasem zapadła głęboka cisza. Nawet najłżejszy powiew wiatru nie poruszał gałęziami, a jednak gdzieś w pobliżu zaszleściły liście.

Conan chwycił Oliwię w ramiona i pomknął jak błyskawica przez zarośla, ścigany dziwnym szelestem, który zdawał się wciąż przybliżać. Nagle wypadli na oblaną księżycową poświatą przestrzeń. Conan bez wahania wbiegł na stok i na płaskowyż. Tam postawił Oliwię na ziemi i odwróciwszy się spojrzął za siebie, w mrok lasu, który zostawili za sobą. Liście w dole zadrżały, jakby poruszone wiatrem — to wszystko. Z gniewnym pomrukiem

Cymeryczyk potrząsnął swą czarną grzywą. Oliwia tuliła się do niego jak wystraszone dziecko. W jej oczach czaił się śmiertelny lęk.

— Co teraz zrobimy, Conanie? — szepnęła. Spojrzął na ruiny i na las otaczający płaskowyż.

— Pójdziemy między skały — rzekł, stawiając ją na nogi — a jutro zbudujemy tratwę i znów wyruszymy w morze.

— Przecież to nie oni zniszczyli naszą łódź? — spytała

niepewnie dziewczyna.

Conan w milczeniu potrząsnął głową.

Z każdym krokiem przerażenie Oliwii rosło, ale żadna czarna postać nie wyłoniła się z ruin i w końcu dotarli do skał, które ponuro i majestatycznie wznosiły się ku niebu. Conan przystanął tam i po krótkim wahaniu wybrał miejsce osłonięte wielkim głazem i dość odległe od pierwszych większych drzew.

— Połóż się i śpij, jeśli możesz — powiedział. — Ja stanę na straży.

Jednak dziewczyna nie mogła zasnąć; leżała, patrząc na odległe ruiny i czarny skraj lasu, aż gwiazdy zbladły, niebo na wschodzie poszarzało i złoty świt skrzesał barwne iskry w kroplach rosy na trawie. Wtedy podniosła zeszywniałe ciało i wróciła myślą do wydarzeń minionej nocy. W rannym świetle wszystko to zdało jej się tworem wybujałej wyobraźni. Conan podszedł do niej i powiedział coś, co nią wstrząsnęło.

— Tuż przed świtem usłyszałem skrzypienie dulek i plusk wioseł. Jakiś statek rzucił kotwicę w zatoczce, niedaleko stąd... myślę, że to ten, który wczoraj widzieliśmy. Wejdźmy na skały i sprawdźmy to.

Wdrapali się na górę i leżąc na brzuchu wśród głazów, ujrzeli wysoki maszt sterczący nad drzewami, na zachodnim brzegu.

— Sądząc po ożaglowaniu — mruknął Cymeryjczyk — to hyrkańska galera. Zastanawiam się, czy załoga...

Wtem usłyszeli gwar ludzkich głosów; patrząc w kierunku zadrzewionego końca płaskowyżu, dostrzegli barwny tłum wyłaniający się z gęstwiny. Przybysze zatrzymali się najwidoczniej po to, żeby się naradzić. Było przy tym wiele wymachiwania rękami, łapania za broń i głośnych przekleństw. Wreszcie cała banda ruszyła przez płaskowyż w kierunku

budowli. Conan natychmiast zauważył, że przybysze będą musieli przejść obok skał.

— Piraci! — rzekł z ponurym uśmiechem na ustach. — Zdobyli hyrkańska galerę. Chodź tu! Ukryjesz się wśród skał. I nie pokazuj się, dopóki cię nie zawołam — nakazał, posadziwszy dziewczynę wśród głazów na szczycie urwiska. — Mam zamiar pogadać z tymi psami. Jeśli mój plan się powiedzie, wszystko będzie dobrze i odpłyniemy razem z nimi.

Jeżeli mi się nie uda... ukryjesz się tutaj, dopóki nie odpłyną, bo żadne demony nie są tak okrutne jak ci morscy zbóje.

Oswobodziwszy się z jej kurczowego uścisku, szybko zszedł na dół. Lękliwie wyglądając ze swojej kryjówki, Oliwia zobaczyła, że piracka zgraja zbliża się do stóp urwiska. W tejże chwili Conan wyłonił się spomiędzy głazów i stanął przed nimi z obnażonym mieczem w dłoni. Zdumieni piraci wydali groźny okrzyk, po czym stanęli, niepewnie spoglądając na postać, która tak niespodziewanie wyskoczyła zza skał. Załoga galery składała się z blisko siedemdziesięciu ludzi, stanowiących przedziwną zbieraninę wszelkich narodowości:

Kothijczyków, Zamoran, Brythuńczyków, Koryntian, Shemitów. Ich twarze nosiły piętno występku; wielu nosiło ślady katowskiego żelaza. Karbowane uszy i nosy, ziejące pustką oczodoły, kikuty rąk wyraźnie świadczyły o tym, że wielu z nich zaznajomiło się z nim aż za dobrze. Większość z nich była półnaga, ale ta odzież, jaką nosili, zdradzała dawną świetność: szamerowane złotem kubraki, satynowe szarfy, jedwabne spodnie i srebrne napierśniki, choć poszarpane i poplamione smołą, były godne szlachciców. Słońce lśniło na złotych kolczykach i wysadzanych klejnotami rękojeściach sztyletów.

Przed tą cudaczną zgrają stanął gigantyczny Cymeryjczyk,

mierząc ich zuchwałym spojrzeniem jasnych oczu jarzących się w brązowej twarzy, silnie kontrastującej z pobladłymi twarzami piratów.

— Ktoś ty? — ryknęli.

— Conan Cymeryjczyk! — warknął w odpowiedzi. — Jeden z Wolnych Towarzyszy.

Chcę szukać szczęścia wśród Czerwonego Bractwa. Kto wami dowodzi?

— Ja, na Isztar! — ryknął ktoś gromko i na czoło bandy wysunęła się ogromna postać: nagi do pasa olbrzym w jedwabnych pantalonach i z szeroką szarfą opasującą wielkie brzuszysko. Na ogolonej głowie powiewał mu skąpy kosmyk włosów, a wąskie, zaciśnięte usta były okolone długimi, obwisłymi wąsami. Pirat miał na nogach zielone, shemickie ciżmy ze sterczącymi noskami, a w ręku dzierżył długi, prosty miecz.

Conan zmarszczył brwi.

— Na Kroma, to Sergiusz z Khoroski.

— Tak, na Isztar! — huknął gigant, patrząc nań z nienawiścią. — Myślisz, że zapomniałem? Ha! Sergiusz nigdy nie wybacza zniewagi! Teraz powieszę cię za nogi i żywcem obedrę ze skóry. Brać go, chłopcy!

— Tak, spuść swoje psy, grubasie — prychnął Conan z gryzącą pogardą. — Zawsze byłeś tchórzem, ty kothijski kundlu!

— Tchórzem? Ja? — na szerokiej twarzy pojawił się grymas wściekłości. — Broń się, psie z północy! Zaraz wypruję ci flaki!

Piraci natychmiast utworzyli krąg wokół obu przeciwników, dziko wywracając oczyma i szczerząc zęby z radości. Wysoko w górze ukryta między głazami Oliwia patrzyła na to z niepokojem, zaciskając pięści, aż paznokcie wbijały się w jej ciało.

Walka rozpoczęła się bez zbędnych formalności: mimo ogromnej tuszy Sergiusz runął na przeciwnika jak burza. Klnąc wściekle przez zaciśnięte zęby, raz za razem wymierzał straszliwe ciosy. Conan walczył w milczeniu, tylko w zwężonych oczach jarzył mu się złowrogi ogień. Po chwili Kothijczyk przestał kłąć, aby oszczędzić oddech i w ciszy słysząc było jedynie szuranie deptających murawę stóp, szczęk stali i ciężkie sapanie pirata. Miecze błyskały żywym ogniem w promieniach poranka, raz po raz unosząc się i opadając ze świstem. Wydawały się odbijać od siebie i znów ku sobie podążać, jak związane niewidocznymi pętami.

Sergiusz cofał się; tylko nadzwyczajna zręczność ratowała go przed szybkimi jak myśl atakami Cymeryjczyka. Nagle rozległ się głośniejszy szczęk, głuchy stuk i zduszony krzyk...

Piraci wydali przeraźliwy ryk zawodu, gdy miecz Conana przeszył masywne ciało ich przywódcy. Ostrze wyszło między łopatkami Sergiusza i przez moment tkwiło tak, błyszcząc w słońcu; potem barbarzyńca wyrwał je z ciała przeciwnika. Szeroko rozłożywszy ramiona Sergiusz runął na ziemię i legł bez ruchu w rozszerzającej się kałuży krwi. Conan odwrócił się do wytrzeszczających oczy piratów.

— No, psy! — wrzasnął. — Wysłałem waszego wodza do piekła, a co o tym mówi prawo Czerwonego Bractwa?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, kryjący się za plecami innych Brythuńczyk o szczurzej twarzy błyskawicznie posłużył się swoją procą. Kamień śmignął w powietrzu i sięgnął celu; Conan zatoczył się i runął jak dąb pod toporem drwała. Oliwia kurczowo chwyciła się głazu. Świat zawirował jej w oczach; widziała tylko bezwładnie leżącego na murawie Cymeryjczyka i krew sączącą się z jego rozbitej głowy.

Pirat o szczurzej twarzy z okrzykiem triumfu skoczył, by dobić nieprzytomną ofiarę, ale chudy Koryntianin odepchnął go w porę.

— Cóż to, Aratusie, chcesz złamać prawa Bractwa?

— Nie łamię żadnego prawa! — warknął Brythuńczyk.

— Nie? Ty psie, człowiek, którego ogłuszyłeś, jest wedle prawa naszym kapitanem!

— Nic podobnego! — wrzasnął Aratus. — On nie należał do naszej bandy, był obcy. Nie przyjęliśmy go do Bractwa. Zabijając Sergiusza, wcale nie stał się naszym kapitanem, tak jak stałby się nim teraz ten z nas, który zdołałby tego dokonać.

— Jednak chciał do nas przystać — odparł Kothijczyk. — Tak powiedział.

Podniosła się wrzawa; jedni wzięli stronę Aratusa, inni Koryntianina, na którego wołali Ivanos. W powietrzu zaroilo się od wyzwisk i przekleństw, ręce szukały rękojeści sztyletów.

W końcu przez zgiełk przedarł się gromki głos Shemity:

— Po co kłócić się o trupa?

— On żyje — odparł Koryntianin, pochyliwszy się nad ciałem barbarzyńcy. — Kamień ześliznął mu się po czaszce, jest tylko nieprzytomny.

Słyszając to, piraci znów zaczęli się spierać. Aratus nadal chciał dobić rannego, ale Ivanos stanął nad Cymeryjczykiem z mieczem w ręku, broniąc go przed wszystkimi razem i każdym z osobna. Oliwia czuła, że Koryntianin nie tyle przejmuje się losem Conana, ile korzysta z okazji, by przeciwstawić się Aratusowi. Najwidoczniej obaj byli kandydatami na miejsce Sergiusza i nie przepadali za sobą. Po długich debatach postanowiono związać Conana i zabrać go ze sobą, żeby później przez głosowanie zdecydować o jego losie.

Odzyskującego przytomność Cymeryjczyka związane rzemieniami, po czym podniesiono z ziemi i ułożono na ramionach czterech piratów. Banda poszła dalej, zostawiając za sobą trupa Sergiusza; nieruchomy, czarny kształt na skąpanej w słońcu równinie.

Oliwia leżała wśród skał przytłoczona ogromem nieszczęścia. Nie była w stanie niczego przedsięwziąć, niczego zrobić; mogła tylko leżeć i patrzeć z przerażeniem, jak banda złoczyńców uprowadza jej obrońcę.

Nie potrafiła powiedzieć, jak długo tak leżała. Wreszcie zobaczyła, że piraci dotarli do ruin na drugim końcu płaskowyżu i weszli do środka, wlokąc ze sobą jeńca. Widziała, jak kręcą się tu i tam, wyglądają przez okna, rozrzucają sterty gruzu i gramolą się na mury. Po chwili kilku wróciło drogą, którą przyszli; ci zniknęli wśród drzew na zachodnim brzegu, ciągnąc za sobą zwłoki Sergiusza, zapewne po to, aby pochować go w morzu. Inni ścinali drzewa rosnące w pobliżu ruin i znosili chrust na ognisko. Oliwia słyszała ich dalekie, niewyraźne okrzyki i powracające echem głosy tych, którzy weszli do lasu. Niebawem i oni wyłonili się spośród drzew, niosąc beczułki z winem i skórzane sakwy z prowiantem. Przeklinając wściekle i uginając się pod ciężarem, wrócili do kompanów w ruinach.

Oliwia niemal nie zdawała sobie z tego sprawy. Była bliska omdlenia od nadmiaru wrażeń.

Sama i bezbronna dopiero teraz zrozumiała, ile znaczyła dla niej opieka Conana. Poczula przelotne zdumienie na myśl o kaprysie losu, który uczynił córkę króla towarzyszką dzikiego barbarzyńcy, jednak uczucie to zaraz zastąpił wstyd. Zarówno jej ojciec, jak i Szach Amurat byli cywilizowanymi ludźmi, a ileż wyrządzili jej złego! Nigdy nie spotkała cywilizowanego

człowieka, który traktowałby ją uprzejmie bez jakiś ukrytych powodów; tymczasem Cymeryjczyk bronił jej i opiekował się nią — i do tej pory niczego w zamian nie żądał.

Schowawszy twarz w dłoniach Oliwia płakała, dopóki głośne śmiechy i wrzaski nie uświadomiły jej grożącego niebezpieczeństwa.

Obrzuciła spojrzeniem czarne mury, wokół których chwiejnie krążyły ciemne sylwetki, i mroczną ścianę gęstego lasu. Nawet jeżeli wydarzenia minionej nocy były tylko snem, niebezpieczeństwo kryjące się w gęstwinie nie było koszmarnym majakiem. Jeżeli piraci zabiją lub zabiorą ze sobą Conana, będzie musiała wybierać między oddaniem się w ich ręce a pozostaniem na tej okropnej wyspie.

W pełni pojąwszy grozę sytuacji, Oliwia bez zmysłów osunęła się na murawę.

3

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, gdy odzyskała przytomność. Słaby wietrzyk przyniósł jej dzikie wrzaski i strzępy sprośnej piosenki. Podniósłszy się ostrożnie na czworaki, spojrzała na płaskowyż. Ujrzała piratów zgromadzonych wokół wielkiego ogniska przy ruinach i serce podeszło jej do gardła, gdy z wnętrza budowli wyłoniła się kilkusobowa grupka niosąc kogoś, kto musiał być jej towarzyszem podróży. Posadzili Cymeryjczyka pod ścianą — widocznie nadal był mocno związany — i znów zaczęła się długa dysputa połączona z wymachiwaniem bronią. W końcu znów zanieśli go do środka i znowu przypięli się do beczek z trunkiem. Oliwia westchnęła z ulgą: teraz przynajmniej wiedziała, że barbarzyńca jeszcze żyje. Podjęła desperacką decyzję: kiedy zapadnie noc, zakradnie się w ruiny i uwolni go albo sama zostanie złapana. Wiedziała, że jej decyzja nie wynikała z zimnego wyrachowania, lecz czegoś więcej. Z tą myślą opuściła kryjówkę, aby nazrywać trochę orzechów, które rosły tu i ówdzie w pobliżu. Przez cały dzień nic nie jadła. Łapczywie pochłaniając orzechy, z niepokojem uświadomiła sobie, że ktoś ją obserwuje. Nerwowo rozejrzała się wokół, po czym zdjęta trwogą, podczołgała się do północnej krawędzi urwiska i zerknęła na falujące w dole morze zieleni, szybko znikające w zapadającym zmroku. Niczego nie dojrzała; wydawało się niemożliwe, aby ktoś kryjący się w lesie zdołał ją wypatrzeć wśród skał. A jednak wyraźnie czuła na sobie

spojrzenie czyichś oczu obserwujących ją bacznie e gęstwiny.

Chyłkiem wróciła do swej skalnej kryjówki i leżała tam, patrząc na odległe ruiny, aż okrył ją mrok nocy i tylko migotliwy blask ogniska, wokół którego skakały i pląsały chwiejnie czarne sylwetki, pozwalał je zlokalizować w ciemnościach. Nadszedł czas, by spróbować.

Dziewczyna wstała. Najpierw podkradła się do północnej krawędzi płaskowyżu i jeszcze raz spojrzała na las porastający brzeg wyspy. Wytężywszy wzrok, w nikłym świetle gwiazd dojrzała coś, co sprawiło, że zeszywniała nagle i poczuła lodowaty dreszcz strachu przebiegający po plecach.

W dole coś się poruszało. Zdawało się, że z oceanu mroku wynurzył się czarny cień i wolno piał się w górę — niewyraźny i bezkształtny lęk ścisnął ją za gardło i z trudem powstrzymała cisnący się na wargi krzyk. Odwróciła się i pobiegła w przeciwną stronę, na południe.

Ucieczka po najeżonym głazami, stromym i śliskim zboczu była koszmarem. Oliwia potykała się i ślizgała, zeszywniałymi palcami czepiając się poszarpanych skał. Kalecząc dłonie i objając się o ostre głazy, przez które Conan z taką łatwością ją przeniósł, raz jeszcze zdała sobie sprawę, jak jest uzależniona od olbrzymiego Cymeryjczyka. Jednak ta trzeźwa myśl była ledwie błyskiem w chmurze ogarniającego ją przerażenia.

Zdawało jej się, że biegnie tak całe wieki, ale w końcu poczuła pod nogami miękką trawę równiny; nie zwalniając kroku, pomknęła w kierunku ogniska, pulsującego niczym szkarłatne serce nocy. Pędząc, słyszała za sobą grzechot osypujących się po zboczu kamieni i ten dźwięk dodał jej skrzydeł. Obawiała się nawet myśleć, co mogło być jego przyczyną.

Długotrwały wysiłek sprawił, że zapomniała o przerażeniu i

zanim dotarła w pobliże ruin, odzyskała zdolność trzeźwego myślenia, mimo że trzęsa się ze zmęczenia. Opadła na murawę, podczołgała się do jednego z drzewek, które oszczędziły topory piratów, i spojrzała na obóz. Piraci skończyli już wieczerzę, ale nadal pili wino, czerpiąc je z otwartych beczulek cynowymi kubkami lub wysadzanych klejnotami pucharami. Niektórzy już chrapali na trawie zmorzeni pijackim snem, inni chwiejnie krążyli wokół. Nigdzie nie dostrzegła Cymeryjczyka.

Leżała w oczekiwaniu, podczas gdy wieczorna rosa posrebrzyła murawę i liście drzew, a mężczyźni przy ognisku kłęli, grali w kości i kłócili się. Niewielu ich zostało przy ogniu; reszta spała w ruinach.

Oliwia czekała z nerwami napiętymi jak postronki i zimny dreszcz przebiegał jej po krzyżu na myśl o tym, że stworzenie, które ją ścigało, mogło właśnie skradać się do niej w ciemnościach. Czas dłużył jej się okropnie. Piraci jeden po drugim zapadali w ciężki sen, aż wreszcie wszyscy legli nieprzytomni przy dogasającym ognisku.

Oliwia zawahała się, jednak ponagliła ją słaba poświata widoczna przez gałęzie drzew.

Wschodził księżyc.

Podniosła się i ruszyła ku ruinom. Z duszą na ramieniu, przeszła na palcach między pijanymi, leżącymi przy ziejącym czernią portalu. Wewnątrz było ich znacznie więcej; przewracali się i mamrotali coś przez sen, ale żaden nie obudził się, gdy cicho wśliznęła się do środka. Zobaczyła Cymeryjczyka i serce zabiło jej mocniej z radości.

Przywiązany do jednej z kolumn Conan był zupełnie przytomny: jego oczy błyszczały w słabym świetle dogasającego na zewnątrz ogniska.

Uważnie omijając śpiących, Oliwia podeszła do niego. Mimo że szła cicho jak duch, barbarzyńca usłyszał ją; dostrzegł ją, gdy tylko pojawiła się w przejściu. Na jego zaciśniętych wargach pojawił się słaby uśmiech.

Dziewczyna dotarła do niego i objęła go ramionami. Czuł szybkie bicie jej serca przy swoim sercu. Przez szeroką wyrwę w murze wpadł promień księżyca i natychmiast w sali powiało jakąś nieuchwytną grozą. Conan wyczuł to i zeszywniał nagle. Oliwia także to wyczuła; jej pierś zafalowała w szybkim oddechu, jednak śpiący piraci chrapali głośno.

Pochyliwszy się, Oliwia wyjęła sztylet zza pasa nieprzytomnego właściciela i zabrała się za przecinanie więzów towarzysza. Był związany grubą mocną liną, omotaną ze zręcznością właściwą żeglarzom. Dziewczyna piłowała zawzięcie, podczas gdy blask księżyca wolno pełzał po posadzce ku stojącym między filarami, nieruchomym posągom.

Oliwia dyszała ciężko; zdołała już uwolnić przeguby Cymeryjczyka, ale pozostały jeszcze pęta na ramionach i nogach. Obrzuciła spojrzeniem posągi pod ścianami — stały i czekały.

Zdawały się spoglądać na nią ze straszliwym rozmysłem. Pijani piraci wiercili się i bełkotali przez sen. Księżycowy blask zalał salę, dotknął żelaznych figur. Oliwii udało się w końcu uwolnić ręce Conana. Wziął od niej sztylet i jednym szybkim ruchem przeciął więzy na nogach. Zrobił krok i stanął rozcierając nadgarstki, ze stoickim spokojem znosząc ból wracającego krążenia. Oliwia przycupnęła przy nim, trzęsąc się jak osika. Czy to tylko księżyc odbijał się w oczach czarnych posągów, każąc im tak złowrogo błyszczeć w ciemnościach?

Conan skoczył cicho i zwinnie jak dziki kot. Porwał swój miecz ze sterty leżącego w pobliżu oręża, chwycił Oliwię w ramiona i

prześliznął się przez wyrwę w porośniętej bluszczem ścianie. Nie padło ani jedno słowo. Niosąc dziewczynę w ramionach, ruszył spiesznie przez skąpany w blasku księżyca płaskowyż. Dziewczyna zamknęła oczy i mocno objęła go rękami za szyję, wtulając kędzierzawą głowę w jego masywną pierś. Ogarnęło ją błogie uczucie bezpieczeństwa.

Mimo ciężaru Cymeryjczyk szybko przeszedł przez równinę i gdy Oliwia otworzyła oczy, zobaczyła, że już znaleźli się w cieniu skał.

— Coś wspinało się po urwisku — szepnęła. — Słyszałam, jak za mną szło...

— Musimy zaryzykować — mruknął.

— Nie boję się... teraz — dodała.

— Nie bałaś się też, kiedy przyszedł mnie uwolnić — rzekł. — Na Kroma, co za dzień!

Nigdy jeszcze nie słyszałem takiego handryczenia się i targów. Prawie ogłuchłem. Aratus chciał mi poderznąć gardło, a Ivanos, który go nienawidzi, nie pozwalał na to. Przez cały dzień warczeli i pluli na siebie, aż wszyscy się upili i nie byli w stanie opowiedzieć się po czyjejkolwiek stronie...

Conan urwał nagle i stanął jak wryty, niczym posąg z brązu. Szybkim ruchem postawił dziewczynę na ziemi i zasłonił ją sobą. Dziewczyna podniosła głowę, spojrzała i wrzasnęła przeraźliwie.

Z cienia zalegającego u stóp urwiska wyłonił się ogromny, niezgrabny cień — człekokształtny stwór, groteskowy wybryk natury.

W ogólnych zarysach przypominał człowieka, jednak blade światło księżyca ukazywało zwierzęce rysy, blisko osadzone oczy, sterczące uszy i wielkie obwisłe wargi, pomiędzy których wystawały długie, białe kły. Stwór miał zwierzwione,

srebrzystoszare futro i niezgrabne, zwisające niemal do samej ziemi, przednie łapy. Był ogromny: stojąc na krótkich, krzywych nogach o dwie głowy przewyższał Cymeryjczyka, jego łapska przypominały dwa sękate pnie, a szerokość masywnej piersi i barów zapierała dech.

Oliwii świat zawirował w oczach. Oto koniec wszystkiego, pomyślała, bo jakież człowiek zdołałby stawić czoła tej górze mięśni? Jednak patrząc szeroko otwartymi z przerażenia oczyma na muskularną postać Cymeryjczyka stojącego między nią a potworem, dostrzegła pewne zatrwajające podobieństwo. Zdawało się, że nie było to spotkanie człowieka z bestią, ale dwóch dzikich stworzeń, równie gwałtownych i bezlitosnych. Szczercząc kły, potwór runął do ataku.

Szeroko rozłożywszy straszliwie ramiona skoczył na barbarzyńcę z niewiarygodną wprost szybkością, jak na stworzenie o tak wielkim cielsku i krzywych nogach.

Conan zareagował błyskawicznym odskokiem, tak szybkim, że Oliwia nie była w stanie pochwycić go okiem. Zauważyła tylko, że uniknął ciosu łapą, a jego miecz błysnął w świetle księżyca i opadł, odcinając jedno z sękatych ramion między barkiem a łokciem. Trysnęła fontanna posoki i odrąbana kończyna upadła na murawę, lecz w tejże chwili bestia chwyciła Conana za włosy drugą łapą.

Tylko stalowe mięśnie uratowały Cymeryjczykowi życie. Lewą ręką złapał potwora za gardło, a kolaniem zaparł się o jego brzuch. Straszliwe zmagania trwały ledwie kilka sekund, ale sparaliżowanej ze strachu dziewczynie zdawały się wiecznością.

Małpolud trzymał Conana za włosy, przyciągając jego głowę ku swej paszczy, pełnej ostrych kłów. Cymeryjczyk odpychał się lewą ręką, a trzymanym w prawej mieczem jak sztyletem raz po

raz uderzał w pierś i brzuch przeciwnika. Bestia znosiła to w straszliwym milczeniu. Wydawało się, że upływ tryskającej ze strasznych ran krwi wcale jej nie osłabił.

Nadludzka siła małpoluda wolno pokonywała opór barbarzyńcy. Głowa Conana powoli, lecz nieuchronnie przyciągana była do rozdziawionej paszczy potwora. Barbarzyńca roziskrzonymi oczami wpatrywał się w nabiegłe krwią ślepia. Wbity głęboko miecz uwiązał we włochatym cielsku i Cymeryjczyk daremnie próbował go wyrwać. Ociekające śliną szczęki kłapnęły tuż przy jego twarzy i nagle bestia padła na murawę, miotana konwulsyjnymi skurczami.

Półprzytomna Oliwia zobaczyła, jak małpolud dziwnie ludzkim gestem usiłuje wyszarpnąć wbity w pierś miecz. Po krótkiej chwili, która dziewczynie wydawała się wiekiem, ogromne cielsko zadrżało po raz ostatni i zeszywniało.

Conan podniósł się z ziemi i pokuśtykał do trupa. Dyszał ciężko i szedł jak człowiek, którego łamano kołem. Pomacał swoją okrwawioną czuprynę i zaklął, widząc pasma długich, czarnych włosów wciąż zaciśnięte w owłosionej łapie potwora.

— Na Kroma! — wysapał. — Czuję się jak zdjęty z krzyża! Wolałbym walczyć z tuzinem ludzi. Jeszcze moment, a byłby mi odgryzł głowę! Niech to diabli, wyrwał mi całą garść włosów!

Chwyciwszy oburącz rękojeść miecza, wyszarpnął go z ciała bestii. Oliwia podeszła bliżej i chwyciwszy go za rękę, szeroko otwartymi oczyma patrzyła na powalonego potwora.

— Co... co to jest? — spytała drżącym głosem.

— Szary małpolud — wyjaśnił Conan. — Paskudne stworzenie żywiące się ludzkim mięsem. Zamieszkuje wzgórza wznoszące się na wschodnim brzegu Morza Vilayet. Nie wiem, w jaki sposób dostał się na wyspę. Może przydryfował na pniu wyrwanego

przez burzę drzewa?

— I to on rzucił w nas głazem?

— Tak. Podejrzewałem to już wtedy, gdy byliśmy w lesie i zobaczyłem kołyszące się gałęzie. Te stworzenia zawsze kryją się w największej gęstwinie i rzadko stamtąd wychodzą.

Nie wiem, co wyгнаło go na otwartą przestrzeń, ale mieliśmy szczęście, że tak się stało — wśród drzew nie miałbym żadnych szans.

— On mnie gonił — wzdrygnęła się Oliwia. — Widziałam, jak wspinał się po urwisku.— A potem instynktownie schował się w cieniu, zamiast pójść za tobą na płaskowyż. Ten stwór lubi ciszę i samotność, nie znosi słońca i księżyca.

— Myślisz, że jest ich tu więcej?

— Nie, w przeciwnym razie zaatakowałyby piratów przechodzących przez las. Szare małpoludy, mimo że tak silne, są bardzo ostrożne, o czym świadczy fakt, że ten nie zaatakował nas w gąszczu. Jednak w końcu głód zmusił go do zaryzykowania ataku na otwartej przestrzeni. Co...?

Conan drgnął i obrócił się na pięcie w kierunku, z którego przyszli. Ciemności rozdarł przeraźliwy krzyk. Natychmiast odpowiedział mu chór wściekłych wrzasków, krzyków i jęków agonii. Mimo że wtórował im brzęk stali, dźwięki te nasuwały raczej myśl o masakrze niż bitwie. Conan stał ze zmarszczonymi brwiami, a przerażona dziewczyna przywarła doń kurczowo. Kiedy zgiełk bitwy zmienił się w ogłuszający ryk mordowanych, Cymeryjczyk odwrócił się i szybko ruszył ku krawędzi płaskowyżu i skąpanemu w blasku księżyca lasowi.

Oliwii tak bardzo trzęsły się kolana, że nie była w stanie iść. Conan wziął ją na ręce i natychmiast poczuł, jak uspokaja się jej mocno bijące serce.

Przeszli przez mroczny gąszcz, w każdej chwili spodziewając się ataku, ale zarośla nie kryły nowego niebezpieczeństwa; nigdzie nie dostrzegli śladu przeciwnika. Nocne ptaki szczebiotały sennie. Odgłosy rzezi zwolna cichły w dali. Gdzieś przeraźliwie wrzasnęła papuga, powtarzając niczym upiorne echo:

— Yagkoolan yok tha, xuthalla!

W końcu dotarli do porośniętego drzewami brzegu i ujrzeli bielejące w świetle księżyca żagle zakotwiczonej w zatoczce galery.

Gwiazdy zaczęły błędnać, zapowiadając świt.

4

W szarym blasku poranka gromadka obszarpanych, zbryzganych krwią postaci wypadła z lasu na wąską plażę. Nie było ich wielu — resztki butnej, pirackiej załogi. Ciężko dysząc, skoczyli do wody i zaczęli brnąć ku zbawczej burcie okrętu, gdy zatrzymał ich okrzyk z rufy.

Na tle jaśniejącego nieba ujrzeli olbrzymią postać z mieczem w dłoni i rozwianą na wietrze grzywą czarnych włosów.

— Stać! — usłyszeli. — Nie zbliżać się. Czego chcecie, psy?

— Pozwól nam wejść na pokład! — krzyknął zarośnięty łotr, trzymając się ręką za resztki ucha. — Odpłyniemy z tej diabelskiej wyspy!

— Rozwałę łeb pierwszemu, który spróbuje wejść na pokład — obiecał im Cymeryjczyk.

Wprawdzie piraci mieli miażdżącą przewagę liczebną, ale stracili chęć do walki. Conan był panem sytuacji.

— Pozwól nam wejść na pokład, dobry Conanie — jęknął Zamoranin w czerwonej przepasce na biodrach, oglądając się lękliwie przez ramię. — Zostaliśmy napadnięci znienacka i pobici; jesteśmy tak utrudzeni walką i ucieczką, że nie mamy już siły.

— Gdzie ten pies Aratus? — dopytywał się Conan.

— Martwy, tak jak wielu innych! Napadły na nas demony! Zanim się przebudziliśmy, rozszarpały tuzin naszych kamratów! Ruiny zaroily się ognistookimi widmami uzbrojonymi w kły i

pazury.

— Tak! — dodał inny pirat. — To były demony, które przybrały postać posągów, by nas omamić. Na Isztar! Nocowaliśmy w jaskini lwów! Nie jesteśmy tchórzami. Walczyliśmy z nimi tak długo, jak długo zwykły śmiertelnik może opierać się mocom ciemności. Później uciekliśmy, zostawiając im trupy naszych towarzyszy. Jednak z pewnością będą nas ścigać.

— Tak, daj nam wejść na statek! — wrzasnął chudy Shemita. — Pozwól nam wejść po dobroci albo wiedzemy się siłą i choć jesteśmy tak znużeni, że bez wątpienia wielu nas zginie, to nie zdołasz zabić wszystkich.

— Wtedy wybiję dziurę w burcie i zatopię statek — odparł ponuro Cymeryjczyk i gromkim okrzykiem uciszył chóralny jęk, jakim piraci przyjęli jego słowo. — Psy! Czy mam pomagać wrogom? Mam was wpuścić na pokład, żebyście poderżnęli mi gardło?

— Nie, nie! — zapewniali pospiesznie. — Nie wrogom, lecz przyjaciołom! Będziemy twoimi kompanami, Conanie! Razem popłyniemy na morze! Przecież wszyscy nienawidzimy króla Turanu!

Nie odrywali oczu od jego groźnie zmarszczonej, brązowej od słońca twarzy.

— A więc jednak należę do Bractwa — — mruknął. — A skoro zabiłem waszego przywódcę w uczciwej walce, to zgodnie z prawem jestem teraz waszym kapitanem!

Nikt się nie sprzeciwiał. Piraci byli zbyt przestraszeni i zgnębieni, aby myśleć o czymś innym niż o jak najszybszym opuszczeniu wyspy. Conan spojrział na rosłego Koryntianina.

— No co, Ivanos — zawołał. — Raz już stanąłeś w mojej obronie. Poprzesz mnie i teraz?

— Tak, na Mitrę! — zorientowawszy się w sytuacji pirat pragnął wkraść się w łaski nowego kapitana. — On ma rację, chłopcy! Według zwyczaju jest naszym kapitanem!

Odpowiedział mu chór potakiwań, może trochę pozbawionych entuzjazmu, lecz niewątpliwie szczerych, co gwarantował zielony gąszcz za ich plecami, z którego w każdej chwili mogły wypaść czarne demony o płonących ślepiach i ostrych pazurach.

— Przysięgnijcie na miecze — zażądał Conan.

Las rękojeści wyciągnął się ku niemu wiernopoddańczym gestem i wielogłosy chór ślubował mu posłuszeństwo.

Cymeryjczyk uśmiechnął się i schował miecz do pochwy.

— Wchodźcie na pokład, dzielni żeglarze, i bierzcie się do wiosła!

Odwrócił się do skulonej za nadburciem Oliwii i postawił ją na nogi.

— A co ze mną, kapitanie? — spytała.

— A co byś chciała? — odparł, przypatrując jej się zwężonymi oczyma.

— Pójść z tobą, dokądkolwiek się udasz! — krzyknęła, zarzucając mu ręce na szyję.

Gramolący się na burty piraci wybałuszyli oczy.

— Chcesz popłynąć na szlak krwi i rzezi? — zapytał. — Dokądkolwiek popłynie ten statek, zostawi na wodzie krwawy ślad.

— Tak — odrzekła z uczuciem. — Popłynę z tobą po wodach błękitnych czy krwawych.

Ty jesteś barbarzyńcą, a ja wyrzutkiem bez domu i ojczyzny. Oboje jesteśmy pariasami, wiecznymi wędrowcami... Och, weź mnie ze sobą!

Conan wybuchnął śmiechem i przycisnął wargi do jej warg.

— Uczynię cię królową Morza Vilayet! Podnieście kotwicę, psy!
Na Kroma, zalejemy jeszcze Yildizowi sadła za skórę!

DROGA ORŁÓW

Jako wódz Czerwonego Bractwa Conan jest dotkliwie kłującym cierniem tkwiącym w delikatnej skórze króla Yildiza. Ten stary pantoflarz, zamiast zgodnie z powszechnie przyjętym turańskim obyczajem udusić swego brata Teyaspe, postanowił uwięzić go w zamku stojącym w sercu Gór Kolchijskich, na południowy wschód od Vilayet, a należącym do zaporoskańskiego bandyty, Glega. Chcąc pozbyć się innego kłopotu, Yildiz wysłał jednego z najsilniejszych stronników Teyaspy, generała Artabana, aby zniszczył siedzibę piratów przy ujściu rzeki Zaporoski. Generałowi udaje się tego dokonać, ale ze ścigającego staje się ściganym.

Przeegrany uczestnik bitwy morskiej ciężko kołysał się na szkarłatnych falach. O strzał z łuku od niego zwycięski statek z trudem odpływał ku poszarpanym skałom wznoszącym się nad lazurowymi wodami. Taka scena nie była czymś niezwykłym na Morzu Vilayet za panowania króla Yildiza z Turanu. Dryfujący bezradnie statek był turańską galerą wojenną o wysoko uniesionym dziobie, bliźniaczo podobną do okrętu przeciwnika. Na pokładzie śmierć zebrała obfite żniwo. Sterty trupów zalegały na rufie, ciała zwieszały się przez potrzaskane relingi, leżały w zejściówce na śródokręciu, gdzie zmiażdżeni wiosłarze spoczywali wśród połamanych ławek. Na wysokiej rufie stali ocaleni: trzydziestu mężczyzn, z których wielu broczyło krwią.

Stanowili zbieraninę różnych nacji: Kothijczyków, Zamoran,

Brythuńczyków, Koryntian, Shemitów i Zaporoskan. Na ich twarzach malowała się zawziętość i okrucieństwo, a ciała wielu z nich nosiły ślady bata lub rozżarzonego żelaza. Niektórzy byli półnaczy, lecz ich odzież była przeważnie dobrej jakości, choć teraz plamiła je smoła i krew. Jedni mieli gołe głowy, inni nosili stalowe hełmy lub pasy materiału zawiązane jak turbany. Paru miało na sobie kolczugi, a kilku, nagich do pasa, ukazywało prawie czarne od słońca, muskularne ramiona i barki. W kolczykach i rękojeściach sztyletów błyskały drogie kamienie. W dłoniach mieli obnażone miecze, a w oczach niepokój.

Stali wokół mężczyzny przewyższającego ich o głowę, niemal olbrzyma o potężnej muskulaturze. Grzywa prosto przyciętych, czarnych włosów opadała mu na szerokie, niskie czoło, a w ogorzałej, poznaczonej bliznami twarzy błyszcząły jasnoniebieskie oczy.

Teraz te oczy spoglądały na ląd. Na tym pustym wybrzeżu między Khawarizmem, wysuniętym najdalej na południe ze wszystkich turańskich miast, a Aghrapurem nie było żadnego miasteczka czy portu. Na skalistym brzegu wznosiły się porośnięte drzewami wzgórza, szybko przechodzące w strome szczyty odległych Gór Kolchijskich o pokrytych wiecznym śniegiem wierzchołkach, zabarwionych na czerwono promieniami zachodzącego słońca.

Olbrzym popatrzył z wściekłością na oddalającą się galerę. Jej załoga szczęśliwie odczepiwszy haki abordażowe kierowała statek do ujścia strumienia wijącego się między wzgórzami. Kapitan piratów wciąż widział na rufie wysoką postać w lśniącym hełmie.

Zapamiętał twarz widzianą pod okapem hełmu, wykrzywioną bitewnym szaleństwem: orli nos, czarną brodę i skośne, czarne

oczy. Artaban z Shahpuru, do niedawna postrach Morza Vilayet.

Chudy Koryntianin powiedział:— Prawie go mieliśmy. Co teraz, Conanie? Gigantyczny Cymeryjczyk podszedł do jednego z wiosł sterowniczych.

— Ivanosie — zwrócił się do tego, który się odezwał. — Ty i Hermio przejmiecie drugi ster. Mediusie, dobierz sobie trzech innych i zacznijcie wyczerpywać wodę. Reszta niech opatrzy sobie rany, a potem zejdzie na dół i weźmie się do wiosł. Wyrzućcie za burtę część zabitych, żeby zrobić miejsce.

— Masz zamiar popłynąć do ujścia strumienia za tamtą galerą? — zapytał Ivanos.

— Nie. Nabraliśmy zbyt wiele wody przez dziurę wybitą ich taranem, żeby ryzykować kolejny abordaż. Jeśli się postaramy, może uda nam się dociągnąć do tego przylądka.

Z trudem dotarli do brzegu. Słońce zaszło i niebieskawa mgielka unosiła się nad ciemnymi wodami jak dym. Nieprzyjaciel wpłynął w ujście strumienia. Woda zaczynała już omywać nadburcia galery, kiedy dno zazgrzytało po żwirze plaży.

Nurty rzeki Akrim wijącej się wśród pastwisk i pól zabarwiły się na czerwono, a wznoszące się po obu stronach doliny góry spoglądały na scenę niemal równie starą jak one same.

Dzicy jeźdźcy z pustkowi przynieśli strach spokojnym mieszkańcom doliny. Napadnięci nie szukali pomocy na zamku przyczepionym do stromego stoku góry, bowiem tam również zamieszkiwali ciemiejcy.

Klan Kurusz Chana, pomniejszego wodza jednego z barbarzyńskich hyrkańskich plemion zamieszkujących tereny na wschód od Morza Vilayet, został wyparty ze swych rodzinnych stron na zachód w wyniku plemiennej waśni. Teraz łupił wioski

Yuetshów w dolinie rzeki Akrim. Chociaż głównym celem wyprawy było zdobycie bydła, niewolników i łupów, Kurusz Chan miał większe ambicje. Pośród tych wzgórz nieraz rodziły się królestwa.

Jednak teraz, podobnie jak jego wojownicy, Kurusz Chan był pijany mordem. Chaty Yuetshów zmieniły się w dymiące zgliszcza. Stodoły oszczędzono, ponieważ zawierały paszę oraz siano. Jeźdźcy przebiegali z jednego końca doliny na drugi, dźgając i szyjąc pierzastymi strzałami. Mężczyźni jęczeli, przeszywani żelazem; kobiety wrzeszczały, gdy napastnicy przerzucali je nagie przez łęki siodeł.

Jeźdźcy w owczych skórach i wysokich futrzanych czapach kłębili się na ulicach największej wioski — nędznego skupiska chat z kamieni i gliny. Wywlekani z kryjówek wieśniacy klękali, daremnie błagając o litość lub próbowali ucieczki, aby lec pod ciosami ścigających. Słysząc było świst opadających jataganów, kończący się głuchymi młaśnięciami rozcinanych kości i ciał.

Gdy Kurusz Chan w płaszczu rozwianym na wietrze jak ptasie skrzydła dopadł uciekającego, ten odwrócił się z przeraźliwym okrzykiem. Zdążył jeszcze dostrzec jak we śnie brodatą twarz z cienkim, haczykowanym nosem i szeroki rękaw odsłaniający ramię dzierżące uniesione do ciosu, zakrzywione ostrze. Yuetsha miał ciężki, myśliwski łuk — jeden z niewielu w dolinie — i jedną jedyną strzałę. Z krzykiem rozpaczy naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę w tej samej chwili, gdy Hyrkańczyk ciął go w pełnym galopie. Strzała sięgnęła celu i Kurusz Chan stoczył się z siodła trafiony prosto w serce.

Gdy pozbawiony jeźdźca koń pogalopował przed siebie, jeden z dwóch leżących podniósł się na łokciu. Był nim Yuetsha, z którego życie szybko uciekało przez okropną ranę na szyi i

barku. Ciężko dysząc, popatrzył na wroga. Broda Kurusz Chana sterczała ku niebu, jakby w komicznym zdumieniu. Pod Yuetszą ugięło się ramię i padł twarzą w pył, gryząc piach.

Splunął krwią, zaśmiał się okropnie okrwawionymi ustami i znieruchomiał. Kiedy Hyrkańczycy wjechali na zbocze, on również już nie żył.

Hyrkańczycy zlecieli się ze wszystkich stron jak sępy do owczego ścierwa, aby się naradzić nad trupem swego wodza. Kiedy powstali, los wszystkich Yuetszów w dolinie został przesądzony.

Spichlerze, obory i stajnie oszczędzone przez Kurusz Chana poszły z dymem. Wszyscy jeńcy zostali zabici, dzieci ciśnięto żywcem w płomień, a młode dziewczęta zarżnięto i rzucono w zgliszcza. Ze ściętych głów usypano okazałą piramidę. Jeźdźcy nadjeżdżali galopem, trzymając te ponure trofea za włosy i ciskając je na stos. Przetrząsnięto każde miejsce, w jakim mógłby się ukrywać jakiś rozdygotany wieśniak.

Jeden z koczowników, przeszukując stertę siana, dostrzegł w niej jakieś poruszenie. Z dzikim okrzykiem rozrzucił siano i wywlókł ofiarę. Była nią dziewczyna, w dodatku nie wyglądająca na jedną z podobnych do małych kobiet Yuetszów. Zdarłszy z niej płaszcz

Hyrkańczyk pał oczy urodą jej skąpo okrytego ciała.

Dziewczyna w milczeniu szamotała się w jego uścisku. Zaczął ją ciągnąć w kierunku swego konia. Nagle, zwinnie i błyskawicznie jak kobra branka wyrwała sztylet zza pasa i wbiła go w serce napastnika. Z głuchym jękiem osunął się na ziemię, a dziewczyna skoczyła na jego wierzchowca. Rumak stanął dęba i zarżał, lecz zdołała go okiełznać i pognęła jak strzała w górę doliny. Horda najeźdźców zawyła wściekle i ruszyła w pogoń.

Nad głową uciekającej świsnęły strzały.

Skierowała konia wprost na skalną ścianę na południowym końcu doliny, ku widocznemu wylotowi wąskiego kanionu. Jazda po kamieniach i głazach była bardzo niebezpieczna i Hyrkańczycy musieli zwolnić tempo. Jednak dziewczyna gnała jak niesiony wichrem liść i wyprzedzała ich o kilkaset kroków, gdy dotarła do niskiego wału z głazów, wyglądającego jak prowizorycznie usypana barykada, zagradzająca wejście do kanionu. Na jego szczycie rosła kępa tamaryszków, a z wąskiej szczeliny na środku sączył się mały strumyk. Byli tam jacyś ludzie.

Ujrzała kilku między głazami; kazali jej stanąć. Z początku myślała, iż to Hyrkańczycy, ale potem zrozumiała, że się pomyliła. Byli rośli i silnie zbudowani, na głowach mieli spiczaste hełmy, a pod płaszczami błyszczały stalowe kolczugi. Podjęła błyskawiczną decyzję. Zeskoczyła z konia, wbiegła na skały i upadła na kolana, krzycząc:

— Pomocy, w imię litościwej Isztar!

Wśród głazów pojawił się kolejny mężczyzna, na widok którego zawołała:

— Generał Artaban!

Rzuciła mu się do nóg.

— Obroń mnie przed tym wilczym stadem, które mnie ściga!

— Czemu miałbym ryzykować dla ciebie życie? — spytał obojętnie.

— Poznaliśmy się na królewskim dworze, w Aghrapurze! Tańczyłam dla ciebie. Jestem Roxana, Zamoranka.

— Wiele kobiet dla mnie tańczyło.

— Zatem powiem ci coś — rzekła zdesperowana. — Słuchaj!

Gdy szepnęła mu coś do ucha, drgnął jak ukłuty szpilką.

Zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem. Później, wspiąwszy się na wielki głaz, uniesioną dłonią zatrzymał nadjeżdżających jeźdźców.

— W imię króla Turanu, Yildiza, odejdźcie w pokoju!

Odpowiedział mu świst strzał. Zeskoczył z głazu i skinął ręką. Wzdłuż całej barykady zabręczały cięciwy i grad strzał spadł na Hyrkańczyków. Jeźdźcy spadali z siodeł, konie kwiczały i stawały dęba. Pozostali wojownicy cofnęli się z okrzykami przerażenia. Po chwili zawrócili konie i pomknęli z powrotem. Artaban odwrócił się do Roxany; wysoki mężczyzna w płaszczu ze szkarłatnego jedwabiu i napierśniku z połączanej, stalowej siatki. Morska woda i krew ubrudziły jego szaty, jednak nadal wyglądał dostojnie. Wokół niego zebrali się jego ludzie — czterdziestu krzepkich turańskich żeglarzy, obwieszonych bronią. Opodal stał nieszczęśliwie wyglądający Yuetsza ze związanymi rękami.

— Moja córko — rzekł Artaban. — Narobiłem sobie wrogów w tej odległej krainie z powodu imienia, które szepnęłaś mi do ucha. Uwierzyłem ci...

— Możesz mnie obedrzeć ze skóry, jeśli kłamię.

— Zrobię to — obiecał jej łagodnie. — Osobiście. Wymieniłaś imię księcia Teyaspy. Co o nim wiesz?

— Przez trzy lata dzieliłam z nim jego wygnanie.

— Gdzie on jest?

Wskazała na dolinę, gdzie między turniami widać było wieżyczki zamku.

— W tej oto warowni Glega Zaporoskanina.

— Trudno będzie ją zdobyć — zastanawiał się Artaban.

— Poślij po resztę swoich morskich jastrzębi! Znam drogę, która zaprowadzi was do serca tej fortecy!

Potrząsnął głową.

— To cały mój oddział.

Widząc jej niedowierzanie, dodał:

— Nie dziwi mnie twoje zaskoczenie. Opowiem ci, jak do tego doszło...

I w typowy dla siebie sposób, który tak zbijał z tropu jego turańskich ziomków, nie tając niczego, opisał swój upadek. Nie opowiadał jej o swoich zwycięstwach, które były zbyt powszechnie znane, aby o nich przypominać. Jako generał wsławił się udanymi wypadami na sąsiednie kraje — Brythunię, Zamorę, Koth oraz Stygię — gdy pięć lat temu piraci z Morza Vilayet, zjednoczywszy się z wyjętymi spod prawa kozakami z pobliskich stepów stali się siłą zagrażającą najbardziej wysuniętego na zachód hyrkańskiemu królestwu i król Yildiz wezwał Artabana, aby ten położył kres niebezpieczeństwu. Energiczne działania Artabana doprowadziły do klęski piratów, a przynajmniej wyparły ich z zachodnich wybrzeży morza Vilayet.

Jednak Artaban, zamiłowany gracz, wpadł w poważne długi. Aby je spłacić, podczas morskiego patrolu przechwycił kupiecki statek z Khorusunu, wyrznął jego załogę i przeładował towar na pokład swego statku, aby później potajemnie sprzedać łup. Jednak mimo iż załoga poprzysięgła milczenie, ktoś musiał się wygadać. Artaban zachował głowę na karku, lecz musiał za to wykonać niemal równoznaczny z samobójstwem rozkaz króla Yildiza: przepłynąć Morze Vilayet i zniszczyć obozowisko piratów przy ujściu rzeki Zaporoski. Dziwnym trafem do wykonania tego zadania przydzielono mu tylko dwa statki.

Artaban odnalazł ufortyfikowany obóz przeciwnika i zdobył go szturmem, ponieważ akurat było w nim niewielu piratów — pozostali popłynęli w górę rzeki, aby walczyć z hyrkańskimi koczownikami, takimi samymi jak horda Kurusz Chana, którzy

napadli na Zaporoskan. Artaban zniszczył kilka stojących w porcie statków i schwytał paru starych lub chorych piratów.

Aby zastraszyć pozostałych, Artaban kazał jeńców nabić na pal, smażyć na wolnym ogniu i jeszcze żywych obedrzeć ze skóry. W trakcie wykonywania tego rozkazu wróciły główne siły przeciwnika. Artaban uciekł, zostawiając w rękach piratów jeden ze swoich statków.

Wiedząc, co mu grozi w Turanie za niewypełnienie misji, ruszył w kierunku pustego południowo — zachodniego wybrzeża Morza Vilayet, gdzie Góry Kolchijskie dochodziły niemal do samej wody. Piraci niebawem wyruszyli w pościg i dopadli go w chwili, gdy dopływał do brzegu. W trakcie bitwy, jaka się wywiązała, pokłady obu statków spłynęły krwią i zasłane zostały ciałami zabitych i rannych. Przewaga liczebna, lepsze uzbrojenie Turańczyków i umiejętne posługiwanie się przez Artabana taranem nie zapewniło im zwycięstwa, lecz zaledwie pozwoliło wyjść cało z opresji.

— I tak przybiliśmy galerą do brzegu strumienia. Moglibyśmy ją naprawić, ale królewska flota panuje na całym Morzu Vilayet, a król będzie czekał na mnie ze sznurem, kiedy dowie się, że zawiodłem. Ruszyliśmy w góry, szukając nie wiadomo czego — drogi ucieczki z turańskiego imperium lub nowego królestwa, jakie moglibyśmy założyć.

Roxana wysłuchiwała go, a potem bez komentarzy zaczęła swoją opowieść. Jak Artaban dobrze wiedział, królowie Turanu mieli zwyczaj wstępując na tron zabijać swoich braci oraz ich dzieci, aby zapobiec ewentualnej wojnie domowej. Ponadto po śmierci władcy, zgodnie z innym zwyczajem, generałowie i szlachta obwoływali nowym królem tego z jego synów, który jako pierwszy zjawił się w stolicy.

Nawet mając taką przewagę nad swym energicznym bratem, Teyaspą, słaby Yildiz nie pokonałby go, gdyby nie matka, kothijska kobieta imieniem Chusia. Ta szacowna stara dama, prawdziwa władczyni Turanu, wolała Yildiza, ponieważ był bardziej uległy, tak więc Teyaspa został zmuszony do ucieczki. Szukał schronienia w Iranistanie, ale niebawem odkrył, że król tego państwa prowadzi tajną korespondencję z Yildizem i zamierza go otruć. Kiedy książę próbował przedostać się do Vendhyi, został schwytany przez plemię byrkańskich koczowników, którzy rozpoznali go i sprzedali Turańczykom. Teyaspa sądził, że jego los jest przypieczętowany, ale interwencja matki powstrzymała Yildiza, który odwołał rozkaz uduszenia brata.

Zamiast tego Teyaspę uwięziono w zamku Glega Zaporoskanina, dzikiego wodza bandytów, który przed wielu laty przybył do doliny Akrim i ogłosił się feudalnym władcą Yuetshów, wyzyskując ich, ale nie broniąc. Teyaspie pozostawiono wszelkie wygody i rozrywki obliczone na to, by go zmiękczyć. Roxana wyjaśniła, że była jedną z tancerek, przysłanych, żeby go zabawiały. Zakochała się w przystojnym księciu i zamiast doprowadzić go do zguby, próbowała znów zrobić z niego mężczyznę.

— Jednak — podsumowała — książę Teyaspa popadł w apatię. W niczym już nie przypomina tego młodego orła, który wiódł swoich jeźdźców przeciw brythuńskim rycerzom i shemickim asshuri. Więzienie, wino i sok czarnego lotosu zamroczyły mu umysł. Siedzi pogrążony w transie na swoim posłaniu i ożywia się tylko wtedy, gdy dla niego śpiewam lub tańczę. Jednak w jego żyłach płynie krew zdobywców. To lew, który teraz drzemie.

Kiedy Hyrkańczycy przybyli do doliny, wymknęłam się z

zamku i udałam na poszukiwanie Kurusz Chana, mając nadzieję znaleźć mężczyznę na tyle odważnego, by pomógł Teyaspie. Widziałam, jak Kurusz Chan zginął i wtedy Hyrkańczycy zmienili się we wściekłe psy. Ukryłam się przed nimi, ale znaleźli mnie. O panie, pomóż nam! Co z tego, że jest was tylko garstka? Z mniejszą siłą tworzono królestwa! Kiedy ludzie dowiedzą się, że książę jest wolny, zbiegną się do nas ze wszystkich stron! Yildiz to niezdarna mizerota, a lud obawia się jego syna Yezdigerda, który jest gwałtownym, okrutnym i ponurym młodzieńcem.

Najbliższy turański garnizon stacjonuje o trzy dni jazdy stąd. Akrim to odizolowane miejsce, znane tylko koczownikom i Yuetshom. Można stąd pokierować buntem. Ty także jesteś wyjęty spod prawa. Uwolnij Teyaspę, przyłącz się do niego i osadź go na tronie! Jeśli on zostanie królem obsypie cię szczytami i złotem, podczas gdy Yildiz ma dla ciebie tylko szubienicę!

Kłęcząca u jego stóp, trzymając go za skraj płaszcza, a jej oczy płonęły z podniecenia. Artaban chwilę stał w milczeniu, potem roześmiał się głośno.

— Będziemy potrzebowali Hyrkańczyków — powiedział, a dziewczyna klasnęła w ręce z radości.

— Stać!

Conan Cymeryjczyk przystanął i rozejrzał się wokół, wyciągając szyję. Za nim jego towarzysze zatrzymali się ze szczękiem oręża. Znajdowali się w wąskim kanionie między dwoma stromymi ścianami porośniętymi karłowatymi drzewkami. Przed nimi mały strumyk wypływał spomiędzy kępy drzew i płynął dalej po omszałych głazach.

— Wreszcie mamy wodę — mruknął Conan. — Pijcie.

Poprzedniego wieczora szybkim marszem dotarli do statku

Artabana, ukrytego w zakolu strumienia. Barbarzyńca zostawił tam czterech swoich najciężej rannych ludzi, żeby naprawili galerę, a sam ruszył dalej z pozostałymi. Przekonany, że Turańczycy znajdują się tuż przed nim, Conan śmiało parł naprzód w nadziei doścignięcia wroga i pomszczenia masakry, jakiej dokonali nad Zaporoską. Jednak później, kiedy zaszedł księżyc, stracili ślad w labiryncie parowów i maszerowali na oślep. Teraz, o świcie, znaleźli wodę, lecz byli strudzeni i zgubili drogę. Jedyнным znakiem życia, jaki napotkali, od kiedy zeszli na brzeg, było wzniesione wśród głazów zbiorowisko chat, zamieszkanych przez niepozorne, odziane w skóry istoty, które na widok przybyszów uciekły z przeraźliwym wyciem. Gdzieś w górach ryczał lew. Z liczącego dwudziestu sześciu ludzi oddziału jedynie Conan nie był śmiertelnie strudzony.

— Prześpijcie się trochę — warknął. — Ivanosie, wybierz dwóch ludzi i obejmijcie pierwszą wartę. Kiedy słońce znajdzie się nad tą jodłą, obudź trzech następnych. Ja sprawdzę ten wąwóz.

Pomaszerował w górę kanionu i niebawem zniknął w rzadkich zaroślach. Zbocza zmieniły się w wyniosłe urwiska wznoszące się pionowo z kamienistego, usłanego głazami dna. Nagle, z zapierającą dech w piersi szybkością jakieś włochate stworzenie wyskoczyło z kępy krzaków i stanęło przed piratem. Conan syknął przez zaciśnięte zęby, błyskawicznie dobywając miecza. Jednak powstrzymał cios, widząc, że tamten nie ma broni.

To był Yuetssha: wychudzony, podobny do gнома mężczyzna o długich rękach, krótkich nogach i płaskiej, żółtej twarzy ze skośnymi oczami, pobrużdżonej niezliczonymi zmarszczkami.

— Na Khosatra! — wykrzyknął człowiek. — Co jeden z Wolnych Braci robi w tej nawiedzanej przez Hyrkańczyków

dolinie?

Mężczyzna mówił turańskim dialektem języka hyrkańskiego, ale z silnym akcentem.

— Kim jesteś? — spytał barbarzyńca.

— Byłem wodzem Yuetsarów — odparł tamten z okropnym śmiechem. — Nazywano mnie Vinashko. Co tu robisz?

— Co znajduje się za tym kanionem? — odparował Cymeryjczyk.

— Za tą oto granią leży labirynt parowów i turni. Jeśli go przejdiesz, wyjdiesz na skałę górującą nad doliną Akrim, która do wczoraj była siedzibą mojego plemienia, a dziś jest cmentarzyskiem.

— Czy jest tam jakaś żywność?

— Tak. Jest tam też śmierć. Horda hyrkańskich nomadów koczuje w dolinie.

Jeszcze rozważając tę wiadomość, Conan odwrócił się szybko, słysząc czyjeś kroki za plecami. Ujrzał nadchodzącego Ivanosa.

— Ha! — zmarszczył brwi. — Powiedziałem ci, żebyś stał na straży, kiedy reszta śpi!

— Są zbyt głodni, żeby spać — odparł Koryntianin, podejrzliwie spoglądając na Yuetsarę.

— Na Kroma! — huknął Cymeryjczyk. — Nie mogę wyczarować jedzenia z powietrza.

Muszą gryźć palce, dopóki nie znajdziemy jakiejś wioski...

— Mogę was zaprowadzić do miejsca, gdzie jest dość jedzenia dla całej armii — przerwał mu Vinashko.

Conan zmierzył go groźnym spojrzeniem.

— Nie drwij ze mnie, przyjacielu! Dopiero co powiedziałeś, że Hyrkańczycy...

— Nie! Niedaleko stąd jest miejsce, gdzie chowaliśmy żywność.

Nie odkryli go. Właśnie tam szedłem, gdy cię zobaczyłem.

Conan zważył w ręce miecz — szeroki, prosty, obosieczny oręż długości ponad metra — broń rzadko spotykaną w tych krainach, gdzie najczęściej używano zakrzywionych szabel.

— A zatem prowadź, ale pamiętaj, że przy pierwszym podejrzanym ruchu zostaniesz bez głowy!

Yuetsha znów zaśmiał się swym dzikim, pogardliwym śmiechem i gestem nakazał, by szli za nim. Podeszedł do pobliskiego urwiska, przez chwilę rozgarniał wątle krzaki, po czym odsłonił szczelinę w skale. Pokazując, aby poszli w jego ślady, schylił się i wczołgał się do środka.

— W tę wilczą norę? — zapytał Ivanos.

— Czego się obawiasz? — rzekł Conan. — Myszy?

Pochylił się i wcisnął w otwór, a Koryntianin ruszył za nim. Znaleźli się nie w jaskini, lecz w ciasnej rozpadlinie. Nad głowami widzieli wąską, wijącą się wstęgę porannego, jasnoniebieskiego nieba między pionowymi ścianami, które za każdym krokiem stawały się wyższe. Brnąc przez mrok, przeszli kilkaset kroków i wyszli na szeroką, owalną przestrzeń otoczoną ścianami, wyglądającymi na pierwszy rzut oka jak ogromny plaster miodu. Ze środka placu, z miejsca, gdzie niski, owalny murek otaczał dziurę w dnie rozpadliny, dobiegał głuchy ryk i wydobywał się blady płomień, wysoki na chłopa i rzucający wokół upiorną poświatę.

Conan ciekawie rozejrzał się dokoła. Wydawało się, że są na dnie gigantycznej studni. Dno było z litej, gładkiej skały, jakby wyślizganej milionami stóp. W ścianach o zbyt regularnie kolistym kształcie, aby mogły być dziełem natury, widniały setki czarnych, kwadratowych wgłębień głębokości dłoni, ułożonych w równe rzędy i szeregi. Ściany wznosiły się na oszałamiającą

wysokość, kończąc się małym krążkiem błękitnego nieba, na którym krążący sęp wyglądał jak nikła plamka. Spiralne stopnie wykute w czarnej skale wiodły półkoliście w górę, kończąc się występem przed nieco większą dziurą — wejściem do tunelu. Vinashko wyjaśnił:

— Te dziury to grobowce prastarego ludu, który żył tu, zanim jeszcze moi przodkowie przybyli nad Morze Vilayet. Mówią o nim na pół zapomniane legendy; powiadają one, że nie byli to ludzie i że pożerali moich przodków, aż kapłan Yuetszów rzucił potężny czar, którym zagnał ich do dziur w skale i rozpałił ogień, który ich tam trzyma. Z pewnością ich kości już dawno temu rozpadły się w proch. Kilku z moich ludzi próbowało rozłupać kamienne bloki zamykające wejścia do tych grobowców, ale skała oparła się ich wysiłkom. Wskazał na stertę pakunków po przeciwnej stronie amfiteatru.

— Mój lud przechowywał tu zapasy na wypadek głodu. Bierzcie, ile chcecie — nie ma już Yuetszów, którzy mogliby to zjeść.

Conan opanował dreszcz wywołany przesadnym lękiem.

— Twój lud powinien zamieszkać w tych jaskiniach. Wystarczy jeden człowiek, by obronić tę szczelinę przed całą hordą.

Yuetsza wzruszył ramionami.

— Tutaj nie ma wody. Ponadto kiedy napadli nas Hyrkańczycy, nie było czasu na nic. Mój lud nie był wojowniczy; chcieliśmy tylko uprawiać ziemię.

Conan potrząsnął głową, nie mogąc tego pojąć. Vinashko wybierał skórzane worki z ziarnem, ryżem, suszonym serem i mięsem oraz bukłaki kwaśnego wina.

— Ivanosie, idź i sprowadź tu paru ludzi, żeby pomogli to nieść

— rzekł Cymeryjczyk, spoglądając w górę. — Ja zostanę tutaj.

Gdy Ivanos odmaszerował, Vinashko pociągnął Conana za rękaw.

— Teraz wierzysz, że mówię prawdę?

— Tak, na Kroma! — odparł barbarzyńca, pakując do ust garść suszonych fig. — Każdy, kto ofiarowuje mi jedzenie, jest moim przyjacielem. Jednak w jaki sposób ty i twój lud dostaliście się tu z doliny Akrim? Musieliście wspiąć się na znaczną wysokość.

Oczy Yuetshy zabłysły jak ślepia głodnego wilka.

— To nasza tajemnica. Pokażę ci jak, jeśli mi zaufasz.

— Kiedy napełnię żołądek — odparł Conan z ustami pełnymi fig. — Ścigamy tego demona, Artabana z Shahpuru, który jest gdzieś w tych górach.

— On jest twoim wrogiem?

— Wrogiem! Jeśli go dopadnę, z jego skóry zrobię sobie buty!

— Artaban z Shahpuru znajduje się o trzy godziny jazdy stąd.

— Ha! — zakrzyknął barbarzyńca, odruchowo chwytając za miecz i sypiąc skry z oczu. —

Prowadź mnie do niego!

— Powoli! — krzyknął Vinashko. — On ma czterdziestu zbrojnych Turańczyków, a ponadto przyłączył się do niego Dayuki ze stu pięćdziesięcioma Hyrkańczykami. A ilu ty masz wojowników, panie?

Conan żuł w milczeniu, gniewnie marszcząc brwi. W walce z tak przeważającym liczebnie przeciwnikiem nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd. W ciągu tych paru miesięcy, od kiedy został kapitanem piratów, zrobił z nich naprawdę sprawną załogę, ale wciąż musiał uważać na to, co robi. Piraci byli zuchwali i pomysłowi; pod dobrym przywódcą mogli wiele zdziałać, lecz bez niego oddaliby życie dla byle kaprysu.

Vinashko rzekł:

— Jeśli pójdziesz ze mną, panie, pokażę ci coś, czego nikt prócz Yuetsarów nie widział od tysiąca lat!

— Co to takiego?

— Droga śmierci dla naszych wrogów!

Conan zrobił krok i stanął.

— Czekaj; oto nadchodzą czerwoni bracia. Słyszę, jak klną, psubraty!

— Odeślij ich z żywnością — szepnął Vinashko, gdy pół tuzina piratów wyłoniło się z przejścia, rozdziawiając usta na widok rozpadliny. Conan powitał ich szerokim gestem.

— Zanieście to wszystko nad strumień — powiedział. — Mówiłem wam, że znajdę żywność.

— A co z tobą? — dopytywał się Ivanos.

— Nie martw się o mnie! Chcę porozmawiać z Vinashko. Wracajcie do obozu i nażryjcie się, niech was diabli!

Gdy kroki piratów ucichły w oddali, Conan klepnął Vinashkę w plecy, niemal go przewracając.

— Chodźmy — rzekł.

Yuetsara poprowadził go na górę po stopniach półkuliście wykutych w litej skale. Nad ostatnim rzędem grobowców stopnie kończyły się otworem tunelu. Conan stwierdził, że może wejść, nie pochylając głowy.

— Jeśli pójdziesz tym tunelem — rzekł Vinashko — wyjdiesz tuż za górującym nad doliną Akrim zamkiem Glega Zaporoskanina.

— I co mi to da? — mruknął Conan, po omacku krocząc za Yuetsarą.

— Wczoraj, kiedy zaczęła się rzeź, przez chwilę walczyłem z tymi hyrkańskimi psami.

Kiedy wszyscy moi towarzysze polegli, uciekłem w głąb doliny i ukryłem się w wąwozie Divy. Zaledwie wpadłem do wąwozu, gdy znalazłem się wśród obcych wojowników, którzy pochwycili mnie i zwięzali, aby wypytywać, jak się wydostać z doliny. To byli marynarze z floty króla Yildiza, a ich przywódca nosił imię Artaban. Kiedy mnie przesłuchiwali, jakaś dziewczyna przygalopowała na spienionym wierzchowcu, a za nią horda Hyrkańczyków.

Kiedy zeskoczyła z konia i zaczęła błagać Artabana o pomoc, poznałem w niej zamorańską tancerkę, która mieszka w zamku Glega. Grad strzał rozpędził Hyrkańczyków, a później Artaban zaczął rozmawiać z dziewczyną i zapomniał o mnie. Od trzech lat Gleg trzyma w zamku więźnia. Wiem, ponieważ zanosłem do zamku ziarno i baraninę, za które płacono mi po zaporoskańsku: przekleństwami i biciem. Tym więźniem jest Teyaspa, brat króla Yildiza!

Conan nie ukrywał zdziwienia.

— Ta dziewczyna, Roxana, wyjawiała to Artabanowi, a ten poprzysiągł pomóc jej uwolnić księcia. Kiedy rozmawiali, Hyrkańczycy wrócili i zatrzymali się w bezpiecznej odległości, dysząc żądzą zemsty, lecz zachowując ostrożność. Artaban pozdrowił ich i zaczął paktować z Dayukim, nowym wodzem wybranym po śmierci Kurusz Chana. W końcu Hyrkańczycy weszli na mur z głazów, po czym podzielili się chlebem i solą z Artabanem. We troje spiskowali, jak uwolnić księcia Teyaspę i osadzić go na tronie.

Roxana znalazła sekretne przejście wiodące na zamek. Dzisiaj, tuż przed zachodem słońca, Hyrkańczycy mają zaatakować warownię. Kiedy odwrócą uwagę Zaporoskan, Artaban i jego ludzie wejdą do zamku ukrytym przejściem. Roxana otworzy im

drzwi, a oni zabiorą księcia i umkną w góry, aby werbować wojowników. Kiedy o tym mówili, zapadła noc; udało mi się przegryźć więzy i wymknąć się z ich obozu.

Chcesz zemsty. Pokażę ci, jak złapać w pułapkę Artabana. Zabij wszystkich, oszczędzając tylko Teyaspę. Możesz uzyskać za niego znaczny okup od jego matki, Khushii, lub też Yildiz sowicie ci zapłaci za jego uśmiercenie albo możesz sam posadzić go na tronie!

— Pokazuj! — rzucił niecierpliwie Conan.

Tunel o gładkim dnie, po którym trzy konie mogłyby iść obok siebie, powoli opuszczał się w dół. Od czasu do czasu niskie schodki prowadziły na niższe poziomy. Przez jakiś czas Conan nic nie widział w ciemnościach. Później mrok rozświetliła słaba poświata na przedzie. Poświata zmieniła się w srebrny blask i tunel wypełnił szum lejącej się wody.

Stali u wylotu tunelu, zasłoniętego przez kurtynę wody spadającej z urwiska powyżej. Ze spienionej sadzawki u stóp wodospadu wąski strumyk płynął w dół wąwozu. Vinashko wskazał na skalną półkę biegnącą od wylotu jaskini i omijającą sadzawkę. Conan poszedł za nim. Przeszedłszy przez cienką tafłę wody znalazł się w kanionie jakby wyciętym nożem w skale. Szeroki najwyżej na pięćdziesiąt kroków, po obu stronach był zamknięty pionowymi ścianami. Nigdzie nie było śladu roślinności, tylko nieco mchu na brzegu strumyka. Strumień wił się po dnie kanionu i nikał w wąskiej szczelinie przeciwległego urwiska.

Conan poszedł za Vinashką krętym parowem. Nim uszli trzysta kroków, stracili z oczu wodospad. Dno kanionu lekko wznosiło się. Niebawem Yuetsha zatrzymał się i złapał towarzysza za ramię. Ze skalnej ściany wyrastało krzywe drzewo

i Vinashko przycupnął za nim, pokazując coś palcem.

Za załomem kanion ciągnął się jeszcze przez jakieś osiemdziesiąt kroków i kończył się ślepo. Urwisko po lewej było dziwnie strome i Conan patrzył na nie przez chwilę, zanim zrozumiał, że spogląda na dzieło ludzkich rąk. Znaleźli się tuż za zamkiem zbudowanym w skalnej szczelinie. Mury budowli wznosiły się pionowo na skraju głębokiej przepaści. Nad tą otchłanią nie przerzucono żadnego mostu i jedynym widocznym wejściem były ciężkie, okute żelazem drzwi umieszczone wysoko w murze. Po przeciwnej stronie rozpadliny biegła wąska, skalna półka, na którą można było dostać się z miejsca, gdzie stali.

— Tą ścieżką uciekła Roxana — rzekł Vinashko. — Ten wąwóz ciągnie się niemal równolegle do Akrim. Zwęża się na zachodzie i w końcu łączy się z doliną wąską szczeliną, przez którą płynie strumień. Zaporoskanie zatarasowali ten przesmyk kamieniami, tak że ścieżki nie można dostrzec z zewnątrz, chyba że się o niej wie. Sami rzadko używają tej drogi i nie mają pojęcia o istnieniu tunelu za wodospadem.

Conan potarł ogolony podbródek. Miał wielką ochotę splądrować zamek, ale nie widział sposobu, aby się nań dostać.

— Na Kroma, Vinashko, chyba powinienem spojrzeć na tę dolinę.

Yuetssha zerknął na ogromnego Cymeryjczyka i potrząsnął głową.

— Wiedzie tam droga, którą nazywamy Drogą Orłów, lecz to nie dla takich jak ty.

— Na Ymira! Czy odziany w skóry dzikus może być lepszym wspinaczem od cymeryjskiego górala? Prowadź!

Vinashko wzruszył ramionami i poprowadził go z powrotem, aż — kiedy znów ujrzeli wodospad — zatrzymał się przy czymś,

co wyglądało jak ledwie zarysowany żleb w gładkim urwisku. Przyglądając się temu bliżej, Conan dostrzegł rząd płytkich wyźłobień wykutych w litej skale.

— Na waszym miejscu pogłębiłbym te rysy — mruknął, lecz mimo to ruszył za Vinashką, wymacując uchwyty palcami rąk i nóg. Wreszcie dotarli na grań tworzącą południową ścianę wąwozu i usiedli, zwieszając nogi nad przepaścią.

Wąwóz pod nimi wił się jak wąż. Ponad przeciwległym, niższym zboczem Conan ujrzał dolinę Akrim.

Po jego prawej stronie poranne słońce stało wysoko nad lśniącymi wodami Morza Vilayet; po lewej wznosiły się pobielone szczyty Gór Kolchijskich. Za plecami barbarzyńcy, w dole, rozpościerał się labirynt parowów, w którym gdzieś obozowali jego ludzie.

Dym wciąż unosił się nad poczerniałymi zgliszczami wiosek. W głębi doliny, na lewym brzegu rzeki, stało wiele namiotów ze skór. Conan ujrzał kręcących się wokół nich ludzi, podobnych z tej odległości do mrówek. To Hyrkańczycy, orzekł Vinashko i pokazał palcem na wylot wąskiego kanionu, w którym obozowali Turańczycy. Jednak Conana interesował głównie zamek.

Budowla była solidnie osadzona w skalnej rozpadlinie, frontem zwrócona ku dolinie, a tyłem do kanionu. Cały zamek był otoczony potężnym, siedmiometrowym murem. Od strony doliny Akrim do zamku wiodły masywne wrota ze strzegącymi zbocza wieżyczkami, zaopatrzonymi w wąskie okna dla łuczników. Stok nie był zbyt stromy — można było nań wejść lub wjechać konno, lecz nie dawał żadnej osłony.

— Tylko diabeł mógłby zdobyć ten zamek — warknął Conan. — Jak mamy wydostać królewskiego brata z tej sterty skał? Prowadź nas do Artabana, żebym mógł zabrać jego głowę nad

Zaporoskę.

— Lepiej uważaj, jeśli chcesz zachować swoją na karku — odparł Vinashko. — Co widzisz w parowie?

— Masę nagich kamieni i nieco zieleni nad brzegami strumienia.

Yuetsha wyszczerzył zęby.

— A czy zauważyłeś, że ta zieleń jest gęstsza na prawym brzegu, na którym również wyżej rośnie? Słuchaj! Zza wodospadu możemy obserwować Turańczyków nadchodzących wąwozem. Później, kiedy będą zajęci w zamku Glega, ukryjemy się w krzakach wzdłuż strumienia i napadniemy na nich, kiedy będą wracać. Zabijemy wszystkich prócz Teyaspy, którego weźmiemy żywcem. Potem wrócimy tunelem. Macie statek, którym można uciec?

— Tak — odparł Conan, podnosząc się i przeciągając. — Vinashko, czy z tego ostrza noża, na którym siedzimy, jest jakaś inna droga na dół?

— Jest szlak wiodący na wschód wzdłuż tej grani, a potem na dół, gdzie obozują twoi ludzie. Pokażę ci. Widzisz ten głąz wyglądający jak stara kobieta? Tam skręca się w prawo...

Conan uważnie słuchał wskazówek, jednak z opisu wywnioskował, że ta niebezpieczna ścieżka, bardziej nadająca się dla ptaków i kozic niż dla ludzi, nie schodziła do wąwozu pod nimi. W pewnej chwili Vinashko drgnął i zamilkł.

— Co to? — zapytał.

Z odległego obozu Hyrkańczyków wypadła gromada jeźdźców i pognąła przez płytką rzeczkę. Ostrza ich lanc migotały w słońcu. Na zamkowych murach pojawiły się sylwetki obrońców.

— To atak! — zawołał Vinashko. — Na Khosatrę i Khela! Zmienili plany, mieli zaatakować dopiero o zmierzchu! Szybko!

Musimy zejść na dół, zanim przybędą Turańczycy!

Opuścili się do płytkego żlebu i krok po kroku zeszli na dół. W końcu dotarli na dno kanionu i pospieszyli do wodospadu. Doszli do sadzawki, przeszli po skalnym występie i przekroczyli kurtynę wody. Kiedy znaleźli się w panującym za nią półmroku, Vinashko ścisnął obleczone w kolczugę ramię Cymeryjczyka. Przez huk spadającej wody barbarzyńca dosłyszał brzęk stali o kamień. Spojrzał przez srebrzystą tafłę, która sprawiała, że wszystko wydawało się dziwne i nierealne, lecz skrywała ich przed wzrokiem ludzi na zewnątrz. W samą porę schowali się w tunelu.

Wąwozem nadchodziła gromada ludzi — wysokich mężczyzn w kolczugach i owiniętych turbanami hełmach. Na ich czele maszerował człowiek wyższy od pozostałych, o czarnej brodzie i orlich rysach. Conan sapnął i chwyciwszy za rękojeść miecza zrobił krok do przodu, lecz Vinashko powstrzymał go.

— Na wszystkich bogów, panie — szepnął gorączkowo. — Nie dajmy się zabić! Mamy ich w pułapce, ale jeśli teraz wyskoczysz i...

— Nie martw się, człowieczku — rzekł Conan z ponurym uśmiechem. — Nie jestem takim głupcem, aby bezmyślnie pozbawić się zemsty.

Turańczycy przechodzili przez wąski strumień. Zatrzymali się na chwilę po drugiej stronie i zdawali się nasłuchiwać. W końcu przez szum wody dwaj mężczyźni w jaskini usłyszeli odległe krzyki.

— Atakują! — szepnął Vinashko.

Jakby czekali na ten sygnał, Turańczycy szybko pomaszerowali wąwozem. Vinashko dotknął ramienia barbarzyńcy.

— Stój tu i czekaj. Ja pójdę i przyprowadzę tu twoich piratów.

— Zatem spiesz się — rzekł Conan. — Jeżeli nie sprowadzisz ich tu na czas, wszystko diabli wezmą.

Vinashko zniknął w tunelu bezszelestnie jak cień.

W rozległej komnacie obwieszanej przetykanymi złotem draperiami, pełnej jedwabnych dywanów i atłasowych poduszek, spoczywał książę Teyaspa. Leżąc tak w jedwabiach i satynie, z kryształowym pucharem wina pod ręką, wyglądał jak uosobienie lenistwa. Jego czarne oczy miały senny wyraz, właściwy ludziom, których sny ubarwione są winem i oparami lotosu. Spoglądał na Roxanę, która wyglądała przez okno, kurczowo ściskając kraty, lecz twarz miał obojętną i niewzruszoną. Zdawał się nie słyszeć wrzasków i szczęku oręża rozbrzmiewającego na zewnątrz.

Roxana wierciła się niespokojnie, oglądając się przez ramię na księcia. Walczyła jak tygrysyca, żeby powstrzymać Teyaspę przed stoczeniem się w otchłań rezygnacji i zubożenia, jaką przygotowali dla niego wrogowie. Roxana, która nie była fatalistką, tchnęła w niego życie i ambicję.

— Już czas — westchnęła, odwracając się. — Słońce stoi w zenicie. Hyrkańczycy cwałują po stoku, poganiając wierzchowce i daremnie zasypując mury strzałami. Zaporoskanie miotają na nich kamienie i strzały, aż całe zbocze jest zasłane trupami, ale koczownicy atakują jak szaleni. Muszę się spieszyć. Jeszcze zasiądziesz na złotym tronie, ukochany!

W przyływie uwielbienia padła mu do nóg i ucałowała czubki jego pantofli, po czym wstała i wybiegła do następnej komnaty, w której niemi czarni niewolnicy dzień i noc trzymali straż. Przeszła korytarzem na dziedziniec leżący na tyłach zamku. Chociaż Teyaspie nie wolno było wychodzić samemu z kwatery, dziewczyna mogła chodzić gdzie i kiedy chciała.

Przeszedłszy przez dziedziniec podeszła do bramy wychodzącej na wąwóz. Pilnował jej jeden wojownik, niezadowolony, że nie może wziąć udziału w walce. Chociaż tyły zamku wydawały się całkowicie bezpieczne, przezorny Gleg i tu postawił wartownika. Strażnik był Sogdiańczykiem, na głowie miał futrzaną czapkę założoną na bakier. Wsparty na pice, groźnie zmarszczył brwi, widząc Roxanę.

— Co tu robisz, kobieto?

— Boję się. Te krzyki i jęki przerażają mnie, panie. Księżę pograżył się w śnie wywołanym czarnym lotosem i nie ma kto się mną zaopiekować.

Jej przestkach i błagania rozpałyby krew umarłemu. Sogdiańczyk pogładził swoją gęstą brodę.

— Nie, nie obawiaj się, mała gazelo — rzekł. — Zaopiekuję się tobą.

Położył jej na ramieniu dłoń o czarnych paznokciach i przyciągnął do siebie.

— Nie spadnie ci nawet włoszek z głowy. Ja... Aaa!

Przytulona do niego Roxana ukradkiem wyjęła zza pazuchy sztylet i wbiła mu go w gardło. Sogdiańczyk jedną ręką kurczowo ścisnął czarną brodę, a drugą złapał za rękojeść sztyletu. Zachwiał się i runął na ziemię. Roxana wyjęła mu zza pasa pęk kluczy i podbiegła do wrót. Otworzyła je na oścież i cicho krzyknęła z radości, widząc Artabana i jego Turańczyków na skalnej półce po drugiej stronie przepaści. W bramie leżała gruba deska używana jako pomost, lecz o wiele za ciężka, aby dziewczyna mogła ją ruszyć. Uśmiech losu pozwolił jej skorzystać z tego mostu poprzednim razem, ponieważ w wyniku rzadkiej na zamku nieostrożności pozostawiono deskę na miejscu.

Teraz Artaban rzucił jej linę, którą przywiązała do zawiasów

bramy. Pół tuzina krzepkich wojowników chwyciło drugi koniec liny, a trzech mężczyzn zawisło na niej, by przejść na drugą stronę. Przerzucili deskę, po której ruszyli następni.

— Dwudziestu ludzi niech pilnuje mostu — rzucił Artaban. — Reszta za mną.

Żeglarze dobyli broni i ruszyli za swoim wodzem. Artaban poprowadził ich szybko za cicho kroczącą dziewczyną. Kiedy weszli do zamku, napotkali jakiegoś sługę, który na ich widok wybałuszył oczy. Zanim zdążył krzyknąć, ostry jak brzytwa jatagan Dayukiego przeciął mu krtań i cały oddział wpadł do komnaty, gdzie dziesięciu niemych zerwało się na równe nogi, chwytając za broń. Wywiązała się zażarta, cicha potyczka, całkowicie bezgłówna, jeśli nie liczyć świstu i brzęku stali oraz dyszenia rannych. Trzej Turańczycy zginęli, ale pozostali po posiekanych ciałach czarnych strażników wbiegli do drugiej komnaty.

Teyaspa wstał, a w jego spokojnych oczach pojawił się dziwny błysk, gdy Artaban dramatycznie ukląkł przed nim i podał mu rękojeść okrwawionej szabli.

— Oto wojownicy, którzy zdobędą dla ciebie tron! — zawołała Roxana.

— Ruszajmy stąd, zanim te zaporoskańskie psy nas odkryją! — rzekł Artaban.

Jego ludzie ciasnym kołem otoczyli Teyaspę. Szybko przebiegli przez komnaty, przeszli przez dziedziniec i dotarli do bramy. Jednak na zamku usłyszano brzęk stali. Kiedy oddział Artabana przechodził przez most, z tyłu rozległy się donośne wrzaski. Na dziedziniec wypadł potężnie zbudowany człowiek w jedwabiach i stali, a za nim pięćdziesięciu ludzi zbrojnych w łuki i miecze.

— Gleg! — krzyknęła Roxana.

— Zrzućcie deskę! — ryknął Artaban, skacząc w kierunku pomostu.

Po obu stronach wąwozu zabręczały cięciwy, aż powietrze nad mostem pociemniało od strzał. Padło kilku Zaporoskan, ale zginęli też dwaj Turańczycy próbujący strącić deskę i na pomost wbiegł Gleg, tocząc groźnym spojrzeniem zimnoszarych oczu. Artaban spotkał się z nim pierś w pierś. Błysnęła stal, seymitar Turańczyka, omijając ostrze Glega, przeciął jego osłonę karku i sam muskularny kark. Gleg zachwiał się i z rozpaczliwym krzykiem runął w przepaść.

W mgnieniu oka Turańczycy zrzucili pomost. Po drugiej stronie kanionu Zaporoskanie zawyli wściekle i zaczęli słać pierzaste strzały najszybciej, jak umieli. Zanim biegnący po skalnej półce Turańczycy znaleźli się poza ich zasięgiem, padło następnych trzech, a paru innych było lekko rannych od tego gradu strzał. Artaban klął ze złością.

— Wszyscy oprócz sześciu macie iść naprzód i sprawdzić, czy droga jest wolna! — rozkazał. — Ja pójdę za wami z księciem. Panie, nie mogłem przyprowadzić konia do tego parowu, ale każę tym psom zrobić nosze z włóczni i...

— Niech bogowie bronią, abym miał jechać na ramionach moich wyzwoliciele! — zawołał Teyaspa. — Znów jestem mężczyzną! Nigdy nie zapomnę tego dnia!

— Bogom niech będą dzięki! — szepnęła Roxana.

Dotarli już do wodospadu. Oprócz małej grupki idącej z tyłu cały oddział przeszedł przez strumień i wdrapywał się na lewy brzeg, kiedy rozległ się donośny brzęk ciętyw, jakby jakaś ogromna ręka szarpnęła struny niewidocznej harfy. Chmura strzał przeleciała z sykiem nad strumieniem, a potem następna, i jeszcze jedna. Turańczycy w pierwszym szeregu padli jak ścięci

kosą, a pozostali zawrócili z krzykiem.

— Psie! — wrzasnął Artaban, odwracając się do Dayukiego. — To twoja sprawka.

— Czy kazałbym moim ludziom strzelać do mnie? — pisnął Hyrkańczyk, a jego smagła twarz pobieląła. — To jakiś nowy nieprzyjaciel!

Przeklinając, Artaban pobiegł wąwozem do swoich przerażonych wojowników. Wiedział, że Zaporoskanie przerzucą jakiś pomost nad przepaścią i dościgną go, biorąc w dwa ognie.

Nie miał pojęcia, kim może być ten nowy wróg. Od zamku dochodził bitewny zgiełk; nagle wydało mu się, że łoskot podków, wrzaski i szczęk dobiegają z głębi doliny. Jednak w tym wąskim, zniekształcającym dźwięki parowie nie był tego pewien.

Turańczycy nadal padali od strzał słanych przez niewidocznych wrogów. Kilku na oślep szyło z łuków w krzaki. Artaban powstrzymał ich, krzycząc:

— Głupcy! Po co marnować strzały? Chwyćcie za miecze i za mną!

Pozostali Turańczycy zaatakowali z furią zrodzoną z rozpacz, w rozwianych płaszczach i z roziskrzonym wzrokiem. Strzały powaliły kilku, lecz pozostali przedarli się na drugi brzeg.

Wtedy z gęstych zarośli wynurzyły się jakieś postacie, półnagie lub zakute w stal, z mieczami w garści.

— Na nich! — ryknął znajomy głos. — Bij, zabij! Na widok piratów Vilayet w turańskich szeregach podniósł się krzyk zdumienia. W następnej chwili z łoskotem wpadli na siebie.

Zgrzyt i szczęk stali przetoczyły się echem po wąwozie. Pierwsi Turańczycy, którzy wdrapali się na wyższy brzeg, z rozplatanymi głowami runęli z powrotem do strumienia. Wtedy piraci wypadli na brzeg, aby spotkać się z wrogiem twarzą w twarz, po kolana w

wodzie, która wkrótce stała się szkarłatna od krwi. Piraci i Turańczycy zabijali się ze ślełą furją, a krew i pot zalewały oczy walczących.

Dayuki wpadł jak burza w to kłębówisko i ostrzem swego jatagana rozplątał głowę jakiegoś pirata. Vinashko skoczył na niego z gołymi rękami, wrzeszcząc przeraźliwie.

Hyrkańczyk cofnął się, przerażony szaleństwem malującym się w wykrzywionych rysach Yuetschy, lecz ten złapał go za gardło i zatopił zęby w jego szyi. Zawisł na nim, wgryzając się coraz silniej i nie zważając na sztylet, który Dayuki raz po raz zatapiał w jego boku. Krew oblała mu twarz, aż nagle obaj stracili równowagę i upadli w wodę. Spleceni w uścisku popłynęli z prądem, przewalając się w nurcie, aż obaj zniknęli w nim na zawsze.

Turańczycy zostali wyparci na lewy brzeg, gdzie stoczyli ostatnią, krótką walkę. Później poszli w rozsypkę i zaczęli uciekać w kierunku miejsca, gdzie w cieniu urwiska stał księżę Teyaspa, razem z gromadką wojowników, których Artaban przydzielił mu do ochrony.

Trzykrotnie próbował dobyć miecza i rzucić się w wir walki, ale Roxana powstrzymała go, łapiąc za kolana. Artaban wyrwał się z kłębówiska walczących i pospieszył do Teyaspy. Miecz admirała był zboczony krwią po rękojeść, zbroja pogięta, a spod okapu hełmu spływała mu strużka krwi.

Za nim przez ciżbę przedzierał się Conan, dzierżąc w potężnej pięści wielki miecz. Powalał nim przeciwników, rozwalając puklerze, rozbijając hełmy, przecinając zbroje, ciała i kości.

— Hej, łotry! — ryknął swą barbarzyńską hyrkańszczyzną. — Chcę twojej głowy,

Artabanie, a także tego człowieka, który stoi obok ciebie! Nie

obawiaj się, mój śliczny książę, nic ci nie zrobię.

Rozglądający się za jakąś drogą ucieczki Artaban dostrzegł płytki żleb i domyślił się, do czego służy.

— Szybko, mój panie! — szepnął. — Do góry! Wspinaj się; ja zatrzymam tego barbarzyńcę!

— Tak, pospiesz się! — ponagliła Roxana. — Pójdę za tobą!

Jednak książę Teyaspa znów popadł w fatalistyczny nastrój. Wzruszył ramionami.

— Nie. Widocznie bogowie nie chcą, żebym zasiadł na tronie. Któż umknie przed swoim przeznaczeniem?

Roxana wydzierała sobie włosy z głowy. Artaban wsunął miecz do pochwy, podbiegł do żlebu i ze zręcznością marynarza zaczął się piąć w górę. Jednak Conan dopadł go, chwycił za nogę i rzucił na dół, jak wieśniak ściągający kurę z grzęd. Artaban z łoskotem spadł na ziemię. Gdy próbował przetoczyć się na bok, Cymeryjczyk pchnął go mieczem, przebijając ogniwa kolczugi i ciało, aż ostrze zagłębiło się w ziemię. Nadbiegli pozostali piraci. Teyaspa rozłożył ręce, mówiąc:

— Bierzcie mnie, jeśli chcecie. Jestem Teyaspa.

Roxana zachwiała się, kryjąc twarz w dłoniach. Nagle błyskawicznie wyrwała sztylet i wbiła go w serce księcia, który padł martwy u jej stóp. Gdy upadł, skierowała ostrze we własną pierś i osunęła się na ziemię obok kochanka. Jęcząc, wzięła jego głowę w ramiona, podczas gdy stojący wokół piraci patrzyli na to ze zgrozą, niczego nie pojmując.

Jakiś dźwięk w górze kanionu sprawił, że podnieśli głowy. Była ich ledwie garstka; zmęczonych i wyczerpanych bitwą, w szatach mokrych od wody i krwi.

— Jacyś ludzie nadchodzą wąwozem — rzekł Conan. — Wracajmy do tunelu.

Posłuchali go z pewnym wahaniem, jakby niezupełnie rozumieli co powiedział. Zanim ostatni z nich wszedł za kurtynę wodospadu, ścieżką prowadzącą do zamku nadbiegli pierwsi wojownicy. Conan, poganiając szturchańcami i przekleństwami wlokących się z tyłu, obejrzał się i zobaczył, że wąwóz wypełnił się zbrojnymi. Rozpoznał futrzane czapki Zaporoskan, a wśród nich białe turbany Gwardii Imperialnej z Aghrapuru. Jeden z gwardzistów nosił pęk rajskich piór przyczepionych do turbana i Cymeryjczyk ze zdziwieniem rozpoznał w nim generała Gwardii Imperialnej, trzeciego człowieka w hierarchii turańskiego imperium.

Generał dostrzegł Conana oraz jego wojowników i natychmiast wydał rozkaz. Gdy barbarzyńca, idąc jako ostatni w szeregu, przeszedł przez wodospad, spory oddział Turańczyków odłączył się od głównych sił i ruszył biegiem w kierunku sadzawki.

Conan krzyknął do swoich ludzi, aby uciekali, po czym odwrócił się i stanął u wylotu tunelu, uzbrojony w puklerz zabitego Turańczyka oraz swój wielki miecz.

Po chwili pierwszy gwardzista przeszedł przez wodną kurtynę. Otworzył usta do krzyku, lecz ten dźwięk przerwało głucho młaśnięcie, z jakim długie ostrze barbarzyńcy przecięło mu kark. Głowa i tułów nieszczęśnika osobno potoczyły się po skalnej półce i wpadły do sadzawki. Drugi gwardzista zdążył wymierzyć cios ogromnej postaci, która stanęła mu na drodze, lecz jego miecz odbił się od tarczy Cymeryjczyka. W mgnieniu oka runął do sadzawki z rozplataną czaszką.

Rozległy się wściekłe wrzaski, częściowo stłumione przez huk spadającej wody. Conan przywarł do ściany tunelu i za moment chmura strzał ze świstem wleciała do tunelu, niosąc ze sobą

krople wody i grzechocząc na kamieniach.

Barbarzyńca rzucił okiem za siebie i stwierdził, że jego ludzie zniknęli w ciemnościach. Pobiegnął za nimi, tak że gwardziści, którzy po chwili wpadli do tunelu, nie zastali już nikogo. Tymczasem w wąwozie rozległy się okrzyki przerażenia, gdy nowo przybyli zatrzymali się na pobojuwisku. Generał stanął przy martwym księciu i umierającej dziewczynie.

— To księżę Teyaspa! — krzyknął.

— Już nic mu nie zrobicie — szepnęła Roxana. — Uczyniłabym go królem, ale odebraliście mu męskość... zabiłam go więc.

— Ale ja przynoszę mu koronę Turanu! — krzyknął generał. — Yildiz nie żyje, a lud zbuntuje się przeciw jego synowi, Yezdigerdowi, jeśli będzie miał kogo poprzeć...

— Za późno! — szepnęła Roxana i jej czarna głowa opadła na ramię.

Conan biegł korytarzem, słysząc za sobą wzmocniony przez echo tupot nóg ścigających go Turańczyków. W miejscu, gdzie tunel wychodził na wielki komin o ścianach poznaczonych otworami grobowców zapomnianej rasy, ujrzał swoich ludzi, kręcących się niepewnie w dole: jedni spoglądali na syczący płomień, inni w górę, na schody, po których zeszli.

— Idźcie na statek! — krzyknął, przykładając dłonie do ust. Krzyk odbił się od czarnych, owalnych ścian.

Piraci pobiegli szczeliną prowadzącą do wyjścia. Conan znów się odwrócił i oparł o ścianę tuż przy wylocie tunelu. Kroki nadchodzących żołnierzy przybliżały się.

Z otworu wyskoczył gwardzista. Miecz barbarzyńcy znów świsnął w powietrzu, przecinając kolczugę i kręgosłup Turańczyka. Trafiony z wrzaskiem spadł z występu. Z impetem potoczył się po spiralnych schodach i runął w dół. Jego ciało

trafiło w otwór, z którego wychodził płomień i utkwiło w nim jak korek w butelce. Płomień zgasł z cichym pyknięciem, pogrążając rozpadlinę w półmroku, słabo rozjaśnianym przez widoczne wysoko w górze niebo.

Conan nie widział, jak trup spadał na dół, ponieważ wpatrywał się w wylot korytarza, oczekując następnego wroga. Kolejny gwardzista wyrzwał z tunelu, lecz natychmiast uskokzył przed morderczym pchnięciem Cymeryjczyka. W tunelu rozległy się głośne krzyki; strzała przeleciała Conanowi koło ucha i uderzywszy o ścianę po drugiej stronie rozpadliny roztrzaskała się na czarnych kamieniach.

Barbarzyńca odwrócił się i zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie na raz. Kiedy znalazł się na dole, zobaczył Ivanosa wpychającego ostatnich piratów do szczeliny, jakieś dziesięć kroków dalej. Na lewo od niej, wysoko nad głową Cymeryjczyka, turańscy gwardziści wypadli z tunelu i zaczęli zbiegać po schodach. W kierunku biegnącego barbarzyńcy poleciało kilka strzał, ale z powodu panujących ciemności żadna nie była celna.

Jednak w chwili, gdy Conan dotarł na dół, pojawiły się inne istoty. Ze zgrzytliwym dźwiękiem skalne bloki zamykające wejścia do grobowców wsunęły się w głąb; najpierw kilka, potem całe tuziny. Niczym rój larw wydobywających się z kokonów mieszkańcy grobowców wypełzli na zewnątrz. Conan nie zdążył zrobić trzech kroków w kierunku szczeliny, gdy tuzin tych stworów zastąpił mu drogę.

Były nieco podobne do ludzi, ale białe i bezwłose, a ponadto wychudłe, jakby po długim poście. Palce rąk i nóg miały zakończone wielkimi, ostrymi pazurami. Miały wielkie, wybałuszone ślepie osadzone w twarzach bardziej

przypominających pyski nietoperzy — z wielkimi, sterczącymi uszami i małymi, spłaszczonymi nosami oraz szerokimi wargami, które rozchylały się, ukazując ostre jak igły zębiska.

Pierwsze znalazły się na dnie rozpadliny te stwory, które wypełzły z najniżej położonych krypt. Jednak wyższe grobowce również się otwierały, wypuszczając setki nowych, które szybko schodziły w dół na szponiastych łapach. Te, które zeszły pierwsze, dostrzegły wchodzących w szczelinę piratów. Pokazując ich sobie szponiastymi łapami i skrzecząc przeraźliwie, rzuciły się w pościg.

Conan, któremu na ten widok włosy na głowie stanęły dęba ze zgrozy, rozpoznał w tych stworzeniach straszliwe bryluki z zaporoskańskich legend — istoty nie będące ani ludźmi, ani zwierzętami czy demonami, lecz wszystkim tym po trosze. Ich niemal ludzka inteligencja służyła im do zaspokajania zwierzęcej żądzы ludzkiej krwi, podczas gdy nadnaturalne zdolności umożliwiały im przetrwanie nawet w zamkniętych przez wieki grobowcach. Te stwory ciemności powstrzymywał palący się wiecznie ogień. Kiedy zgasł, wyszły na świat równie żarłoczne jak zawsze i jeszcze bardziej złąknione krwi.

Te, które wylądowały koło Conana, rzuciły się na niego z pazurami. Barbarzyńca wydał nieartykułowany okrzyk i okręcił się na pięcie, zataczając szeroki łuk swoim mieczem, aby powstrzymać napastników. Ostrze ścięło głowę jednemu potworowi, drugiemu odrąbało ramię, a trzeciego rozplątało na pół. Mimo to stwory nadal napierały, chichocząc z podniecenia, zaś na spiralnych schodach rozległy się wrzaski pierwszych Turańczyków, gdy bryluki zaczęły ich atakować z góry i z dołu, zatapiając szczęki i pazury w ich ciałach.

Schody zapełniły się kłębowiskiem walczących postaci.

Turańczycy rąbali jak szaleni atakujące ich potwory. Grupa składająca się z jednego gwardzisty i kilku szarpiących go bryluków zleciała ze schodów i uderzyła o dno rozpadliny. Wejście do szczeliny było całkowicie zatarasowane przez chichoczące potwory, usiłujące wepchnąć się w nią i ścigać piratów. Conan w mgnieniu oka zdał sobie sprawę z tego, że znalazł się w pułapce bez wyjścia. Rycząc wściekle, pobiegł w innym kierunku, niż spodziewały się bryluki. Uskakując i zygzakując, błyskając w ciemnościach ostrzem miecza dotarł do ściany pod występem znajdującym się w górze, przy wejściu do tunelu, zostawiając za sobą kilka nieruchomych lub wijących się na ziemi potworów. Ostre pazury szarpały go, gdy biegł, ześlizgując się po kolczudze, rozdzierając mu odzienie i rozdrapując do krwi ramiona i nogi.

Gdy dotarł do ściany, upuścił puklerz, chwycił miecz w zęby, podskoczył i chwycił krawędź otworu w trzecim rzędzie od dołu, a był to grobowiec już opuszczony przez mieszkańca. Z małą zręcznością cymeryjskiego górala zaczął pięć się w górę, używając otworów jako uchwytów dla rąk i nóg. W pewnej chwili, kiedy jego twarz znalazła się na wysokości kolejnej dziury, wychynął z niej odrażający nietoperzy pysk wyłazącego bryluki.

Conan zamachnął się i rąbnął pięścią w wyszczerzone zęby: chrupnęły kości. Nie sprawdzając skutków ciosu, wspinał się dalej.

W dole inne bryluki ruszyły w pogoń. Conan podciągnął się, sapnął i wreszcie stanął na występie. Gwardziści idący za tymi, którzy jako pierwsi wypadli na schody, widząc, co się dzieje, zawrócili i uciekli tunelem. Kilka bryluków dopadło otworu w tej samej chwili, gdy znalazł się przy nim barbarzyńca.

Zanim zdążyły się odwrócić, wpadł na nie jak burza. Całe i porąbane ciała posypały się z półki, strącone szerokim zamachem straszliwego miecza. Przez moment na występie nie było ani jednego skrzeczącego potwora. Cymeryjczyk wpadł do tunelu i pognał, ile sił w nogach.

Przed nim biegło kilka wampirów, a przed nimi umykający gwardziści. Conan, dochodząc bryluki od tyłu, ciął raz po raz, aż pozostawił za sobą wszystkie, wijące się we własnej krwi.

Biegł dalej, aż dotarł do wylotu korytarza, gdzie ostatni gwardziści właśnie przeskakiwali przez ścianę wody.

Obejrzawszy się przez ramię, Conan ujrzał hordeę bryluków pędzących za nim z nastawionymi szponami. Teraz on wyskoczył na zewnątrz i znalazł się w miejscu niedawno stoczonych bitwy z Turańczykami. Opodal stał generał z resztą swojej eskorty, krzycząc i wymachując rękami na widok towarzyszy wyłaniających się z wodospadu i zbiegających na dół. Kiedy Conan pojawił się tuż za ostatnim z nich, krzyki nie ucichły, dopóki nie przerwał ich donośny okrzyk generała: — To jeden z piratów! Strzelajcie!

Pędzący po skalnej półce barbarzyńca był już w połowie drogi do żlebu wiodącego na górę. Ci przed nim, którzy dopiero co zbiegli na dno wąwozu, odwrócili się i wytrzeszczyli oczy, kiedy minął ich, gnając z taką szybkością, że wszystkie wysłane przez łuczników strzały zagrzechotały na skałach daleko za jego plecami. Zanim zdążyli po raz drugi napiąć cięciwy, Conan już był przy szczelinie wiodącej na grań.

Wskoczył do żlebu, który na chwilę skrył go przed strzałami Turańczyków stojących wokół generała. Wymacując wycięcia rękami i nogami, piął się w górę jak mała. Zanim Turańczycy otrząsnęli się z zaskoczenia i pobiegłszy w górę wąwozu ustawili

się naprzeciw żlebu, skąd mogli dobrze celować, Conan wspiał się już na znaczną wysokość i szybko posuwał się w górę.

Kolejna chmura strzał zagrzechotała wokół barbarzyńcy, odbijając się od skały. Kilka dosięgło celu, ale zatrzymała je stalowa kolczuga. Parę innych utkwiło w jego odzieży i zaplątało się w fałdach szat. Jedna trafiła go w prawe ramię — jej grot przeszedł mu tuż pod skórą i wyszedł na zewnątrz.

Klnąc wściekle, Conan wyrwał pocisk z rany, odrzucił i wspinał się dalej. Krew płynęła mu po ramieniu i ściekała po ciele. Zanim łucznicy wystrzelili ponownie, był już tak wysoko, że dolatujące strzały nie mogły mu już wyrządzić żadnej krzywdy. Jedna uderzyła w jego but, ale nie zdołała go przebić.

Piął się wyżej i wyżej, a Turańczycy w dole stawali się coraz mniejsi. Kiedy znalazł się poza zasięgiem ich strzał, przestali strzelać. Barbarzyńca pochwycił uchem strzepy kłótni.

Generał chciał, aby jego ludzie wspięli się żlebem za Conanem, a gwardziści protestowali, mówiąc, że to daremny trud, bo wystarczy mu poczekać na górze i ścinać głowy wchodzącym, jednemu po drugim. Conan uśmiechnął się ponuro.

W końcu dotarł na grań. Siadł na niej, opuszczając nogi za krawędź i obandażował sobie ranę pasami materiału, oddartymi z odzienia, jednocześnie rozglądając się wokół. Zerkając nad przeciwległym zboczem w dolinę Akrim ujrzał odzianych w baranice Hyrkańczyków umykających co koń wyskoczy na wzgórze, ściganych przez jeźdźców w błyszczących zbrojach — turańskich żołnierzy. W dole Turańczycy i Zaporoskanie biegali jak rozzłoszczone mrówki i w końcu ruszyli wąwozem do zamku, pozostawiając kilku strażników na wypadek, gdyby Conan chciał zejść żlebem na dół.

Po dłuższej chwili Conan wstał, przeciągnął się i skierował

wzrok na wschód, ku Morzu Vilayet. Drgnął, gdy dojrzał tam jakiś statek i osłoniwszy oczy dłonią dostrzegł, iż była to turańska galera wypływająca z ujścia strumienia, gdzie Artaban zostawił swój okręt.

— Na Kroma! — mruknął barbarzyńca. — A więc ci tchórze wskoczyli na pokład i odbili nie czekając!

Uderzył pięścią w dłoń, pomrukując wściekle jak rozdrażniony niedźwiedź. Później uspokoił się i wybuchnął śmiechem. Niczego innego nie powinien oczekiwać. Zresztą i tak miał już dosyć tych hyrkańskich krain, a na zachodzie było jeszcze wiele krajów, jakich nigdy nie odwiedził.

Zaczął szukać niebezpiecznego zejścia z grani, które pokazał mu Yinashko

NARODZI SIĘ CZAROWNICA

Conan chwytając wierzchowca nabitego hyrkańskiego gwardzisty i rusza z powrotem na stepy do swoich przyjaciół — kozaków. Jednak okazuje się, że Wolni Towarzysze poszli w rozsypkę.

Zasiadający teraz na tronie Turanu Yezdigerd okazał się znacznie bardziej stanowczym i energicznym władcą niż jego rodzic. Wykorzystuje majątki i energię niedoszłych rywali do realizacji swoich imperialnych planów, które uczynią go monarchą największego imperium Ery Hyboryjskiej.

Kilkakrotnie wymknąwszy się turańskim patrolom Conan dociera do małego, pogranicznego królestwa Khauranu, leżącego między wschodnim krańcem Koth a stepami i pustyniami, które Turańczycy metodycznie przyłączają, do swojego państwa. Conan wstępuje na służbę królowej Khauranu, Taramis, i niebawem zostaje dowódcą królewskiej gwardii.

KRWAWOCZERWONY PÓŁKSIĘŻYC

Taramis, królowa Khauranu, obudziła się z niespokojnej drzemki. Wokół panowała cisza, bardziej przystająca do martwoty mrocznych katakumb niż pałacowych komnat. Taramis leżała, spoglądając w ciemność, zastanawiając się, dlaczego zgasły świece w złotych kandelabrach. Za złotymi kratami okna widziała usiane gwiazdami niebo, nie rozjaśniające wnętrza pokoju. Jednak leżąc na swoim posłaniu, zdała sobie sprawę z tego w ciemności, że przed nią jarzy się jakaś dziwna poświata. Spojrzała ze zdumieniem. Plama rosła, stawała się jaśniejsza i szersza — coraz większy dysk upiornego blasku, unoszący się na tle ciemnych, aksamitnych draperii na przeciwległej ścianie. Taramis wstrzymała oddech i usiadła na łożu.

W kręgu światła pojawił się jakiś ciemniejszy przedmiot... ludzka głowa.

W przypływie paniki królowa otworzyła usta, aby wezwać służbę, lecz krzyk zamarł jej na ustach. Poświata rozjarzyła się mocniej i głowa stała się lepiej widoczna. To była głowa kobiety — mała i kształtna, dumnie podniesiona, okolona wysoko upiętymi, lśniącymi czarnymi włosami. Rysy twarzy były teraz wyraźniejsze i to na ich widok krzyk zamarł Taramis w gardle. To była jej twarz! Równie dobrze mogłaby patrzeć w lekko zniekształcające lustro, przydające jej odbiciu tygrysi błysk w

oku i złośliwie ściągnięte wargi.

— Na Isztar! — szepnęła Taramis. — Ktoś rzucił na mnie urok!

Ku jej przerażeniu zjawa przemówiła, głosem ociekającym słodyczą, jak zatruty miód.

— Urok? Nie, miła siostró! To nie czary.

— Siostró? — wykrztusiła zdumiona dziewczyna. — Ja nie mam siostry.

— I nie miałaś siostry? — zapytał słodki głos ze zjadliwą drwiną. — Nigdy nie miałaś siostry bliźniaczki o ciele równie miękkim jak twoje i równie podatnym na pieszczoty i rany?

— No... kiedyś miałam siostrę — odparła Taramis, nadal przekonana, iż ma koszmarne sen. — Ale ona umarła.

Piękną twarz w kręgu wykrzywił grymas wściekłości; stała się tak straszna, że Taramis zadrżała, niemal spodziewając się, iż czarne loki zmienią się w wijące się z sykiem cielska węży.

— Kłamiesz! — prychnęły oskarżycielsko wykrzywione wargi. — Ona nie umarła! Ty głupia! Och, dość tego bełkotu! Patrz — i niech ten widok cię oślepi!

Nagle po draperiach przeleciały błyski światła, jak płonące węże, i nieoczekiwanie świece w złotych lichtarzach znów zaczęły płonąć. Taramis skuliła się na posłaniu, podwinąwszy pod siebie zgrabne nogi i spoglądając szeroko otwartymi oczami na upozowaną przed nią, gibką postać. Patrzyła na drugą Taramis, o identycznych rysach twarzy i takim samym ciele, lecz posiadającą inną, okropną osobowość. Twarz tej kobiety odzwierciedlała cechy charakteru całkowicie przeciwstawne tym, jakie posiadała królowa. W błyszczących oczach czaiły się żądza i wyrachowanie, a wygięcie pełnych, czerwonych warg zdradzało okrucieństwo. Każdy ruch jej gibkiego ciała był skrajnie prowokujący. Uczesanie imitowało fryzurę królowej, a

na nogach miała wysadzone klejnotami pantofelki, takie same, jakie Taramis nosiła w swoim buduarze. Głęboko wcięta jedwabna tunika bez rękawów przepasana w talii szarfą ze złotogłowi była dokładną repliką nocnego stroju królowej.

— Kim jesteś? — szepnęła Taramis, czując zimny dreszcz przelatujący jej po krzyżu.

— Wyjaśnij, co tu robisz, zanim każę moim pokojówkom wezwać straż!

— Możesz wrzeszczeć do woli — odpowiedziała obojętnie tamta. — Twoje dziwki nie obudzą się do rana, nawet gdyby cały pałac stanął w płomieniach. Strażnicy też nie usłyszą twoich wrzasków — zostali odesłani w inne skrzydło pałacu.

— Co takiego? — wykrzyknęła Taramis, urażona w swej królewskiej dumie. — Kto odważył się wydać moim wartownikom taki rozkaz?

— Ja, miła siostró — parsknęła druga dziewczyna. — Przed chwilą, zanim tu weszłam.

Myśleli, że jestem ich uwielbianą królową. Ha! Jak pięknie zagrałam twoją rolę! Z jaką władczą godnością, pełną kobiecej słodyczy, zwróciłam się do tych durniów klęczących w swoich szyszakach i pancerzach!

Taramis miała wrażenie, że oplatała ją lepka, pajęcza sieć.

— Kim jesteś? — zawołała z rozpaczą. — Co to za koszmar? Po co tu przyszłaś?

— Kim jestem? — syknęła tamta jak rozwścieczona kobra. Podeszła do skraju posłania, ścisnęła silnie białe ramiona królowej i pochyliwszy się, utkwiała spojrzenie w przerażonych oczach Taramis. Pod wpływem tego hipnotycznego wzroku królowa zapomniała o niebywałej zniewadze, jaką było takie gwałtowne dotknięcie ciała monarchini.

— Głupia! — wycedziła tamta przez zaciśnięte zęby. — Jak możesz pytać? Jak możesz wątpić? Jestem Salome!

— Salome! — wyszeptała Taramis i włosy na głowie stanęły jej dęba, gdy zdała sobie sprawę z implikacji tego niewiarygodnego stwierdzenia. — Myślałam, że umarłaś przy narodzinach — powiedziała słabym głosem.

— Wielu tak sądziło — odpowiedziała kobieta przedstawiająca się jako Salome. —

Zostawili mnie na pustyni, żebym umarła, niech ich diabli! Mnie, płaczącego noworodka, którego życie było tak wątłe jak płomyczek świecy. A wiesz dlaczego zanieśli mnie na pustynię?

— Słyszałam... Słyszałam, że... — jąkała Taramis. Salome zaśmiała się ochryple i dotknęła ręką biustu. Głęboko wcięta tunika odsłaniała jej pełne piersi, między którymi widniało dziwne znamię — czerwony jak krew półksiężyc.

— Znamię czarownicy! — krzyknęła Taramis, cofając się.

— Tak! — śmiech Salome był przepojony nienawiścią. — Przekleństwo władców Khauranu! O tak, powtarzają tę historię na targowiskach, potrząsając brodami i wywracając oczyma, biedni głupcy! Mówią, jak to pierwsza królowa z naszego rodu oddała się demonowi ciemności i miała z nim córkę, która do dziś żyje w strasznych legendach. I od tej pory w każdym stuleciu w askhaurańskiej dynastii rodzi się dziewczynka ze szkarłatnym półksiężycem na piersiach, mówiącym o jej przeznaczeniu.

Co sto lat narodzi się czarownica — tak brzmiała prastara klątwa. I spełniła się. Niektóre zabijano przy narodzinach, tak jak próbowano zabić mnie. Inne stąpały po ziemi jako czarownice, dumne córki Khauranu, z piekielnym półksiężycem wypalonym na białych piersiach. Każdą nazywano Salome. Ja również jestem Salome. Zawsze była to czarownica Salome. I zawsze będzie,

nawet wtedy, gdy lodowe góry z rykiem spłyną z biegunów i zetrą cywilizacje na proch, a z popiołów i zgliszcz powstanie nowy świat — nawet wtedy Salome będzie kroczyć po ziemi, by rzucać swe czary na serca mężczyzn, aby tańczyć przed władcami i patrzeć, jak z jej powodu spadają głowy mędrców.

— Przecież... Przecież ty... — wyjąkała Taramis.

— Ja? — błyszczące oczy płonęły jak mroczne ognie piekieł. — Wywieźli mnie na pustynię, daleko od miasta, i zostawili nagą na rozprażonym piasku, pod palącym słońcem. A potem odjechali, pozostawiając mnie na żer szakalom, sępom i pustynnym wilkom. Jednak płomień życia w moim ciele palił się silniej niż w ciele zwykłego ludzkiego dziecka, ponieważ podsycali go moce z czarnych otchłani, których nie ogarnie rozum śmiertelnika.

Mijały godziny i słońce prażyło jak piekielne ognie, lecz ja nie umarłam... O tak, pamiętam to cierpienie, słabo i jakby przez mgłę, jak pamięta się koszmary, zły sen. Potem pojawiły się wielbłądy i żółtoskórzy ludzie, którzy nosili jedwabne szaty i mówili dziwnym językiem.

Zabłądziwszy na pustyni przechodzili opodal i ich przywódca dostrzegł mnie i rozpoznał szkarłatny znak na mojej piersi. Zabrał mnie i dał mi życie.

Był czarnoksiężnikiem z dalekiego Khitaju, wracającym w rodzinne strony z podróży do Stygii. Wziął mnie ze sobą do Paikangu o purpurowych wieżach i minaretach wznoszących się pośród bambusowej dżungli, gdzie pod jego opieką dorosłam i stałam się kobietą. Wiek przydał mu mądrości, wcale nie ujmując mocy. Nauczył mnie wielu rzeczy... Urwała, uśmiechając się zagadkowo, a w jej czarnych oczach pojawiły się dziwne błyski.

Później potrząsnęła głową.

— W końcu wygnał mnie, mówiąc, że mimo jego wysiłków

jestem tylko zwykłą czarownicą, niezdolną pojąć tajemnic magii, które zamierzał mi wyjawić. Powiedział, że zrobiłby mnie królową świata i przeze mnie władał narodami, gdybym nie była tylko nędzną dziewczką ciemności. I co z tego? Nie zniosłabym zamknięcia w złotej wieży i spędzania długich godzin na wpatrywaniu się w kryształową kulę, mamrotania zaklęć nakreślonych krwią dziewczic na węzowej skórze, czy ślęczenia nad spleśniałymi księgami napisanymi w zapomnianych językach.

Powiedział, że jestem ledwie małym chochlikiem, nie mającym pojęcia o głębiach kosmicznej magii. No cóż, ten świat ma wszystko, czego pragnę: władzę, pogański przepych, przystojnych mężczyzn i piękne kobiety, z których mogę uczynić kochanków i niewolnice. Powiedział mi, kim jestem, jakie jest moje dziedzictwo i jaka ciąży na mnie klątwa. Wróciłam, aby wziąć to, do czego mam takie same prawo jak ty. Teraz to wszystko należy do mnie.

— O czym ty mówisz? — otrząsając się ze zdumienia i strachu, Taramis zerwała się na równe nogi i spojrzała na siostrę.

— Czy wyobrażasz sobie, że uśpiwszy kilka moich dworów i oszukawszy paru strażników uzyskałaś prawa do tronu!? Nie zapominaj, że to ja jestem królową Khauranu! Dam ci zaszczytne stanowisko, jako mojej siostrze, ale...

Salome roześmiała się nienawistnie.

— Jakże to szlachetnie z twojej strony, miła siostro! Jednak zanim zaczniesz przywoływać mnie do porządku, może powiesz mi, czyi to żołnierze obozują na równinie pod murami miasta?

— To shemiccy najemnicy Constantiusa, kothijskiego wojewody Wolnych Towarzyszy.

— A co oni robią w Khauranie? — powiedziała słodkim głosem

Salome.

Taramis czuła, że tamta z niej drwi, ale odpowiedziała z udawaną pewnością siebie:

— Constantius prosił o pozwolenie przekroczenia granicy Khauranu w drodze do Turanu.

Sam oddał się w moje ręce jako zakładnik, dopóki jego oddziały stoją na mojej ziemi.

— Co do Constantiusa... — nalegała Salome. — Czyż nie prosił cię dzisiaj o rękę?

Taramis obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

— Skąd o tym wiesz?

Jedyną odpowiedzią było lekceważące wzruszenie smukłych, nagich ramion.

— Odmówiłaś, droga siostrze?

— Oczywiście, że odmówiłam! — wykrzyknęła ze złością Taramis. — Czy ty, sama będąc askhauriańską księżniczką, uważasz, że królowa Khauranu mogłaby potraktować takie oświadczenia inaczej niż z pogardą? Poślubić krwawego awanturnika, człowieka wygnanego z własnego królestwa za swe zbrodnie, przywódcę bandy rabusiów i płatnych morderców? Nie powinnam była pozwolić, aby wprowadził swoich czarnobrodych zbójów do Khauranu.

Przebywa w południowej wieży, dobrze strzeżonej przez moich żołnierzy. Jutro każę mu, aby wydał swoim oddziałom rozkaz opuszczenia królestwa. Sam zostanie uwięziony, dopóki nie przekroczą granicy. Tymczasem obsadzę mury miasta zbrojnymi i ostrzegę go, że odpowie za wszelkie krzywdy, jakie jego najemnicy wyrządzą wieśniakom lub pasterzom.

— Jest zamknięty w południowej wieży? — zapytała Salome.

— Tak powiedziałam. Dlaczego pytasz?

W odpowiedzi Salome klasnęła w ręce i zawołała głośno, z okrutnym śmiechem w głosie:

— Królowa udzieli ci audiencji, Sokole!

Ozdobione złotymi arabeskami drzwi otworzyły się i do komnaty wkroczyła wysoka postać, na widok której Taramis krzyknęła ze zdumienia i gniewu.

— Constantiusie! Ośmielasz się wejść do mego pokoju!

— Jak widzisz, Wasza Wysokość! — pochylił głowę ze źle udaną pokorą.

Constantius, którego ludzie nazywali Sokołem, był wysoki, szeroki w barach i wąski w biodrach, zwinny i silny jak hartowana stal. Był przystojny zuchwałą urodą orła. Twarz miał ogorzałą od słońca, a kruczoczarne włosy odsłaniały wysokie czoło. Jego czarne oczy spoglądały bystro i czujnie, a cienki wąsik nie łagodził zaciętego wyrazu wąskich warg. Na nogach miał buty z kordafańskiej skóry, pludry i kubrak ze zwykłego, ciemnego jedwabiu, usmolonego sadzą obozowych ognisk i rdzą pancerza. Podkręcając wąsa, zmierzył drżącą królową zuchwałym spojrzeniem, pod którym skręciła się ze złości.

— Na Isztar, Taramis — rzekł jedwabistym głosem. — Znajduję cię bardziej ponętną w tej nocnej koszuli niż w twoich królewskich szatach. Zaprawdę, cóż to za noc!

W ciemnych oczach królowej pojawił się lęk. Nie była głupia i wiedziała, że Constantius nigdy nie pozwoliłby sobie na taką zniewagę, gdyby nie był pewny swego.

— Oszalałeś! — powiedziała. — Nawet jeśli jestem teraz w twojej mocy, to ty jesteś w mocy moich poddanych, którzy rozerwą cię na strzępy, jeśli tylko mnie dotkniesz. Wyjdź natychmiast, jeśli chcesz zachować życie.

Oboje zaśmiali się drwiąco, a Salome zrobiła niecierpliwy gest.

— Dość tej farsy. Zaczniemy następny akt tej komedii. Słuchaj, droga siostrzo: to ja przysłałam tu Constantiusa. Kiedy postanowiłam zasiąść na tronie Khauranu, rozejrzałam się za człowiekiem, który mi w tym pomoże i wybrałam Sokoła, ze względu na całkowity brak tych cech charakteru, jakie ludzie nazywają dobrocią.

— Jestem zaszczycony, księżniczko — mruknął sardonicznie Constantius, kłaniając się nisko.

— Wysłałam go do Khauranu i kiedy jego ludzie rozbili obóz na równinie przed murami, a on znalazł się w pałacu, dostałam się do miasta przez małą bramę w zachodniej ścianie.

Pilnujący jej głupcy myśleli, że to ty wracasz z jakiejś schadzki...

— Ty piekielnico! — Taramis zarumieniła się i na jej twarzy niesmak walczył o lepsze z monarszą rezerwą.

Salome uśmiechnęła się lekko.

— Oczywiście, byli zdziwieni i zaszokowani, ale wpuścili mnie, nie zadając pytań.

Weszłam do pałacu w ten sam sposób i odesłałam zdumionych strażników oraz żołnierzy pilnujących Constantiusa w południowej wieży. Potem przyszałam tutaj, po drodze zajmąwszy się dworkami.

Taramis kurczowo zacisnęła palce i pobladła.

— I co teraz? — spytała drżącym głosem.

— Słuchaj! — Salome ruchem głowy wskazała na okno.

Z zewnątrz dobiegał szcęk maszerujących wojsk i ochryple głosy wyrzaskujące rozkazy w jakimś obcym języku; w całym mieście było słychać krzyki przerażenia.

— Lud zbudził się i jest wystraszony — rzekł sardonicznie Constantius. — Lepiej idź ich uspokoić, Salome!

— Nazywaj mnie Taramis — odparła Salome. — Musimy się do tego przyzwyczajać.

— Co zrobiliście? — krzyknęła Taramis. — Co?

— Poszłam do bramy i rozkazałam żołnierzom ją otworzyć — odparła Salome. — Byli zdziwieni, ale usłuchali. To, co słyszysz, to armia Sokoła wkraczająca do miasta.

— Ty diablico! — wykrzyknęła Taramis. — Zdradziłaś mój lud w mojej własnej postaci!

Zrobiłaś ze mnie zdrażczynię! Och, wyjdę do nich i...

Z okrutnym śmiechem Salome złapała ją za rękę i szarpnęła w tył. Zwinna królowa nie miała szans przeciw okrutnej sile kryjącej się w gibkim ciele Salome.

— Constantiusie — powiedziała czarownica. — Czy wiesz, jak dostać się do lochów?

Dobrze. Zabierz tę osę i zamknij ją w najciemniejszej celi. Wszyscy dozorczy leżą pogrążeni we śnie. Zatroszczyłam się o to. Wyślij kogoś, żeby popodrzynał im gardła, zanim się obudzą.

Nikt nie może wiedzieć o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Od tej pory ja jestem Taramis, a ona będzie bezimiennym więźniem w głębokim lochu. Constantius uśmiechnął się, ukazując olśniewająco białe zęby.

— Bardzo dobrze; ale chyba nie odmówisz mi najpierw odrobiny... hmm... zabawy?

— O, nie! Możesz poskromić tę wyniosłą pinde, jak chcesz. I Salome ze złowrogim śmiechem cisnęła siostrę w ramiona Kothijczyka, po czym odwróciła się i wyszła z komnaty.

Taramis szeroko otworzyła oczy z przerażenia, prężąc smukłe ciało i szamocząc się w uścisku Constantiusa. W obliczu niebezpieczeństwa zagrażającego jej kobiecości zapomniała o zbrojnych maszerujących ulicami i o urażonej dumie. Gdy

ujrzała cynizm wyzierający z drwiących, pełnych żądy oczu Constantiusa i poczuła jego ręce na swym ciele, wyzbyła się wszystkich uczuć prócz zgrozy i wstydu.

Salome, spiesznie krocząca korytarzem, uśmiechnęła się złośliwie, gdy w królewskiej komnacie rozległ się przeraźliwy krzyk rozpacz i męki.

DRZEWO ŚMIERCI

Spodnie i koszula młodego żołnierza były wysmarowane zaschniętą krwią, wilgotne od potu i szare od kurzu. Krew sączyła mu się z głębokiej rany na udzie, z rozciętej piersi i ramienia. Krople potu błyszczały mu na twarzy, a palce kurczowo ścisnęły narzutę posłania, na którym leżał. A jednak w jego słowach słychać było ból nie wywołany fizycznym cierpieniem.

— Ona musi być szalona! — powtarzał raz po raz, jak ktoś oszołomiony jakimś potwornym i niewiarygodnym wypadkiem. — To jakiś koszmar! Taramis, którą kochają wszyscy Khauranie, zdradza swój lud dla tego kothijskiego diabła! Och, Isztar, dlaczego nie zginąłem? Lepiej umrzeć, niż widzieć, jak nasza królowa staje się zdrajczynią i dziwką!

— Leż spokojnie, Valeriusie — błagała dziewczyna, która drżącymi rękami przemywała i bandażowała mu rany. — Och, proszę, leż spokojnie, kochany! Otworzą ci się rany. Nie odważyłam się zawołać medyka...

— Nie — mruknął ranny młodzieniec. — Czarnobrode diabły Constantiusa będą przeszukiwać domy, szukając rannych Khauran; powieszą każdego, kto będzie miał rany wskazujące na to, że walczył przeciw nim. O Taramis, jak mogłaś zdradzić lud, który cię wielbił?

Skręcił się w cichej męce, płacząc z wściekłości i wstydu, a

przerazona dziewczyna chwyciła go w ramiona, przyciskając jego głowę do swojej pierci i próbując go uspokoić.

— Lepsza śmierć niż hańba, jaka spadła dziś na Khauran — jęczał. — Widziałaś to, Ivgo?

— Nie, Valeriusie. — Delikatnymi, zwinnymi palcami znów wzięła się do roboty, zręcznie czyszcząc i zamykając brzegi głębokich ran. — Obudziły mnie odgłosy walki na ulicach.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam Shemitów siekających ludzi; zaraz potem usłyszałam twoje ciche wołanie pod tylnymi drzwiami.

— Zupełnie opadłem z sił — mruknął. — Leżałem w alei i nie mogłem się podnieść.

Wiedziałem, że jeśli tam zostanę, to szybko mnie znajdą... Na Isztar, zabiłem trzy z tych czarnobrodych bestii! Na bogów, już nigdy nie będą deptać ulic naszego Khauranu! Teraz demony piekiel rozszarpują ich serca!

Drżąca dziewczyna przemawiała do niego uspokajająco, jak do skrzywdzonego dziecka, zamykając mu usta swymi chłodnymi, słodkimi wargami. Jednak płonący w nim ogień nie dał mu leżeć spokojnie.

— Nie było mnie na murach, kiedy wkroczyli Shemici — wybuchnął. — Spałem w koszarach wraz z innymi, którzy nie byli na służbie. Tuż przed świtem wszedł nasz kapitan, bladej jak ściana. „Shemici są w mieście” — powiedział. „Królowa podeszła do południowej bramy i dała rozkaz, aby ich wpuścić. Kazała zejść ludziom z murów, na których czuwali, od kiedy Constantius wkroczył na naszą ziemię. Nie rozumiem tego, tak samo jak inni, ale słyszałem, jak wydawała rozkazy i usłuchaliśmy ich jak zawsze. Mamy rozkaz zebrać się na placu przed pałacem. Ustawicie się w szyku przed koszarami i wymaszerujecie — bez

broni i pancerzy. Isztar wie, co to ma znaczyć, ale tak rozkazała królowa.”

Kiedy weszliśmy na plac, Shemici stali przed pałacem; dziesięć tysięcy czarnobrodych diabłów w pełnym uzbrojeniu, a w każdym oknie i drzwiach stojących wokół domów sterczały ludzkie głowy. Ulice wiodące na plac były zapchane zdumionymi ludźmi. Taramis stała na stopniach pałacu, sama, jeśli nie liczyć Constantiusa, który podkrecał węża jak wielki, chudy kocur, który dopiero co połknął wróbla. Jednak opodal stało pięćdziesięciu Shemitów z łukami w dłoniach.

Powinni tam stać gwardziści królowej, lecz znajdowali się u stóp pałacowych schodów, tak samo zdziwieni jak my, chociaż w pełnym uzbrojeniu, mimo rozkazu królowej. Taramis przemówiła do nas i oznajmiła, że rozważyła ponownie propozycję, jaką złożył jej Constantius — a przecież zaledwie wczoraj cisnęła mu ją w twarz wobec całego dworu! — i postanowiła uczynić go swoim małżonkiem. Nie wyjaśniła, dlaczego tak podstępnie wpuściła Shemitów do miasta. Jednak powiedziała, że ponieważ Constantius dowodzi oddziałami zawodowych żołnierzy, armia Khauranu nie będzie już potrzebna, zatem rozwiązuje ją i nakazuje nam rozejść się spokojnie do domów. Posłuszeństwo jest naszą drugą naturą, ale zaniemówiliśmy z wrażenia i nie byliśmy w stanie wykrztusić słowa. Nie wiedząc, co robimy, jak pogrążeni we śnie złamaliśmy szeregi. Kiedy jednak gwardii pałacowej również kazano złożyć broń i rozejść się do domów, wtrącił się kapitan gwardii, Conan. Mówiono, iż miał wczoraj wolny dzień i tego popił, ale teraz był zupełnie trzeźwy. Krzyknął do gwardzistów, żeby zostali na swoich miejscach, dopóki nie wyda im rozkazu — a ma u swoich ludzi taki autorytet, że usłuchali go wbrew poleceniu królowej.

Wszedł na schody pałacu, spojrział na Taramis i ryknął: „To nie królowa! To nie jest Taramis! To przebrany za nią demon!”

— Wtedy rozpętało się piekło! Nie wiem, co się stało. Zdaje się, że jakiś Shemita podniósł rękę na Conana, a ten go zabił. W następnej chwili cały plac zamienił się w pole bitwy.

Shemici uderzyli na gwardzistów, włóczniami i strzałami powalając wielu żołnierzy, którzy już złożyli broń. Niektórzy z nas złapali jakiś oręż i zaczęli walczyć. Właściwie nie bardzo wiedzieliśmy, o co się bijemy, ale na pewno przeciw Constantiusowi i jego diabłom — nie przeciwko Taramis, przysięgam! Constantius wrzeszczał, żeby bić zdrajców. Nie byliśmy zdrajcami!

Głos zadrżał mu z rozpacz i bólu. Dziewczyna mruknęła współczująco, nie rozumiejąc, ale dzielając ból swego kochanka.

— Ludzie nie wiedzieli, po czyjej stronie stanąć. Wybuchło potworne zamieszanie. My, którzy walczyliśmy, nie mieliśmy żadnych szans w luźnym szyku, bez zbroi i prawie bez broni. Gwardziści byli w pełnym uzbrojeniu i stali w czworoboku, ale było ich tylko pięciuset. Zadali wrogowi ciężkie straty, zanim ich wycięto, ale wynik tej walki był z góry przesądzony. A kiedy jej poddani ginęli na jej oczach, Taramis stała na schodach pałacu w objęciach Constantiusa i śmiała się jak piękny demon z piekła rodem! Bogowie, to szaleństwo, szaleństwo!

Nigdy nie widziałem, aby ktoś walczył tak jak Conan. Oparł się plecami o mur i zanim go powalili, wokół niego piętrzył się wał trupów sięgający do pasa! Jednak w końcu udało im się go obezwładnić — było stu na jednego. Kiedy zobaczyłem, jak pada, przywlokłem się tutaj, czując się tak, jakby mój świat rozsypał się w kawałki. Słyszałem, jak Constantius, podkręcając węża i

uśmiechając się paskudnie, wołał do swoich psów, żeby brali kapitana żywcem.

W tym momencie Constantius znów się uśmiechał. Siedział na koniu otoczony gromadą swoich ludzi — krępych Shemitów o kręconych, kruczoczarnych brodach i haczykowatych nosach. Nisko wiszące słońce odbijało się, migocząc, od ich spiczastych hełmów i srebrzonych łusek napierśników. Blisko milę dalej wśród łąk wznosiły się wyniosłe mury i wieże Khauranu.

Przy szlaku, którym od wieków podążały karawany, stał ciężki krzyż, a na tym okropnym drzewie wisiał człowiek, przybity doń żelaznymi ćwiekami za ręce i nogi. Odziany jedynie w przepaskę na biodrach mężczyzna był niemal olbrzymem o potężnie umięśnionych kończynach i ciele, które słońce już dawno temu spaliło na brąz. Na jego twarzy i muskularnej piersi perlił się pot, ale spod zmierzwionej grzywy czarnych włosów spadających mu na szerokie, niskie czoło para niebieskich oczu spoglądała zuchwale jak zawsze. Krew sączyła mu się leniwie z ran na rękach i nogach. Constantius zasalutował mu drwiąco.

— Przykro mi, kapitanie — rzekł — że nie mogę pozostać i umilić ci twych ostatnich godzin, ale w mieście czekają na mnie ważne obowiązki. Nie mogę pozwolić, aby nasza piękna królowa czekała!

Zaśmiał się cicho.

— Zatem zostawiam cię samego... z tymi ślicznotkami! Wskazał znacząco na czarne cienie krążące niestrudzenie wysoko w górze.

— Gdyby nie one, sądzę, że taki siłacz jak ty mógłby żyć na krzyżu kilka dni. Nie lódź się, że ktoś cię uratuje, skoro nie zostawiam tu straży. Ogłosiłem, że każdy, kto spróbuje zdjąć cię z tego krzyża, żywego czy martwego, zostanie żywcem obdarty ze

skóry razem z całą swoją rodziną. Cieszę się takim poważaniem w Khauranie, że moje słowo wystarczy za regiment strażników. Nie zostawiam tu żadnego, ponieważ sępy nie zbliżą się, dopóki ktoś tu będzie, a nie chcę ich krępować. Z tego też powodu wywozłem cię tak daleko od miasta. Pustynne sępy nie odważą się podlecieć bliżej murów. A więc żegnaj, dzielny kapitanie! Pomyślę o tobie za godzinę, leżąc w ramionach Taramis.

Krew na nowo popłynęła z przebitych dłoni, gdy ofiara konwulsyjnie zacisnęła ogromne pięści. Na potężnych ramionach pojawiły się węzły mięśni. Conan pochylił głowę i splunął Constantiusowi w twarz. Wojewoda zaśmiał się zimno, starł ślinę z hełmu i okręcił konia.

— Myśl o mnie, kiedy sępy zaczną szarpać twoje ciało — zawołał drwiąco. — Te pustynne ścierwojady są niezwykle żarłoczne. Widziałem ludzi wiszących całymi godzinami na krzyżu bez oczu, uszu i twarzy, nim ostre dzioby dosięgły im żywotnych organów.

Nie oglądając się, odjechał w stronę miasta; smukła, wyprostowana postać w błyszczącej, polerowanej zbroi, otoczona gromadą krzepkich, brodatych zbójów. Nikły welon kurzu znaczył ich drogę po pylistym szlaku.

Na tej ziemi, oblewanej ponurym blaskiem zachodzącego słońca wiszący na krzyżu człowiek był jedynym świadectwem istnienia życia. Leżący niecałą milę dalej Khauran równie dobrze mógłby leżeć na drugim końcu świata lub w innej epoce.

Otrząsając pot z oczu, Conan spojrział tępo na znajomą okolicę. Dookoła miasta i hen za nim rozpościerały się żyzne łąki z pasącym się na nich bydłem. W oddali równinę przecinały pola i winnice. Nieco bliżej, na południowym wschodzie, srebrny błysk zdradzał bieg rzeki, a za nią raptownie zaczynała się pustynia,

ciągnąca się daleko, aż po horyzont. Conan spoglądał na ten ocean pustki, drżący lekko w nagrzanym powietrzu, jak uwięziony sokół patrzy na niebo. Gdy skierował wzrok na błyszczące wieże Khauranu, wstrząsnęła nim odraza. Miasto zdradziło go — wciągnęło w pułapkę okoliczności, które doprowadziły do tego, że rozpięto go na drewnianym krzyżu jak zająca.

Przeraźliwa żądza zemsty odsunęła wszelkie inne myśli. Z ust barbarzyńcy popłynął potok barwnych przekleństw. Cały wszechświat skurczył się, ścieśnił, skupił się w czterech żelaznych ćwiekach odgradzających go od życia i wolności. Potężne mięśnie Cymeryjczyka naprężyły się, napinając jak stalowe liny. Pot wystąpił mu na poszarzałą twarz, gdy próbował znaleźć jakiś punkt oparcia i wyrwać ćwieki z drewna. Daremnie. Wbito je głęboko. Później próbował wydrzeć ćwieki z ran i zaprzestał nie z powodu potwornego bólu, lecz ze względu na bezcelowość tych wysiłków. Główki ćwieków były zbyt szerokie, aby zdołały przejść przez rany. Po raz pierwszy w życiu olbrzym poczuł się bezradny. Wisiał bez ruchu z głową opuszczoną na piersi, zamknąwszy oczy przed bezlitosnym słońcem.

Łopot skrzydeł sprawił, że uniósł głowę w tej samej chwili, gdy z nieba spadł pierzasty cień. Ostry dziób mierzący w oczy rozorał mu policzek, gdy Conan odruchowo odchylił głowę. Krzyknął ochrypłym, groźnym głosem; sępy zawahały się i odleciały, wystraszone tym dźwiękiem. Znow zaczęły krążyć nad jego głową. Krew pociekła Conanowi po twarzy; mimowolnie oblizął wargi i wypluł słoną ciecz.

Męczyło go straszne pragnienie. Poprzedniej nocy wypił wiele wina i od rana, od bitwy na placu, nie miał w ustach nawet kropli

wody. A zabijanie było ciężkim, wyczerpującym zajęciem. Spojrzał wściekle na odległą rzekę, jak nieszczęśnik wyglądający z kotła w piekle. Pomyślał o szumiących falach wody, jakie rozcinał piersią, jakie wylewał sobie na głowę.

Przypomniawszy sobie wielkie rogi pianistego piwa, dzbany klarownego wina, jakie żłopał łapczywie lub wypluwał na podłogi tawern. Zagryzł wargi, by nie ryczeć jak zwierzę z nieznośnej udręki.

Zachodziło słońce — ponura kula w mglistym oceanie krwi. Na tle szkarłatnego horyzontu wieże miasta wyglądały nierealnie, jak ze złego snu. W zamglonych oczach Conana całe niebo zdawało się oblane posoką. Oblizawszy poczerwiałe wargi i nabiegłymi krwią oczyma popatrzył na odległą rzekę. Ona również zdawała się szkarłatna jak krew, zaś nadpełzające ze wschodu cienie były czarne jak heban.

Łopot skrzydeł wyrwał go z apatii. Podniósłszy głowę zmierzył pałającym spojrzeniem kołujące nad nim ptaszyska. Wiedział, że jego krzyki już ich nie powstrzymają. Jeden zaczął się zniżać — bliżej i bliżej. Conan odchylił głowę w tył najdalej, jak mógł, i czekał ze straszliwą cierpliwością barbarzyńcy. Sęp cichym szelestem skrzydeł spłynął niżej. Uderzył dziobem, rozcinając brodę Cymeryjczyka, który jeszcze bardziej odchylił głowę; w następnej chwili, zanim ptak zdążył odlecieć, głowa Conana wystrzeliła z całą energią potężnych mięśni szyi, a jego zęby jak wilcza paszcza złapały chudą szyję drapieżnika.

Sęp zaczął przeraźliwie skrzeczeć i histerycznie bić skrzydłami. Łopoczące pióra oślepiały barbarzyńcę, a ostre szpony szarpały mu pierś. Jednak Cymeryjczyk nie rozluźnił chwytu, z całej siły zaciskając szczęki. Kości padlinożercy trzasnęły i spazmatycznie wałąc skrzydłami, ptak znieruchomiał.

Conan wypuścił go i wypluł krew z ust. Inne sępy, wystraszone losem towarzysza, pospiesznie umknęły na stojące w oddali drzewo, na którym przysiadły jak czarne demony zgromadzone na okropną naradę.

Otępiały barbarzyńca wpadł w dziką euforię. Krew i wola życia zaczęły żywiej krążyć mu w żyłach. Wciąż mógł zadawać śmierć — wciąż żył. Każde uczucie, nawet ból, było zaprzeczeniem śmierci.

— Na Mitrę!

Albo usłyszał czyjś głos, albo miał halucynacje.

— Jak żyję, nigdy nie widziałem czegoś podobnego!

Otrząsnąwszy z powiek pot i krew Conan w blasku zachodzącego słońca ujrzał czterech siedzących na koniach i patrzących w jego kierunku ludzi. Trzej z nich byli chudzi i odziani w białe szaty — niewątpliwie Zuagirowie, koczownicy z pustyni za rzeką. Czwarty był również odziany na biało, w przepasanym chałacie i powiewającej kefii, która, owiązana opaską z wielbłądziej sierści, opadała mu na ramiona. Jednak nie był Shemitą. Mrok nie był jeszcze tak gęsty ani orle oczy Conana tak zasnutę mgłą, aby nie zdołał dostrzec rysów jego twarzy.

Mężczyzna był równie wysoki jak Conan, chociaż nie tak mocnej budowy. Miał szerokie bary, a ciało twarde i jak stal, i fiszbin. Krótka, czarna broda nie skrywała agresywnie wystającej szczęki, a szare oczy błyszczące pod kefią patrzyły hardo i przenikliwie.

Powściągnąwszy pewną dłońią niespokojnego rumaka, mężczyzna przemówił:

— Na Mitrę, znam tego człowieka!

— Tak! — rzekł inny z chrapliwym zuagirskim akcentem. — To ten Cymeryjczyk, który był kapitanem królewskiej gwardii!

— Pozbywa się wszystkich swoich ulubieńców — mruknął jeździec. — Kto by się tego spodziewał po królowej Taramis? Wolałbym długą, przewlekłą i krwawą wojnę. Dałaby nam, ludziom pustyni, okazję do zdobycia łupów. A tak, podeszliśmy tak blisko murów i znaleźliśmy tylko tę szkapę — tu zerknął na ładnego podjezdka idącego luzem za jednym z nomadów — i tego zdychającego psa.

Conan podniósł zakrwawioną głowę.

— Gdybym tylko mógł zejść z tego krzyża, pokazałbym ci, kto jest zdychającym psem, zaporoskański złodzieju! — wyrzeźił poczerniałymi wargami.

— Na Mitrę, ten łotr mnie zna! — wykrzyknął tamten. — Skąd mnie znasz, łotrze?

— W tych stronach jest tylko jeden człowiek stamtąd — mruknął Conan. — Ty jesteś Olgierd Władysław, wódz wyjętych spod prawa.

— Tak! A niegdyś wódz kozaków znad Zaporoski, jak się domyśliłeś. Chcesz żyć?

— Tylko głupiec może zadać takie pytanie — wysapał barbarzyńca.

— Jestem twardy — rzekł Olgierd — i hardość jest jedyną cechą, jaką cenię u ludzi.

Zobaczę, czy jesteś mężczyzną, czy też jedynie psem, wartym tylko tego, aby tu zdechnąć.

— Jeżeli zdejmemy go z krzyża, mogą nas zobaczyć! — sprzeciwił się jeden z nomadów.

Olgierd potrząsnął głową.

— Jest już zbyt ciemno. Masz, weź ten topór, Dżebalu i zrąb krzyż u podstawy.

— Jeśli upadnie do przodu, zmiażdży go — protestował Dżebal.

— Mogę ściąć go tak, że poleci do tyłu, lecz wtedy wstrząs może rozbić mu czaszkę i pogruchotać kości.

— Jeżeli jest godzien jechać ze mną, to przeżyje — odparł nieporuszony Olgierd. — Jeśli nie, to nie zasługuje na to, aby żyć. Rąb!

Pierwsze uderzenie topora o belkę i towarzyszące temu drgania wywołały przeszywający ból w opuchłych dłoniach i stopach barbarzyńcy. Ostrze opadało raz po raz, a każde uderzenie rozbrzmiewało echem w otępiałym mózgu Conana, powodując dygotanie udreńczonych nerwów. Jednak zacisnął zęby i nawet nie pisnął. Topór przeciął belkę, krzyż zachwiał się na podciętej podstawie i runął w tył. Conan naprężył wszystkie mięśnie, z całej siły przycisnął głowę do belki i trzymał ją sztywno. Krzyż z łoskotem uderzył o ziemię, lekko podskakując.

Wstrząs na nowo otworzył rany Cymeryjczyka i na moment ogłuszył go. Oszołomiony i obolały z trudem odzyskiwał przytomność, świadom tego, że stalowe mięśnie złagodziły jego upadek i uchroniły przed poważniejszymi obrażeniami. Nawet nie jęknął, chociaż krew ciekła mu z nozdrzy, a wnętrzości skrecał mdlący ból.

Pomrukując z uznaniem, Dżebal pochylił się nad nim i kleszczami używanymi do ściągania końskich podków złapał za główkę ćwieka wbitego w prawą dłoń Conana, rozrywając mu skórę, aby lepiej chwycić głęboko wbity gwóźdź. Kleszcze były za małe do takiej roboty.

Dżebal pocił się i szarpał, klnąc i mocując się z opornym żelazem, wyginając je w przód i w tył — w drewnie i w nabrzmiałym ciele. Krew ciekła Cymeryjczykowi po palcach. Leżał tak nieruchomo, jakby nie żył; jedynie ciężki oddech świadczył, że jest inaczej. Ćwiek wyszedł i Dżebal z pomrukiem

zadowolenia uniósł go w górę, po czym odrzucił precz i zajął się następnym. Cała męczarnia powtórzyła się, po czym Dżebal zabrał się do uwalniania nóg barbarzyńcy.

Jednak Conan usiadł na krzyżu, wyrwał mu kleszcze z ręki i gwałtownie odepchnął. Ręce miał spuchnięte jak banie i zdawało mu się, że zamiast palców ma same kciuki; kiedy je zacisnął, ból był tak straszny, że musiał przygryźć wargi, aż pociekła mu krew. Jednak, oburącz trzymając kleszcze, jakoś wyrwał najpierw jeden, a potem drugi ćwiek. Nie były wbite tak głęboko jak dwa pierwsze.

Podniósł się sztywno i stanął prosto na opuchniętych, poranionych stopach, chwiejąc się lekko, z twarzą i torsem oblanym zimnym potem. Poczul gwałtowne skurcze żołądka i z trudem powstrzymał mdłości.

Obserwujący go obojętnie Olgierd wskazał mu skradzionego konia. Conan powlókł się w kierunku wierzchowca, czując przy każdym kroku ostry, przeszywający ból, od którego krwawa piana wystąpiła mu na usta. Zniekształcona, pozbawiona czucia ręka wymacała jakoś łęk siodła, a zakrwawiona stopa trafiła w strzemień. Zaciskając zęby, podskoczył i prawie umarł w powietrzu; jednak znalazł się w siodle i w tej samej chwili Olgierd smagnął konia batem. Zaskoczone zwierzę stanęło dęba, a siedzący na nim człowiek zachwiał się i pochylił bezwładnie, niemal wysadzony z siodła. Conan owinął sobie cugle wokół rąk, przytrzymując je kciukami. Ostrożnie napiął muskularne bicepsy, zmuszając konia, by stanął na przednie nogi. Wierzchowiec zarżał, gdy uzda omal nie wyrwała mu szczęki.

Jeden z Shemitów pytającym gestem pokazał bukłak z wodą. Olgierd potrząsnął głową.

— Niech zaczeka, aż dotrzemy do obozu. To tylko dziesięć mil.

Jeśli nadaje się do życia na pustyni, to wytrzyma tyle bez picia.

Pomknęli szybko jak duchy w kierunku rzeki. Conan chwiał się w siodle jak pijany, tocząc wokół nabiegłymi krwią oczami; na poczerniałych wargach zasychała mu piana.

3

LIST DO NEMEDII

Uczony Astreas, przemierzający wschodnie kraje w niestrudzonym poszukiwaniu wiedzy, napisał list do swego przyjaciela i kolegi — filozofa Alcemidesa zamieszkałego w rodzinnej Nemedii, zawierający wszystkie znane ludziom Zachodu fakty dotyczące ówczesnych wydarzeń na Wschodzie, będącym dla nich krainą tajemniczą i na pół mityczną. Astreas pisał:

„Z trudem zdołasz sobie wyobrazić, mój drogi przyjacielu, co się dzieje w tym małym królestwie, od kiedy królowa Taramis wpuściła tu Constantiusa i jego najemników, co krótko opisałem ci w moim poprzednim, pospiesznie skreślonym liście. Od tej pory minęło już siedem miesięcy, w którym to czasie jakby sam diabeł władał tym nieszczęsnym państwem.

Taramis zdaje się nie być przy zdrowych zmysłach; podczas gdy uprzednio słynęła ze skromności, sprawiedliwości i rozsądku, teraz zdradza wprost przeciwne cechy charakteru. Jej życie prywatne jest pasmem skandali. Właściwie słowo „prywatne” nie jest tu odpowiednim określeniem, ponieważ królowa nawet nie próbuje ukrywać rozwiązłych obyczajów panujących na jej dworze. Nieustannie urządza dzikie hulanki, w których muszą uczestniczyć jej nieszczęsne dworki, zarówno młode mężatki, jak i dziewice. Sama nie pokwapiła się zaślubić swojego kochanka, Constantiusa, który zasiada na tronie obok

niej i rządzi państwem jako jej małżonek, zaś jego oficerowie biorąc z niego przykład, napastują każdą kobietę, jakiej pożądamy, nie bacząc na jej stan i godność. Nieszczęśni mieszkańcy uginają się pod ciężarem podatków, gospodarstwa popadają w ruinę, a kupcy idą z torbami — poborcy nie zostawiają im nic. Dobrze, jeżeli uda im się wynieść całą skórę.

Już widzę twoje niedowierzanie, drogi Alcemidesie. Obawiasz się, że przesadzam, opisując warunki życia w Khauranie. Przyznaję, że byłyby to nie do pomyślenia w jakimkolwiek kraju na Zachodzie. Jednak musisz zdać sobie sprawę z różnic między Zachodem i Wschodem, a szczególnie tą jego częścią. Po pierwsze, Khauran nie jest dużym królestwem. To jedno z wielu państw tworzących niegdyś wschodnią część cesarstwa Koth, które później odzyskały niepodległość, jaką cieszyły się dawno temu. Ta część świata składa się z szeregu takich państweczek, maleńkich w porównaniu z ogromnymi królestwami Zachodu czy wielkimi imperiami Dalekiego Wschodu, lecz ważnych z uwagi na kontrolę, jaką mają nad szlakami karawan oraz ze względu na nagromadzone bogactwa.

Khauran jest najdalej wysuniętym na południe z tych księstw, leżącym na samym skraju pustyni wschodniego Shemu. Miasto Khauran jest jedynym większym miastem w królestwie i wznosi się nie opodal rzeki oddzielającej pastwiska od piasków pustyni, niczym strażnica strzegąca żyznych ziem. Ta ziemia jest tak urodzajna, że daje trzy lub cztery plony w roku i równiny na północ i na zachód od stolicy są usiane wioskami. Dla kogoś przyzwyczajonego do rozległych plantacji i wielkich gospodarstw Zachodu widok tych maleńkich poletek i winnic zdaje się czymś dziwnym, a jednak sypie się z nich ziarno i owoce niczym z rogu obfitości. Wieśniacy są rolnikami, niczym więcej. Wywodzą się z

mieszanej, tubylczej rasy, nie są wojowniczym narodem i nie potrafią się bronić; nie wolno im zresztą posiadać broni.

Przyzwyczajeni do tego, że bronią ich królewscy żołnierze, w obecnej sytuacji są bezradni. Tak więc gwałtowny bunt chłopów, jaki z pewnością wybuchłby w każdym kraju Zachodu, tu jest niemożliwy. Mozolą się pod żelazną ręką Constantiusa, a jego czarnobrodzi Shemici nieustannie krążą po polach z batami w rękach, jak nadzorcy czarnych niewolników na plantacjach południowej Zingary. Mieszkańcom miasta wcale nie powodzi się lepiej. Zgrabiono ich bogactwa, a najładniejsze córki porwano, aby syciły nienasycone żądze Constantiusa i jego najemników.

Ci są pozbawieni wszelkiej litości i współczucia, za to obdarzeni wszelkimi cechami, jakich nasze armie nauczyły się lękać podczas wojen toczonych z shemickimi sprzymierzeńcami Argos — nieludzkim okrucieństwem, żądzą i zwierzęcą dzikością. Mieszkańcy miasta są rządzącą kastą Khauranu, wywodzącą się od Hyboryjczyków, dzielną i waleczną. Jednak zdrada królowej wydała ich w ręce ciemieżców. Shemici stanowią jedyną zbrojną siłę w Khauranie, a każdy mieszkaniec królestwa, u którego zostanie znaleziona broń, zostaje straszliwie ukarany. Prowadzi się systematyczną akcję zmierzającą do unicestwienia wszystkich młodych Khauran zdolnych do noszenia broni. Wielu okrutnie zabito, innych sprzedano w niewolę Turańczykom. Tysiące uciekło z królestwa i wstąpiło na służbę innych władców lub stało się zbójami, grasującymi w licznych bandach wzdłuż granic.

Obecnie istnieje pewne prawdopodobieństwo inwazji z pustyni, zamieszkaney przez koczownicze plemiona Shemitów. Najemnicy Constantiusa są Shemitami z zachodu: Pelishtiana — mi, Anakij czy karni, Akcharianami, i są serdecznie

zniechęceniu przez Zuagirów i innych nomadów. Jak wiesz, dobry Alcemidesie, krainy tych barbarzyńców dzielą się na urodzajną część zachodnią, rozpościerającą się aż do oceanu, oraz na wschodnie pustynie, którymi władają dzicy nomadowie; między mieszkańcami miast i pustyni toczy się nieustająca wojna. Zuagirowie od wieków bezskutecznie walczyli z Khauranami i napadali na ich ziemie, ale patrzą złym okiem na najazd krewniaków z zachodu. Plotka głosi, że tę naturalną wrogość podsyca człowiek, który niegdyś był kapitanem królewskiej gwardii i który uszedłszy jakoś Constantiusowi, mimo iż ten go ukrzyżował, przystał do nomadów. Nazywa się Conan i jest barbarzyńcą, jednym z tych ponurych Cymeryjczyków, których zaciekłości nasi żołnierze niejednemu raz doświadczyli na własnej skórze. Mówi się, iż został prawą ręką Olgierda Władysława, zaporoskańskiego awanturnika, który przywędrował tu z północy i jest wodzem bandy Zuagirów. Plotka głosi również, że jego banda w ostatnich miesiącach znacznie urosła w siłę i że Olgierd, niewątpliwie za podszeptami Conana, zastanawia się nawet nad napadem na stolicę.

Mógłby to być tylko jakiś mały napad, ponieważ Zuagirowie nie posiadają machin oblężniczych ani umiejętności zdobywania miast, a ponadto w przeszłości wielokrotnie przekonano się, że nomadowie walczący w luźnym szyku, a właściwie bez jakiegokolwiek szyku, w bezpośrednim starciu nie są przeciwnikiem dla zdyscyplinowanych, dobrze uzbrojonych wojowników z shemickich miast. Mieszkańcy Khauranu zapewne przywitaliby ich z otwartymi ramionami, ponieważ koczownicy z pewnością nie okazaliby się gorsi od aktualnych panów, a nawet całkowita zagłada byłaby lepsza niż cierpienia, jakie teraz znoszą.

Jednak są tak wystraszeni i bezradni, że nie byliby w stanie pomóc najeźdźcom. Ich los jest godny pożałowania. Taramis, najwidoczniej opętana przez demona, nie cofa się przed niczym. Zakazała kultu Isztar i zamieniła jej świątynię w przybytek bałwochwalstwa.

Zniszczyła wyrzeźbiony ze słoniowej kości posąg bogini, którą czczą wschodni Hyboryjczycy (a która, chociaż pośledniejsza od jedyne go prawdziwego Mitry, w którego wierzą nasze narody na Zachodzie, jest i tak lepsza od diabelskiego kultu tych Shemitów) po czym zapełniła jej świątynię najbardziej nieprzyzwoitymi malowidłami, jakie można sobie wyobrazić: wizerunkami bogów i bogiń nocy, ukazanych w najrozmaitszych wyuzdanych i perwersyjnych pozach, ze wszelkimi szczegółami, jakie może podsunąć chora wyobraźnia.

Wiele z tych wizerunków przedstawia paskudne bóstwa Shemitów, Turańczyków, Vendhyan i Khitajczyków, lecz inne przypominają odrażające, na pół zapomniane stwory z pradawnych legend. Nawet nie odważę się zgadywać, skąd królowa wie, jak wyglądały.

Nakazała składać ofiary z ludzi i od czasu, gdy przyjęła Constantiusa, złożono bóstwom nie mniej niż pięćset kobiet, mężczyzn oraz dzieci. Królowa część z nich zabiła osobiście, na ołtarzu, jaki postawiła w świątyni, lecz większość spotkał los jeszcze okropniejszy.

W podziemiach świątyni Taramis umieściła jakiegoś potwora. Nikt nie wie, co to za stwór i skąd się wziął. Jednak zaraz po tym, jak zdusiła rozpaczliwy bunt swych żołnierzy przeciw Constantiusowi, zamknęła się w zbezczeszczonej świątyni z tuzinem związanych więźniów i przerażeni mieszkańcy widzieli gęste kłęby śmierdzącego dymu unoszące się przez całą noc nad

budynkiem, słyszeli śpiew królowej i wrzaski bólu torturowanych nieszczęśników, zaś przed świtem z tymi odgłosami mieszał się inny dźwięk: nieludzki, piskliwy rechot, mrozący krew w żyłach słuchaczy.

O świcie kompletnie pijana Taramis wytoczyła się ze świątyni; w oczach miała demoniczny błysk. Nikt już później nie widział więźniów i nie słyszał rechotliwego śmiechu.

Jednak w świątyni jest takie pomieszczenie, do którego nikt nigdy nie wchodzi prócz królowej wlokącej przerażoną ofiarę, której później nikt już nie zobaczy. Wszyscy wiedzą, że w tych mrocznych podziemiach mieszka jakiś potwór przywołany z mroku dziejów, pożerający wrzeszczące ofiary, które dostarcza mu Taramis.

Nie mogę myśleć o niej jak o ludzkiej istocie, ale jak o upiorze w kobiecej postaci i szponiastych łapach, siedzącym w zakrwawionym legowisku pośród kości i szczątków swoich ofiar. To, że bogowie pozwalają jej bezkarnie czynić takie okropności, niemal odbiera mi wiarę w boską sprawiedliwość.

Kiedy porównuję jej obecne zachowanie z tym, co widziałem, kiedy przed siedmioma miesiącami przybyłem do Khauranu, ogarnia mnie głębokie zdumienie i niemal skłonny jestem podzielać powszechnie wyrażaną opinię, iż Taramis jest opętana przez jakiegoś demona. Młody żołnierz, Valerius, miał inne zdanie. Uważał, że jakaś wiedźma przybrała postać uwielbianej przez Khauran władczyni. Był przekonany, że Taramis została uprowadzona nocą i zamknięta gdzieś w lochu, a obecna mieszkanka królewskiego pałacu jest po prostu czarownicą. Poprzysiągł, że odnajdzie prawdziwą królową, ale obawiam się, iż sam padł ofiarą okrutnego Constantiusa. Valerius był zamieszany w bunt gwardii pałacowej, uciekł i przez jakiś czas

ukrywał się, uparcie odmawiając ucieczki za granicę; właśnie w tym czasie spotkałem go i wyjawiał mi swe podejrzenia.

Jednak później zniknął, tak jak wielu innych, których losu wolę nawet nie zgadywać, i obawiam się, że wykryli go szpiedzy Constantiusa.

Muszę już kończyć ten list, aby niepostrzeżenie wysłać go z miasta za pomocą gołębia pocztowego, który zanieś go tam, gdzie kupiłem ptaka — na granicę Koth. Za pośrednictwem jeźdźców i karawan wielbłądów w końcu dotrze do ciebie. Muszę się spieszyć, aby zdążyć przed świtem. Jest późno i gwiazdy połyskują biało nad wiszącymi ogrodami Khauranu. Nad miastem zalega przeraźliwa cisza, w której rozchodzi się dudnienie bębna w odległej świątyni. Nie wątpię, że to Taramis knująca jakieś nowe diabelstwo.”

Jednak uczony mylił się w swoich przypuszczeniach co do miejsca pobytu Taramis. Dziewczyna, którą lud Khauranu uważał za królową, stała w lochu oświetlonym jedną gasnącą pochodnią, rzucającą migotliwy blask na jej twarz i nadającą jej pięknym rysom wyraz diabolicznego okrucieństwa. Na kamiennej podłodze przed nią leżała półnaga postać odziana w postrzępione łańchmany.

Salome pogardliwie trąciła ją czubkiem złoconego sandałka i uśmiechnęła się złośliwie, gdy ofiara cofnęła się przed dotknięciem.

— Nie lubisz moich pieśczoł, miła siostrze?

Taramis wciąż była piękna mimo łańchmanów, więzienia i zniewag znoszonych od siedmiu miesięcy. Nie odpowiedziała na kpiny siostry, lecz pochyliła głowę, jak ktoś przyzwyczajony do drwin.

Jej rezygnacja nie zadowoliła Salome. Zagryzła czerwone

wargi i stała, postukując pantofelkiem o płyty posadzki; ze zmarszczonymi brwiami spoglądała na nieruchomą postać.

Była odziana z barbarzyńską wspaniałością kobiet z Shushanu. W blasku pochodni lśniły ozdobione klejnotami pantofelki oraz złote napierśnice i przytrzymujące je, cienkie łańcuszki.

Złote, nabijane drogimi kamieniami bransolety na kostkach rąk i nóg brzęczały przy każdym jej kroku. Nosiła wysoką fryzurę Shemitki, a w uszach miała kolczyki ze złota i nefrytu, błyszczące i skrzące się przy najmniejszym ruchu głowy. Wysadzany klejnotami pas przytrzymywał spódniczkę z jedwabiu tak przezroczyściego, że zdawał się cyniczną drwiną z powszechnie przyjętych zwyczajów.

Na ramionach miała purpurowy płaszcz, który spływał niemal do samej ziemi, zakrywając jedno ramię i trzymane w fałdach zawiniątko.

Salome nagle pochyliła się i chwyciwszy siostrę wolną ręką za zmierzwione włosy odchyliła jej głowę w tył i spojrzała w oczy. Taramis napotkała jej spojrzenie bez zmrużenia oka.

— Już nie jesteś taka skora do płaczu, jak przedtem, miła siostró — mruknęła wiedźma.

— Więcej nie zobaczysz moich łez — odparła Taramis. — Zbyt często radowałaś się widokiem królowej Khauranu błagającej cię na kolanach o litość. Wiem, że oszczędziłaś mnie tylko po to, żeby mnie dręczyć; dlatego też ograniczyłaś się do takich tortur, które nie zabijają i nie powodują trwałych okaleczeń. Jednak już się ciebie nie boję; pozbawiłaś mnie resztek nadziei, strachu i wstydu. Zabij mnie i skończmy z tym, bo nie będziesz już więcej radować się moimi łzami, czarownico!

— Pochlebiasz sobie, moja droga siostró — zamruczała

Salome. — Jak do tej pory kazałam cierpieć tylko twojemu ładnemu ciału, skruszyłam jedynie twoją dumę i twój szacunek do siebie. Zapominasz o tym, że w przeciwieństwie do mnie, jesteś podatna na udręki ducha. Zauważyłam to, gdy raczyłam cię opowieściami o zabawach, jakie urządzałam sobie z twoimi głupimi poddanymi. Jednak tym razem przyniosłam niezbity dowód na poparcie moich słów. Czy wiedziałaś, że Krallides, twój wierny doradca, wrócił po kryjomu z Turanu i został schwytany?

Taramis pobladła.

— Co...? Co z nim zrobiłaś?

W odpowiedzi Salome wyjęła spod płaszcza tajemnicze zawiniątko. Odwinęła je z jedwabiu i uniosła w górę — głowę młodego człowieka, o twarzy wykrzywionej z bólu, jakby śmierć przyszła po niego wśród niewysłowionych męczarni.

Taramis krzyknęła, jakby zimne ostrze przeszło jej serce.

— Och, Isztar! Krallides!

— Tak! Ten biedny głupiec próbował podburzyć lud przeciw mnie, mówiąc, że Conan powiedział prawdę, kiedy rzekł, iż nie jestem Taramis. Z czym lud mógłby powstać przeciw Shemitom Sokoła? Z kijami i kamieniami? Phi! Psy ogryzają jego bezgłowe ciało na rynku, a ten ohydny czerep zgnije w ścieku! No i co, siostrze? — urwała, uśmiechając się do swojej ofiary. — Odkryłaś, że masz jeszcze kilka nie przelanych łez? Dobrze! Tortury umysłu zostawiłam na koniec. Od tej pory częściej będę ci pokazywała takie widoki jak ten!

Stojąc w świetle pochodni i trzymając w dłoni odrąbaną głowę, mimo całej swej urody nie wyglądała na ludzką istotę. Taramis nie spojrzała na nią. Leżała twarzą w dół na brudnej posadzce, tłukąc pięściami o kamienne płyty, a całym jej ciałem wstrząsało łkanie. Salome pomaszerowała w kierunku drzwi; bransolety

brzęczały przy każdym jej kroku, a kolczyki migotały w blasku pochodni.

W kilka minut później wyłoniła się z bramy pod mrocznym portalem prowadzącym na dziedziniec, który dochodził do krętej uliczki. Stojący tam człowiek odwrócił się do niej. Był to ogromny Shemita o posępnym spojrzeniu i szerokich barach, z długą, czarną brodą opadającą na mocarną, opiętą srebrnym pancerzem pierś.

— Płakała?

Jego głos podobny był do pomruku wściekłego byka: głęboki, basowy i agresywny. Był generałem najemników, jednym z niewielu ludzi Constantiusa, którzy znali tajemnicę królowej Khauranu.

— Tak, Khumbanigashu. W jej duszy jest jeszcze wiele wrażliwych miejsc, których nie dotknęłam. Kiedy przestanie reagować na stałe cierpienia, znajdę nowe, jeszcze bardziej dotkliwe... Tutaj, psie!

Pojawiła się jakaś dygocząca, okropna postać w łachmanach, brudna, ze skołtunionymi włosami — jeden z wielu żebraków śpiących w zaułkach i na dziedzińcach miasta. Salome cisnęła mu głowę Krallidesa.

— Masz, głupcze; rzuć ją do najbliższego ścieku. Pokaż mu, co ma robić, Khumbanigashu.

On jest głuchy.

Generał gestem przekazał polecenie i tamten pokiwał skołtunioną głową, po czym z trudem pokuśtykał dalej.

— Po co przedłużać tę farsę? — mruknął Khumbanigash. — Siedzisz tak pewnie na tronie, że nikt nie może ci zagrozić. I co z tego, jeśli ci khaurańscy głupcy dowiedzą się prawdy? Nic nie mogą zrobić. Rozgłoś, kim jesteś naprawdę! Pokaż im ich

ukochaną eks-królową — i publicznie zetnij jej głowę!

— Jeszcze nie, dobry Khumbanigashu...

Łukowate sklepienie odbiło twardy akcent Salome i burkliwe pomruki Khumbanigasha.

Głuchoniemy żebrak kulił się na dziedzińcu, na którym nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć, że ręce trzymające odrąbaną głowę drżą lekko — opalone, żylaste ręce, dziwnie nie pasujące do powykrećanego ciała i brudnych łachmanów.

— Wiedziałem! — szepnął żebrak. — Ona żyje! O, Krallidesie, twoja męka nie była daremna! Zamknęli ją w tym lochu! O, Isztar, jeśli prawdziwie miłujesz ludzi, pomóż mi teraz!

4

WILKI PUSTYNI

Olgierd Władysław napełnił wysadzany drogimi kamieniami puchar winem ze złotego dzbana i popchnął naczynie po hebanowym stole w kierunku Conana Cymeryjczyka. Strój Olgierda zadowoliliby każdego hetmana znad Zaporoski.

Nosił chałat z białego jedwabiu, na piersi wyszywany perłami. Rozchylone poły płaszcza, spiętego w talii bakhauriockim pasem ukazywały szerokie, jedwabne szarawary wpuszczone w krótkie buty z miękkiej, zielonej skóry przesywanej złotą nitką. Na głowie miał zielony turban z jedwabiu, owinięty wokół spiczastego, zdobionego złotem hełmu. Jediną bronią Olgierda był szeroki, zakrzywiony nóż w pochwie z kości słoniowej przypięty wysoko na lewym biodrze, jak zwykli je nosić kozacy. Wygodnie rozparty w fotelu ozdobionym złotymi, rzeźbionymi orłami, Olgierd wyciągnął długie nogi i siorbał mocne wino.

Siedzący naprzeciw niego Cymeryjczyk o prosto przyciętej grzywie czarnych włosów, opalonej i poznaczonej bliznami twarzy oraz palących, niebieskich oczach stanowił całkowite przeciwieństwo wyzywająco ubranego Zaporoskanina. Był odziany w czarną, stalową kolczugę, a jedyną jego ozdobą była szeroka, złota kłamra pasa, na którym wisiała wytarta skórzana pochwa z długim mieczem.

Siedzieli sami w namiocie o jedwabnych ścianach obwieszonych draperiami ze złotogłowiu i podłodze wyłożonej

grubymi dywanami oraz aksamitnymi narzutami — łupem zdobytych na karawanach. Na zewnątrz słychać było cichy, monotonny pomruk, odgłos zawsze towarzyszący wielkim zbiorowiskom obozujących czy maszerujących ludzi. Od czasu do czasu przelotny wiatr poruszał liśćmi palm.

— Dziś w cieniu, jutro w słońcu! — zacytował Olgierd, popuszczając odrobinę pasa i znów sięgając po dzban z winem. — Takie jest życie. Kiedyś byłem hetmanem nad

Zaporoską, teraz jestem pustynnym złodziejem. Ty siedem miesięcy temu wisiałeś na krzyżu pod murami Khauranu. Teraz jesteś prawą ręką najpotężniejszego wodza między Turanem a pastwiskami Zachodu. Powinieneś być mi wdzięczny!

— Za to, że zrozumiałeś, iż mogę się przydać? — Conan zaśmiał się i podniósł dzban.

— Kiedy pozwalasz komuś pięć się w górę, to można być pewnym, że będziesz miał z tego jakieś korzyści. Zapracowałem na wszystko własną krwią i potem.

Spojrzał na blizny na rękach. Na ciele również miał blizny — nowe, których nie było tam przed siedmioma miesiącami.

— Walczysz jak regiment diabłów — przyznał Olgierd. — Jednak nie wyobrażaj sobie, że ma to coś wspólnego z rzeszami rekrutów, którzy przyłączyli się do nas. Spowodowały to sukcesy naszych wypadów, które ja prowadziłem. Ci nomadowie zawsze czekali na przywódcę, za którym mogliby pójść i bardziej ufają obcemu niż komuś ze swej własnej rasy.

Możemy dokonać wielkich rzeczy! Mamy teraz jedenaście tysięcy ludzi. Za rok możemy mieć trzy razy tyle. Do tej pory zadowalaliśmy się napadami na turańskie posterunki i państwa — miasta na zachodzie. Mając trzydzieści lub czterdzieści tysięcy ludzi przestaniemy napadać. Będziemy najeżdżać, podbijać i

obejmować trony. Jeszcze zostanę władcą całego Shemu, a ty będziesz moim wezyrem, o ile będziesz bez wahania wypełniał moje rozkazy. Na razie chyba pojedziemy na wschód i zaatakujemy turański posterunek w Vezek, gdzie karawany płacą myto.

Conan potrząsnął głową.

— Myślę, że nie.

Olgierd obrzucił go gniewnym spojrzeniem i wybuchnął:

— Co to ma znaczyć? Ty myślisz, że nie? To ja tu jestem od myślenia!

— Nasza banda jest już wystarczająco liczna — odparł Cymeryjczyk. — Mam dość czekania. Chcę wyrównać rachunki.

— Och! — Olgierd zmarszczył brwi, popił wina i wyszczerzył zęby. — Wciąż myślisz o tym krzyżu, co? No cóż, lubię tych, którzy umieją nienawidzić. Jednak to może poczekać.

— Powiedziałeś kiedyś, że pomożesz mi wziąć Khauran — rzekł Conan.

— Tak, ale to było, zanim zacząłem dostrzegać wszystkie możliwości, jakie daje nam nasza siła — odparł Olgierd. — Myślałem jedynie o złupieniu miasta. Nie mam zamiaru tracić ludzi na darmo. Khauran to dla nas zbyt twardy orzech do zgryzienia. Może za rok...

— Za tydzień — odparł Conan i kozak wytrzeszczył oczy, słysząc nutę pewności w jego głowie.

— Słuchaj — powiedział Olgierd — nawet gdybym miał zamiar tracić ludzi na tak poronione przedsięwzięcie, czego po nim oczekujesz? Czy myślisz, że te wilki pustyni mogą oblegać i zdobyć takie miasto jak Khauran?

— Nie będzie oblężenia — odrzekł Conan. — Wiem, jak wywabić Constantiusa na równinę.

— I co wtedy? — parsknął Olgierd. — Wymiana strzał nie przyniesie sukcesu naszym jeźdźcom, bo asshuri mają lepsze zbroje, a kiedy dojdzie do walki wręcz, ich zwarte szyki wyćwiczonych żołnierzy przejdą przez nasze linie i rozgonią naszych ludzi jak wiatr suche liście.

— Nie stanie się tak, jeśli trzy tysiące zdesperowanych hyboryjskich jeźdźców, wyszkolonych przeze mnie, uderzy klinem w ich szeregi — odparł Conan.

— A skąd weźmiesz te trzy tysiące Hyboryjczyków? — zapytał sarkastycznie Olgierd.

— Wyczarujesz ich z powietrza?

— Już ich mam — odrzekł niewzruszony barbarzyńca. — Trzy tysiące Khauran czeka na moje rozkazy w obozowisku w oazie Akrel.

— Co takiego? — Olgierd zmierzył go ponurym spojrzeniem zaskoczonego wilka.

— Właśnie. To ludzie, którzy umknęli przed tyranią Constantiusa. Większość z nich pędziła żywot rozbójników na pustyni na wschód od Khauranu; są wytrzymali, zahartowani i zdesperowani jak stado tygrysów. Każdy z nich wystarczy za trzech najemników. Ucisk i cierpienia hartują ludzi i wlewają w ich żyły piekielny ogień. Byli rozproszeni na wiele małych oddziałów i potrzebowali tylko przywódcy. Uwierzyli słowom przyniesionym przez moich posłańców; zebrali się w oazie i oddali pod moje rozkazy.

— Wszystko to bez mojej wiedzy? — w oku Olgierda pojawił się złowrogi błysk. Jego dłoń zaczęła wędrować ku rękojęści sztyletu.

— To mnie chcieli za przywódcę, nie ciebie.

— A co obiecałeś tym wyrzutkom za ich pomoc? — w głosie

Olgierda dało się słyszeć groźbę.

— Powiedziałem im, że poprowadzę tę horde wilków pustyni i pomogę im zniszczyć Constantiusa, po czym oddam Khauran jego mieszkańcom.

— Ty głupcze! — szepnął Olgierd. — Czyżbyś już uważał się za wodza?

Obaj porwali się na nogi, spoglądając na siebie nad hebanowym stołem. Zimne, szare oczy Olgierda jarzyły się wściekle, a zaciśnięte wargi Cymeryjczyka wykrzywiały ponury uśmiech.

— Każę cię rozerwać między palmami — rzekł chłodno kozak.

— Zawołaj ludzi i każ im to zrobić! — wezwał go Conan. — Zobaczymy, czy cię posłuchają!

Obnażając zęby we wściekłym grymasie, Olgierd próbował to uczynić, lecz wstrzymał się.

Smagła twarz Cymeryjczyka zdradzała pewność, która zmroziła Zaporoskanina. Oczy zapłonęły mu jak wilcze ślepie.

— Ty śmieciu z Zachodu — mruknął. — Ośmieliłeś się podważać mój autorytet?

— Nie musiałem — odpowiedział Conan. — Skłamałeś, kiedy mówiłeś, że nie mam nic wspólnego z napływającą rzeszą rekrutów. Wprost przeciwnie. Słuchali twoich rozkazów, ale walczyli dla mnie. Wśród Zuagirów nie ma miejsca dla dwóch wodzów. Oni wiedzą, że ja jestem silniejszy. Ja rozumiem ich lepiej niż ty, a oni rozumieją mnie, ponieważ ja również jestem barbarzyńcą.

— I co powiedzą, kiedy poprosisz ich, żeby walczyli za Khauran? — zapytał sardonicznie Olgierd.

— Pójdą za mną. Obiecuję im karawanę złota z pałacu. Khauran chętnie zapłaci ten okup za pozbycie się Constantiusa. A

potem poprowadzę ich na Turańczyków, tak jak planowałeś.

Oni chcą łupów i aby je zdobyć chętnie będą walczyć nawet z Constantiusem.

W oczach Olgierda pojawiło się zrozumienie. Pograżony w marzeniach o imperium nie zauważył tego, co działo się wokół niego. Teraz nagle przypomniał sobie wydarzenia i fakty, które przedtem wydawały mu się pozbawione znaczenia, a wraz z tym przyszło przeświadczenie, iż Conan nie chełpił się bezpodstawnie. Stojący przed Olgierdem olbrzym w czarnej kolczudze był prawdziwym wodzem Zuagirów.

— Nie będą, jeśli zginiesz! — mruknął Olgierd i jego dłoń śmignęła do rękojeści sztyletu.

Jednak Conan z tygrysią szybkością wyciągnął rękę nad stołem i zacisnął palce na przedramieniu kozaka. Rozległ się trzask łamanych kości i na moment obaj zastygli, nieruchomi jak posągi. Pot spływał po twarzy Olgierda i ściekał mu na pierś. Conan zaśmiał się, nie puszczając złamanej ręki wodza.

— Czy jesteś godzien żyć, Olgierdzie?

Uśmiech nie zszedł mu z twarzy, gdy napiął węzłaste mięśnie przedramienia i wbił palce w dygoczące ciało kozaka. Dał się słyszeć chrzęst trących o siebie kości i twarz Olgierda przybrała barwę popiołu; krew sączyła mu się z przygryzionych warg, ale nawet nie pisnął.

Conan puścił go ze śmiechem i Zaporoskanin zatoczył się, łapiąc zdrową ręką za krawędź stołu, aby utrzymać równowagę.

— Daruję ci życie, Olgierdzie, tak jak ty mi je darowałeś — rzekł spokojnie Conan — chociaż zdjąłeś mnie z krzyża, aby osiągnąć własne cele. Poddałeś mnie wtedy ciężkiej próbie, jakiej sam byś nie sprostął; nikt by jej nie sprostął prócz barbarzyńcy z Zachodu. Weź swego konia i jedź. Jest uwiązany za namiotem;

woda i żywność jest w jukach. Nikt nie zobaczy, jak odjeżdżasz, lecz musisz to zrobić natychmiast. Na pustyni nie ma miejsca dla obalonego wodza. Jeżeli wojownicy zobaczą cię okaleczonego i wygnanego, nie wypuszczą cię żywego z obozu.

Olgierd nie odpowiedział. Powoli odwrócił się i w milczeniu przeszedł przez namiot, po czym odchyliwszy zasłonę wyszedł. Nic nie mówiąc, dosiadł wielkiego białego ogiera, który stał uwiązany w cieniu wielkiej palmy. Bez słowa, ze złamaną ręką owiniętą w fałdy chałatu, popędził wierzchowca i odjechał na wschód, na pustynię, znikając z życia Zuagirów.

Siedzący w namiocie Conan opróżnił dzban z winem i oblizał wargi. Cisnąwszy puste naczynie w kąt, okręcił pas i wyszedł na zewnątrz, przystając na moment, aby ogarnąć spojrzeniem długie szeregi namiotów z wielbłądzich skór i odziane na biało postacie kręcące się wokół nich, dyskutujące, śpiewające, naprawiające uprzęż lub ostrzające szable.

Zawołał donośnym głosem, który dotarł do najdalszych krańców obozowiska:

— Hej, psy, nadstawcie uszu i słuchajcie! Zbierzcie się tutaj. Mam wam coś do powiedzenia.

5

GŁOS Z KRYSZTAŁU

W komnacie mieszczącej się w wieży stojącej w pobliżu murów, grupka mężczyzn słuchała słów mówcy. Młodzi, lecz żyłaści i zahartowani, wyglądali na ludzi doprowadzonych do ostateczności w wyniku doznanych krzywd. Byli odziani w kolczugi i skórzane kubraki, każdy miał u boku miecz.

— Wiedziałem, że Conan mówił prawdę, kiedy powiedział, iż to nie Taramis! — krzyknął mówiący. — Od miesięcy kręciłem się wokół pałacu, udając głuchoniemego żebraka. W końcu dowiedziałem się, że moje podejrzenia były słuszne: nasza ukochana królowa jest więziona w lochach przylegających do pałacu. Poczekalem na odpowiednią chwilę i złapałem shemickiego dozorcę — ogłuszyłem go, kiedy pewnej nocy przechodził przez dziedziniec — po czym zawlokłem go do pobliskiej piwnicy i przesłuchałem. Nim umarł, wyjawiał mi to, co przed chwilą wam powiedziałem, a co od początku podejrzewaliśmy — że kobieta rządząca Khauranem jest czarownicą imieniem Salome. Taramis — powiedział mi — jest uwięziona w najgłębszym lochu.

Ta inwazja Zuagirów daje nam sposobność, na jaką czekaliśmy. Nie wiem, co zamierza Conan. Może chce tylko zemścić się na Constantiusie. Może zamierza zdobyć miasto i złupić je. To barbarzyńca i nikt nie jest w stanie przewidzieć, co uczyni. Jednak wiemy, co my musimy zrobić: korzystając z

zamieszania uwolnić Taramis!

Constantius wymaszeruje na równiny, aby wydać bitwę Zuagirom. Jego ludzie już siodłają konie. Uczyni tak, ponieważ miasto nie ma tyle żywności, aby wytrzymać długie oblężenie.

Conan nadciągnął z pustyni tak szybko, że nie było czasu, aby zgromadzić odpowiednie zapasy. A Cymeryjczyk jest przygotowany do oblężenia. Zwiadowcy donieśli, że Zuagirowie mają maszyny oblężnicze, niewątpliwie zbudowane według wskazówek Cymeryjczyka, który uczył się sztuki wojennej w krajach Zachodu.

Constantius nie chce długiego oblężenia, więc pomaszeruje ze swoimi wojownikami na równinę, gdzie spodziewa się jednym uderzeniem zmiażdżyć oddziały Conana. Zostawi w mieście zaledwie kilkuset ludzi, którzy będą na murach i w wieżach strzegących wrót.

Więzienie będzie prawie nie pilnowane. Kiedy uwolnimy Taramis, nasze dalsze działania będą zależały od okoliczności. Jeśli Conan zwycięży, pokażemy Taramis ludowi i każemy mu powstać. I lud powstanie! Och, powstanie! Nawet z gołymi rękami możemy wybić Shemitów, którzy pozostaną w mieście i zamknąć bramy przed nosem najemników i nomadów. Nie wolno nam wpuścić ani jednych, ani drugich! Później będziemy paktować z Conanem.

Zawsze był oddany Taramis. Jeśli dowie się prawdy i porozmawia z królową, sądzę, że oszczędzi miasto. Jeśli zaś, co bardziej prawdopodobne, zwycięży Constantius i oddziały Conana zostaną rozgromione, będziemy musieli wymknąć się z królową z miasta i szukać ratunku w ucieczce. Wszystko jasne?

Odpowiedziało mu jednogłośnie przytaknięcie.

— Zatem poluzujemy miecze w pochwach, polećmy dusze Isztar

i ruszajmy na więzienie, bo najemnicy już maszerują przez południową bramę.

Istotnie tak było. Światło poranka lśniło na spiczastych hełmach i jaskrawych czaprakach wierzchowców wylewających się nieprzerwanym strumieniem przez szeroki portal. Miała to być bitwa jeźdźców, jedna z tych, jakie są możliwe jedynie w krajach Wschodu. Jazda płynęła przez wrota niczym rzeka stali: ponure sylwetki w czarnych i srebrnych zbrojach, z kędzierzawymi brodami i haczykowatymi nosami oraz nieprzeniknionymi oczyma odzwierciedlającymi fatalizm tej rasy i całkowity brak skrupułów czy miłosierdzia.

Na ulicach i placach stały gęste tłumy mieszkańców obserwujących w milczeniu tych obcych wojowników ruszających, aby bronić ich miasta. Było cicho; wychudli, obdarci Khauranie stali z czapkami w rękach, patrząc bez wyrazu na maszerujących Shemitów.

W wieży wznoszącej się nad szeroką ulicą wiodącą do południowej bramy Salome spoczywała na atłasowym posłaniu, cynicznie obserwując Constantiusa zapinającego pas z mieczem i nakładającego zbroję. Byli sami. Z zewnątrz, zza złotych krat okien dobiegał rytmiczny szcęk żelastwa i łoskot podków walących o bruk.

— Nim nadejdzie noc — obiecał Constantius, podkreślając rzadkiego węża — dostaniesz paru jeńców dla swojego świątynnego diabła. Czy nie znudziły mu się miękkie ciała mieszcuchów? Może posmakują mu twarde mięśnie ludzi pustyni?

— Uważaj, żebyś nie padł ofiarą bestii straszniejszej od Thauga — ostrzegła dziewczyna.

— Nie zapominaj, kto stoi na czele tych zwierzaków z pustyni.

— Na pewno nie zapomnę — odparł. — To jeden z powodów, dla których wychodzę mu na spotkanie. Ten pies walczył na Zachodzie i zna sztukę oblężniczą. Moi zwiadowcy nie mogli podejść do jego kolumn, bo ich patrole mają sokoli wzrok, jednak zbliżyli się na tyle, że zdołali dostrzec maszyny, jakie ciągną na wozach zaprzężonych w wielbłądy — katapulty, tarany, balisty, kusze... Na Isztar! Chyba dziesięć tysięcy ludzi musiało pracować nad tym przez miesiąc! Nie mogę pojąć, skąd wziął materiał, aby je zbudować. Pewnie zawarł jakiś traktat z Turańczykami, którzy mu go dostarczyli.

Jednak i tak na nic mu się to nie przyda. Walczyłem już nieraz z tymi wilkami pustyni: krótka wymiana strzał, która nie spowoduje większych strat wśród moich odzianych w zbroje wojowników, a potem szybka szarża i moje szwadrony przebijają się przez kupy koczowników, zawrócą i przejadą po nich jeszcze raz, rozganiając ich na cztery strony świata. Przed zachodem słońca wrócę południową bramą, a za mną setki nagich, ślaniających się na nogach jeńców. Dziś w nocy wydamy wielką ucztę na wielkim placu. Moi żołnierze lubią obdzierać wrogów żywcem ze skóry — urządzimy długie widowisko i każemy patrzeć na nie tym mięczakowatym mieszczuchom. Co do Conana, to sprawi mi niewysłowioną przyjemność, jeśli weźmiemy go żywcem, abym mógł go nabić na pał przed schodami pałacu.

— Obedrzyj ze skóry, ilu chcesz — odparła obojętnie Salome. — Przydałby mi się płaszcz z ludzkiej skóry. Jednak musisz mi zostawić przynajmniej stu jeńców — na ołtarz i dla Thauga.

— Tak się stanie — odparł Constantius, odgarniając obleczoną w rękawicę dłoń rzadkie włosy z wysokiego, opalonego czoła. — Po zwycięstwo i dla honoru Taramis! — rzekł sardonicznie i

włożywszy pod pachę stalowy hełm uniósł ramię w salucie, po czym ze szczękiem wymaszerował z komnaty. Z oddali dobiegł jego donośny głos, gdy wydawał rozkazy swoim oficerom.

Salome wyciągnęła się na posłaniu, ziewnęła i przeciągnąwszy się jak wielki, leniwy kot zawołała:

— Zang!

Do izby bezgłośnie wszedł kapłan o łysej czaszce obciążonej cienką jak pergamin skórą.

Salome odwróciła się do piedestału z kości słoniowej, na którym stały dwie kryształowe kule i biorąc w dłoń mniejszą z nich, podała błyszczący kryształ kapłanowi.

— Jedź z Constantiusem — powiedziała. — Przekażesz mi wieści o bitwie. Idź!

Kapłan zgiął się w niskim ukłonie i ukrywszy kulę pod czarnym płaszczem pośpiesznie wyszedł z komnaty.

W mieście było cicho, tylko od czasu do czasu słyhać było głośniejszy łomot kopyt, aż w końcu rozległ się szcęk zamykanych wrót. Salome weszła na szerokie, alabastrowe schody wiodące na płaski, osłonięty baldachimem i otoczony marmurową balustradą dach.

Znajdowała się ponad wszystkimi innymi budynkami miasta. Ulice opustoszały, wielki plac przed pałacem był pusty. Zazwyczaj ludzie omijali szerokim łukiem ponurą świątynię wznoszącą się na przeciwległym końcu placu, ale teraz całe miasto wyglądało jak wymarłe.

Jedynie na południowych murach i dachach przylegających do nich domów widać było jakieś ślady życia. Tam zgromadziły się tłumy. Nie była to demonstracja, gdyż Khauranie nie wiedzieli, czy powinni życzyć Constantiusowi zwycięstwa czy klęski. Jego zwycięstwo oznaczało dalsze cierpienia pod nieznośnymi

rządami; porażka prawdopodobnie wiązała się ze złupieniem miasta i krwawą masakrą. Conan nie przesłał żadnych wieści. Nie wiedzieli, czego mogą się po nim spodziewać. Pamiętali o tym, że jest barbarzyńcą.

Szwadrony najemników wjechały na równinę. W oddali, już po tej stronie rzeki, widać było poruszającą się czarną masę, w której z trudem można było rozpoznać tłum koni i jeźdźców. Na drugim brzegu stały jakieś konstrukcje; Conan nie przeprowadził swoich machin oblężniczych przez rzekę, widocznie obawiając się ataku podczas przeprawy. Jednak przeprowadził wszystkie swoje oddziały. Słońce wzeszło i zapaliło czerwone błyski na pancerzach. Jazda Constantiusa runęła galopem; do uszu ludzi na murach doleciał głuchy łoskot kopyt.

Toczące się armie wpadły na siebie i zmieszały się; z tej odległości widać było jedno kłębowisko bez żadnych szczegółów. Nie można było odróżnić atakujących od atakowanych.

Spod końskich kopyt wzbiły się kłęby kurzu, przesłaniając całą równinę. Z kotłującej się kurzawy wyłaniali się pojedynczy jeźdźcy i znów znikali; błyskały włócznie.

Salome wzruszyła ramionami i zeszła po schodach. W pałacu było cicho. Wszyscy niewolnicy byli na murach razem z mieszkańcami, daremnie usiłując coś wypatrzeć.

Salome wróciła do komnaty, w której rozmawiała z Constantiusem i podeszła do piedestału. Zobaczyła, że kryształowa kula pociemniała, nabiegając krwistymi nitkami szkarłatu. Klnąc cicho, nachyliła się nad kulą.

— Zang! — zawołała. — Zang!

W kryształach kłębiły się mgły, zmieniając się w gęste chmury kurzu, w których poruszały się jakieś niewyraźne sylwetki; stal migotała jak błyskawice na niebie. Nagle w kuli pojawiło się

zadziwiająco wyraźne oblicze Zanga; zdawał się patrzeć na Salome szeroko otwartymi oczami. Krew sączyła — mu się z rozciętej głowy, a skórę miał poszarzałą od zlepionego potem kurzu. Wargi kapłana rozchyliły się i zadrżały. Komuś innemu mogło się zdawać, że tylko krzywi się z bólu. Jednak Salome usłyszała słowa wymawiane przez te pobladłe usta tak wyraźnie, jakby kapłan znajdował się w tym samym pokoju, a nie mile dalej, krzycząc do małego kryształu. Tylko bogowie ciemności wiedzieli, jakie niewidzialne, magiczne więzi łączyły te dwie połyskujące kule.

— Salome! — wrzasnęła zakrwawiona głowa. — Salome!

— Słyszę! — zawołała. — Mów! Co z bitwą!

— Klęska! — wrzeszczał kapłan. — Khauran jest stracony! Mój koń padł i nie uda mi się uciec! Wokół padają ludzie! Giną jak muchy w swych srebrzonych pancerzach!

— Przestań bełkotać i powiedz mi, co się stało! — zawołała ostro.

— Ruszyliśmy na tych psów pustyni, a oni wyszli nam naprzeciw — zawył kapłan.

Chmury strzał przeleciały między oddziałami i nomadowie cofnęli się. Constantius kazał szarżować. W zwartym szyku runęliśmy na wroga. Nagle ta horda rozstała się na prawo i lewo, a powstała ulicą nadleciało trzy tysiące hyboryjskich jeźdźców, których istnienia nawet nie podejrzewaliśmy. To byli Khauranie, oszaleli od nienawiści! Rośli mężczyźni w zbrojach i na potężnych wierzchowcach! Uderzyli w nas klinem jak taran. Zanim pojeśliśmy, co się dzieje, rozbili nasze szyki, a wtedy ludzie pustyni opadli nas ze wszystkich stron. Rozszarpali nasze szeregi, rozproszyli nas i rozpędzili! To sztuczka tego przekłętogo Conana! Machiny oblężnicze to podstęp — makiety z palmowych

pni i pomalowanego jedwabiu, które zmyliły naszych zwiadowców! Podstęp obliczony na to, żeby zwabić nas w zasadzkę. Nasi wojownicy uciekają! Khumbanigash zginął — zabił go Conan. Nigdzie nie widzę Constantiusa. Khauranie szaleją, jak żądne krwi lwy, a koczownicy bez przerwy szyją strzałami. Ja... aaach!

W kryształach błysnęło, a może mignęła stal, trysnęła czerwona struga — po czym obraz zniknął jak pryskająca bańka mydlana i Salome spoglądała na pustą, kryształową kulę ukazującą jedynie odbicie jej wykrzywionej z wściekłości twarzy.

Przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń. Później klasnęła w dłonie i wszedł inny kapłan, równie milczący i cichy jak pierwszy.

— Constantius został pobity — powiedziała szybko. — Jesteśmy zgubieni. Nim minie godzina, Conan załomocze do bram miasta. Wiem, czego mogę się spodziewać, jeżeli mnie złapie. Jednak najpierw zamierzam się upewnić, że moja przeklęta siostra nigdy już nie zasiądzie na tronie. Chodź ze mną! Niech będzie, co ma być, ale najpierw wyprawimy ucztę Thaugowi.

Idąc po schodach i krużgankach pałacu, słyszała słabe, dalekie okrzyki wznoszone na murach. Lud w końcu zrozumiał, że Constantius przegrywa bitwę. W gęstych obłokach kurzu widać było galopujących w kierunku miasta jeźdźców.

Pałac i więzienie łączyła długa galeria, której łukowate sklepienie wspierało się na grubych filarach. Spiesznie przeszedłszy przez korytarz fałszywa królowa i jej niewolnik weszli w masywne drzwi na jego końcu i znaleźli się w mrocznych lochach więzienia. Dotarli do szerokiego, niskiego tunelu w miejscu, gdzie kamienne schody zaczynały schodzić w

ciemność. Nagle Salome zakłęła i cofnęła się. W cieniu leżała jakaś nieruchoma postać — shemicki dozorca, z czarną brodą zadartą ku niebu i głową na pół odrąbaną od tułowia.

Słyszac dochodzące z dołu głosy, czarownica schowała się w cieniu, pociągając za sobą kapłana i sięgając drugą ręką za pas.

6

SKRZYDŁA SĘPA

Słaby blask pochodni wyrwał Taramis, królową Khauranu, ze snu, w którym szukała zapomnienia. Unosząc się na łokciu, przyglądała zmierzwiłone włosy i zamrugła oczami, spodziewając się zobaczyć drwiące spojrzenie Salome, przybywającej, aby znów ją dręczyć.

Zamiast tego usłyszała okrzyki zgrozy i współczucia.

— Taramis! O, królowo!

Te dźwięki wydały jej się tak dziwne, że myślała, iż wciąż śni. Teraz w świetle pochodni dostrzegła jakieś postacie, błysk stali, a potem nachyliło się nad nią pięć twarzy — nie smagłych i orlonosych, lecz zbrązowiałych od słońca twarzy białych ludzi. Skuliła się na posadzce, wytrzeszczając oczy. Jedna z postaci wysunęła się naprzód i uklękła przed nią, błagalnie wyciągając ramiona.

— O, Taramis! Isztar dzięki, że udało nam się znaleźć cię tutaj! Czy nie pamiętasz mnie, Valeriusa? Kiedyś, po bitwie o Konrekę, chwaliłaś mnie własnymi ustami!

— Valerius! — wyjąkała. Nagle w jej oczach zabłyśły łzy. — Och, to sen! To jakiś czar Salome, aby mnie dręczyć!

— Nie! — zawołał z uniesieniem. — To twoi wierni poddani przybyli cię uwolnić! Jednak musimy się spieszyć. Cons — tantius walczy na równinie z Conanem, który przeszedł z Zuagirami przez rzekę, lecz trzystu Shemitów nadal trzyma miasto.

Zabiliśmy dozorcę i zabraliśmy mu klucze; nie widzieliśmy innych strażników. Musimy uciekać. Chodź! Pod królową uginały się nogi — nie ze słabości, lecz z wrażenia. Valerius wziął ją na ręce jak dziecko. Idąc za niosącym pochodnię towarzyszem, wyszli z lochu i weszli na śliskie, kamienne schody. Zdawały się nie mieć końca, lecz wreszcie wyszli na górę.

Mijali mroczne przejście, gdy nagły cios wytrącił pochodnię z ręki przewodnika, który wydał krótki, urywany okrzyk. Ciemny korytarz rozświetlił błękitny rozbłysk, w którym przez moment widać było wściekle wykrzywioną twarz Salome i majaczącą obok niej sylwetkę kapłana — później niebieskie światło oślepiło patrzących.

Valerius po omacku próbował umknąć korytarzem z królową; jak przez mgłę słyszał odgłosy morderczych ciosów oraz jęki agonii i zwierzęce sapanie. Później jakaś siła wyrwała mu królową, a potężne uderzenie rozłupało mu hełm i powaliło na podłogę.

Z trudem podniósł się z ziemi i potrząsając głową, usiłował pozbyć się błękitnego płomienia, który nadal tańczył mu przed oczami. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył, że jest sam w korytarzu — sam z wyjątkiem trupów. Jego czterej towarzysze leżeli we krwi, z rozrąbanymi głowami lub rozprutymi brzuchami. Oślepieni i zaskoczeni rozbłyskiem piekielnego ognia zginęli, nie mogąc się bronić. Królowa zniknęła.

Z przekleństwem na ustach Valerius chwycił miecz i zerwawszy z głowy rozbity hełm z brzękiem cisnął nim o posadzkę; po policzku ciekła mu krew z długiego rozcięcia na głowie. Chwiejąc się i nie wiedząc, co począć, usłyszał jakiś głos wołający z rozpaczą:

— Valeriusie! Valeriusie!

Zataczając się, pobiegł w kierunku tego głosu i gdy minął załom korytarza, jakaś gibka postać wpadła w jego ramiona i objęła go kurczowym uściskiem.

— Ivga! Chyba oszalałaś!

— Musiałam tu przyjść! — zatkała. — Szłam za tobą, kryjąc się w podcieniach dziedzińca.

Przed chwilą widziałam, jak wyszła stąd ona razem z jakimś kapłanem, niosącym w ramionach kobietę. Poznałam Taramis i wiedziałam, że nie udało wam się! Och, jesteś ranny!

— To tylko draśnięcie! — rzekł, uwalniając się z jej objęć. — Szybko, Ivgo, powiedz mi, dokąd poszli!

— Pobiegli dziedzińcem w kierunku świątyni. Valerius pobił.

— Na Isztar! A to bestia! Chce rzucić Taramis demonowi, któremu oddaje cześć! Pospiesz się, Ivgo! Biegnij do południowej bramy, gdzie ludzie z murów przyglądają się bitwie!

Powiedz im, że odnaleziono ich prawdziwą królową — i że oszustka zawlokła ją do świątyni!

Idź!

Płacząca dziewczyna pobiegła, stukając sandałkami po pustym placu, wypadła na ulicę, potem na przyległy plac i pognąła ku murom wznoszącym się po przeciwnej stronie.

Valerius przebiegł po schodach, ledwie dotykając stopami marmurowych stopni i wpadł w podparty filarami portal. Taramis szarpała się ze swymi prześladowcami. Przeczuwając, jaki czeka ją los, opierała się ze wszystkich sił i w pewnej chwili nawet udało jej się wyrwać z rąk straszliwego kapłana, lecz zaraz znów ją pochwycił.

Byli już w połowie szerokiej nawy świątyni, na końcu której znajdował się okropny ołtarz, a za nim pokryte obscenicznymi

rycinami wrota z metalu, przez które wielu przeszło, lecz nikt prócz Salome nie wrócił. Taramis ciężko dyszała. W trakcie szamotaniny zdarto z niej resztę łachmanów; wiła się w uścisku paskudnego kapłana, jak biała, naga nimfa w objęciach satyra. Salome przyglądała się temu cynicznie, choć niecierpliwie, idąc do metalowych drzwi, a z mroku zalegającego pod ścianami spoglądały na to podobizny obleśnych bożków i maskaronów, jakby żyjące własnym życiem. Dławiąc się z wściekłości, Valerius z mieczem w dłoni pobiegł przez wielką salę.

Ostrzeżony okrzykiem Salome kapłan obrócił się, puścił Taramis i dobywszy ciężkiego, już zakrwawionego noża, rzucił się na spotkanie nadbiegającego Khauranina.

Jednak zakłucie mężczyzn oślepionych piekielnym ogniem wznieconym przez Salome to nie to samo, co walka z silnym, młodym Hyboryjczykiem, przepojonym nienawiścią i gniewem.

Ociekający posoką nóż uniósł się do ciosu, lecz zanim zdążył opaść, wąskie ostrze Valeriusa przecięło powietrze i pięść trzymająca sztylet frunęła w powietrze, tryskając fontanną krwi. Rozwścieczony Valerius ciął ponownie, i jeszcze raz, nim kapłan zdążył osunąć się na ziemię. Ostrze przecięło ciało i kości. Naga czaszka potoczyła się w jedną, a rozrąbany kadłub w drugą stronę.

Valerius błyskawicznie odwrócił się, szukając wzrokiem Salome. Widocznie wiedźma wyczerpała w lochach zapasy swego piekielnego ognia. Pochyliła się nad Taramis, w jednej ręce zaciskając czarne loki siostry, a drugą wznosząc sztylet do ciosu. Valerius krzyknął i zatopił miecz w jej piersi z taką siłą, że ostrze wyszło jej między łopatkami. Wiedźma wrzasnęła i osunęła się na posadzkę, wijąc się w konwulsjach i chwytając za ociekającą krwią klingę. W jej oczach nie było już nic ludzkiego: z

demoniczną siłą czepiała się życia uchodzącego z niej wraz z krwią tryskającą z wielkiej rany na piersi. Tarzała się po podłodze, drapiąc i gryząc w męce kamienne płyty. Ogarnięty obrzydzeniem Valerius pochylił się i podniósł na wpół omdlałą królową.

Odwróciwszy się plecami do zwijającej się na podłodze czarownicy pobiegł do drzwi, potykając się z pośpiechu. Wytoczył się przez portal i stanął na szczycie schodów. Plac był pełen ludzi. Jedni przybyli, słysząc rozpaczliwe wołania Ivgi, inni opuścili mury ze strachu przed nadciągającymi hordami koczowników, uciekając na oślep ku centrum miasta.

Mieszkańców Khauranu opuściła ponura rezygnacja. Tłum kłębił się i falował, wrzeszcząc i krzycząc. Od bramy niósł się łoskot spadających kamieni i cegieł.

W ciżbę wdarła się grupka ponurych Shemitów, strażników północnych wrót, spieszących do południowej bramy, aby wesprzeć tam kamratów. Wstrzymali konie, widząc na stopniach świątyni młodzieńca trzymającego w ramionach nagą, bezwładną postać. Wszystkie głowy obróciły się ku świątyni; tłum rozdziawił usta, nie dowierzając własnym oczom.

— Oto wasza królowa! — zawołał Valerius, usiłując przekrzyczeć gwar. Ludzie odpowiedzieli głuchym pomrukiem. Nie rozumieli, co się stało i Valerius daremnie wyteżał głos, próbując im to wyjaśnić. Shemici ruszyli ku świątyni, torując sobie drogę drzewcami włóczni.

Nagle na stopniach świątyni pojawiła się jakaś okropna postać. Z mrocznego przedsionka wyłoniła się drobna, biała sylwetka, zbryzgana szkarłatem. Tłum wrzasnął: oto w ramionach Valeriusa spoczywała ta, którą uznali za królową, a jednak w drzwiach świątyni chwiała się inna kobieta, będąca

zwierciadlanym odbiciem pierwszej. Nie byli w stanie tego pojąć.

Patrząc na zataczającą się wiedźmę, Valerius czuł, że krew zastyga mu w żyłach. Przebił ją mieczem, przeszywając serce. Powinna być martwa, zgodnie z wszelkimi prawami natury powinna już nie żyć. A jednak jeszcze trzymała się na nogach, kurczowo czepiając się życia.

— Thaugu! — krzyknęła, słaniając się w progu. — Thaugu!

W odpowiedzi na to straszliwe wezwanie we wnętrzu świątyni rozległ się przeraźliwy rechot, trzask łamanego drewna i metalu.

— To jest królowa! — ryknął kapitan Shemitów, unosząc łuk. — Zastrzelcie tego mężczyznę i drugą kobietę!

Jednak w tejże chwili tłum zawył jak stado wygłodniałych wilków; wreszcie odgadli, w czym rzecz i zrozumiawszy gorączkowe nawoływania Valeriusa pojęli, że omdlała dziewczyna w jego ramionach jest ich prawdziwą królową. Z przerażającym rykiem runęli na Shemitów, w przypływie długo tłumionej wściekłości rzucając się na nich z gołymi rękami, zębami i pazurami. Salome zachwiała się po raz ostatni i potoczyła po marmurowych schodach — wreszcie martwa.

Strzały gęsto przelatywały wokół Valeriusa, który skoczył między filary portyku, osłaniając królową własnym ciałem. Szyjąc z łuków i siekąc szablami, Shemici z trudem powstrzymywali napierający tłum. Valerius wpadł do świątyni i stanąwszy na jej progu cofnął się z okrzykiem rozpaczony i zgrozy.

Z mroku na przeciwległym końcu wielkiej sali wyłonił się jakiś ogromny kształt i rzucił się ku nim gigantycznymi, żabimi skokami. Dostrzegł błysk wielkich ślepi i lśnienie kłów czy pazurów. Odskoczył od drzwi, lecz świst strzały przelatującej mu koło ucha ostrzegł go, że śmierć czyha również z tyłu. Obrócił się z rozpaczą. Czterech czy pięciu Shemitów przedarło się przez

tłum i wjeżdżało na szerokie schody, napinając cięciwy, aby go zastrzelić. Skoczył za kolumnę, o którą roztrzaskały się strzały. Taramis zemdląła. Zwisła w jego ramionach jak nieżywa.

Zanim Shemici zdołali ponownie napiąć łuki, w drzwiach pojawił się gigantyczny stwór. Najemnicy cofnęli się, krzyząc z przerażenia i zaczęli z powrotem przedzierać się przez tłum, który ogarnięty zgrozą rzucił się do ucieczki, traktując wszystko na swej drodze.

Jednak potwór zdawał się widzieć tylko Valeriusa i dziewczynę. Precisnąwszy się z trudem przez zbyt małe dla niego drzwi, skoczył za zbiegającym po stopniach młodzieńcem.

Valerius czuł tuż za plecami ten gigantyczny, czarny kształt, tę ulepioną z ciemności karykaturę tworu Natury, ogromne niekształtne cielsko, w którym błyskały jedynie gorejące ślepia i lśniące zębiska.

Nagle rozległ się łomot podków; grupka okrwawionych Shemitów nadjechała w nieładzie z południa i wpadła na plac, mieszając się z gęstym tłumem. Na ich karkach jechała chmara jeźdźców krzyżących w znajomym języku i wymachujących zbroczonymi mieczami — wracali wygnańcy! Z nimi jechało pięćdziesięciu czarnobrodych jeźdźców pustyni, a na ich czele gigantyczny mężczyzna w czarnej zbroi.

— Conanie! — wrzasnął Valerius. — Conanie!

Olbrzym wydał rozkaz. Pustynni wojownicy w pełnym galopie napięli łuki i wypuścili pierzaste pociski. Chmura strzał przeleciała nad placem, nad głowami kłębiącego się tłumu, i trafiła w potwora. Stał, zachwiał się i cofnął o krok — czarna plama na tle marmurowych filarów. Znów brzęknęły cięciwy, i jeszcze raz, aż ohydny stwór upadł i potoczył się po schodach, równie martwy jak wiedźma, która przyzwalała go z mroków.

Conan osadził rumaka przed portykiem i zeskoczył z siodła. Valerius położył królową na marmurowym stopniu i osunął się obok niej, zupełnie wyczerpany. Wokół zaczęli się cisnąć Khauranie. Sypiąc przekleństwami, Cymeryjczyk kazał im się cofnąć i podniósłszy ciemną głowę, ułożył ją na swoim ramieniu.

— Na Kroma, co tu się dzieje! To prawdziwa Taramis! Ale kim jest tamta?

— Demonem, który przybrał jej postać — wysapał Valerius.

Conan znowu zaklął. Zerwawszy płaszcz z ramion jakiegoś żołnierza, okrył nim nagą królową. Długie rzęsy poruszyły się lekko; otworzyła oczy i z niedowierzaniem spojrzała na poznaczoną bliznami twarz Cymeryjczyka.

— Conan! — kurczowo chwyciła go delikatnymi palcami. — Czy ja śnię? Ona powiedziała mi, że nie żyjesz...

— Niewiele brakowało! — uśmiechnął się słabo. — To nie sen. Znów jesteś królową Khauranu. Rozbiłem Constantiusa, tam, nad rzeką. Większość jego psów nie zdołała dotrzeć do murów, ponieważ kazałem nie brać jeńców — z wyjątkiem Constantiusa. Wprawdzie straż zamknęła nam bramę przed nosem, ale rozwaliliśmy ją taranami ciągnionymi przez konie.

Zostawiłem moje wilki za murami — wszystkich poza tymi pięćdziesięcioma. Nie ufałem im zbytnio, a ponadto Khauranie bez trudu uporali się ze strażą przy bramie.

— To był koszmar! — jęknęła. — Och, mój biedny lud! Musisz pomóc mi wynagrodzić im cierpienia, jakich doznali, Conanie, od tej pory nie tylko kapitanie, ale i doradco!

Conan zaśmiał się, ale potrząsnął głową. Wstał i stawiając Taramis na nogi, pokazał jej khaurańskich jeźdźców, którzy poniechali pościgu za umykającymi Shemitami. Zeskoczyli z koni, czekając na rozkazy odzyskanej królowej.

— Nie, dziewczyno, z tym już koniec. Jestem teraz wodzem Zuagirów i muszę poprowadzić ich na Turańczyków, jak im obiecałem. Ten młodzian, Valerius, będzie lepszym kapitanem niż ja. Nie jestem stworzony do życia wśród marmurowych ścian. Muszę cię pożegnać i dokończyć to, co zacząłem. W Khauranie jest jeszcze paru Shemitów.

Gdy Valerius ruszył za Taramis w kierunku pałacu, idąc szpalerem utworzonym przez wiwatujące tłumy, poczuł delikatne palce ujmujące jego twardą dłoń i obróciwszy się, znalazł się w ramionach Ivgi. Przycisnął ją do siebie i sycił się jej pocałunkami z wdzięcznością znużonego wojownika, który po ciężkich znojach i trudach w końcu znalazł upragniony odpoczynek.

Jednak nie wszyscy mężczyźni pragną odpoczynku i spokoju. Niektórzy rodzą się, mając we krwi przemoc i nie znając innej drogi...

Wschodziło słońce. Na szlaku, którym z dawien dawna ciągnęły karawany, stała długa kolumna odzianych w białe szaty jeźdźców, sięgająca od murów Khauranu po środek równiny. Na czele tej kolumny, przy pniaku sterczącym z piasku, siedział Conan Cymeryjczyk. Opodal wznosił się potężny krzyż z przybitym doń mężczyzną.

— Siedem miesięcy temu, Constantiusie — rzekł Conan — ja wisiałem tam, a ty siedziałeś tu.

Constantius nie odpowiedział; oblizywał poblądłe wargi i wytrzeszczał oczy zaszkłone bólem i strachem. Wszystkie mięśnie napięły mu się jak postronki.

— Lepiej potrafisz zadawać ból, niż go znosić — rzekł spokojnie Conan. — Ją wisiałem na krzyżu, tak jak ty teraz wisisz, i przeżyłem to dzięki okolicznościom i odporności właściwej

barbarzyńcom. Lecz wy, cywilizowani ludzie, jesteście delikatni; nie trzymacie się życia tak kurczowo jak my. Wasze męstwo polega głównie na zadawaniu cierpień, nie na znoszeniu ich. Umrzesz, nim zajdzie słońce. Tak więc, pustynny Sokole, zostawiam cię w towarzystwie innych pustynnych ptaków.

Wskazał gestem krążące w górze sępy, których czarne cienie przesuwały się po piasku. Z ust Constantiusa wyrwał się nieludzki ryk rozpaczy i trwogi.

Conan popędził konia i pojechał w kierunku rzeki, lśniącej jak srebro w porannym słońcu. Odziani na biało jeźdźcy ruszyli za nim stępa; mijając krzyż, rzucali wiszącemu na nim człowiekowi obojętne spojrzenia, wyzute z wszelkiego współczucia. Końskie kopyta wybijały werbel w pyle drogi. Wygłodniałe sępy opuszczały się coraz niżej.